www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 49 (1091)
30.11-6.12.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Tadeusz Klementewicz
Humanistyka po deformie Gowina

Dr Michał Rauszer
Bunty chłopskie za czasów pańszczyzny

Joanna Hetman-Krajewska
Rozwody w czasie pandemii

Irena Dawid-Olczyk
Fundacja La Strada o handlu ludźmi

Wyzdrowiało ponad 500 tys. osób. W tym nasza reporterka

Ozdrowieńcy

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
49
9 771509 311003

eprasa.pl 5d369d7248

NIE DA CI OJCIEC NIE DA CI MATKA TEGO CO MOŻE DAĆ CI SĄSIADKA

sklep.**mleczko**.pl

eprasa.pl 5d369d7248

CYTATY

KS. ADAM BONIECKI,
redaktor senior
Janowi Pawłowi II teraz nie obrona jest potrzebna, ale pełna prawda.
„Tygodnik Powszechny"

MATTHIAS GEBAUER,
publicysta
Nie było jeszcze prezydenta, za którym zamkną się być może drzwi nie tylko Białego Domu, lecz także celi więziennej.
„Forum" za „Der Spiegel"

JULIUSZ MACHULSKI,
reżyser
Jestem jakoś dziwnie spokojny, że z młodymi polskimi kobietami PiS nie wygra.
„Polityka"

URSZULA DUDZIAK,
wokalistka
Dzięki sile umysłu jesteśmy albo starzy i zgrzybiali, albo młodzi i pełni energii.
„Twój Styl"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Kłamią, bo mogą

Czasy takie, że pytań coraz więcej. A o sensowne odpowiedzi trudno. Nawet na pytania najprostsze. Nie ja jeden mam wrażenie, że co innego widzę, a co innego słyszę. Politycy dojnej zmiany bardzo skutecznie pozmieniali znaczenie słów. Już nic nie jest białe, nawet jeśli faktycznie jest białe. Po pięciu latach rządów tej bardzo specyficznej odmiany prawicy w pełni zrealizowano zapowiedź prezesa Kaczyńskiego: „Nikt nam nie wmówi, że białe jest białe, a czarne jest czarne". Jakie coś jest, a przynajmniej w jakich barwach powinniśmy to widzieć, mówią nam prawdziwi mistrzowie w odwracaniu sensu pojęć. Premier Morawiecki i jego prawa ręka minister Dworczyk. Dla nich stan rzeczy jest taki, jaki oni opisują. Są w tej swojej narracji bardzo konsekwentni. Ciągłymi kłamstwami obejmują już wszystkie obszary.

Tego świata, jaki opisują, w realu oczywiście nie ma. Ale kłopoty, problemy i wszelkie możliwe nieszczęścia, które wynikają z rządów tak miernych polityków, są rzeczywiste. Bardzo konkretne. I niezwykle bolesne. Niestety, nie dla politycznych sprawców, ale dla ofiar. Zwłaszcza dla ludzi, którzy umierają z powodu zapaści systemu ochrony zdrowia. I dla najmłodszych, którzy zamiast dobrej edukacji dostają w większości byle co, za to tak opakowane, jakby rzeczywiście mieli sensowną i pożyteczną naukę.

Zamiast jak najskuteczniejszej, w tych trudnych warunkach, walki z konsekwencjami covidu mamy ciąg wrzutek odwracających uwagę ludzi od tego czarnego obrazu niemocy i bałaganu. Do czasu, bo każda wizyta w szpitalu czy przychodni sprowadza na ziemię tych, którzy uwierzyli w bajcarstwo premiera i jego ministrów.

Tak źle nigdy nie było. Nawet w pandemii można przecież funkcjonować mądrzej i skuteczniej. Mówią o tym także medycy powiązani z władzą. Dlaczego więc tak nie jest?

Ale czy obserwując kolejne działania prezesa PiS, liderów partii satelickich i ich czołowych polityków można było mieć nadzieję, że potrafią sprostać wyzwaniom? Nawet w bardzo spokojnych czasach mieliby kłopoty, a co dopiero teraz. Widzimy, jakie są efekty rządów tej bardzo słabej ekipy, która na dodatek celowo wyeliminowała wielu sprawnych urzędników w ramach czystek politycznych. Słaba merytorycznie władza opierająca się w rządzeniu na krewnych i znajomych nie mogła sobie poradzić.

Skutki tych rządów obserwujemy każdego dnia. Dlaczego w Polsce nie może być normalnie? Czy oczekiwanie, że władza będzie sprawna, przewidywalna i służebna wobec społeczeństwa, to już tylko pobożne życzenie? Albo sen utopijnego marzyciela?

TAKI BAJER NA ŚWIĘTA

KUPUJESZ ELEKTRONICZNĄ PRENUMERATĘ NA

PREZENT

I SAM DOSTAJESZ

PREZENT

UŻYJ KODU: SWIETA2020

Więcej informacji na s. 9

Przegląd

BĄKOWSKI

eprasa.pl 5d369d7248

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA I OPINIE
8 **Robert Walenciak**
Mistrz i uczeń
34 **Krzysztof Janik**
Dokąd idziesz, lewico?
36 **Tadeusz Klementewicz**
Humanistyka po deformie Gowina

KRAJ
12 **Rząd pokazał, jak fatalnie traktuje dane**
– rozmowa z Michałem Rogalskim
14 **Ozdrowieńcy**
Po chorobie wracają do życia
18 **Dawcy osocza**
Tak niewiele potrzeba
22 **Handel ludźmi kwitnie, bo jest społecznie akceptowany**
– rozmowa z Ireną Dawid-Olczyk
26 **Lasy Państwowe w służbie partii i Kościoła**
Pochlebcy w mundurach leśnika

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY
27 **Nie zmarnujmy tego**
Sprawiedliwa transformacja, czyli jaka

ZAGRANICA
28 **Awantura w rodzinie demokratów**
Wygrana jak klęska
32 **Zaszczepieni przez obcych**
Imigranci od szczepionki

HISTORIA
39 **Bunt potęgą jest i basta**
– rozmowa z dr. Michałem Rauszerem

PSYCHOLOGIA
42 **Rozwód w czasach zarazy**
– rozmowa z Joanną Hetman-Krajewską

ZDROWIE
46 **Gorzka pigułka**
Uzależnieni od suplementów

KULTURA
50 **Dajmy sobie przestrzeń do życia**
– rozmowa z Olgą Bołądź
53 **Qulturalia**
54 **Książkowy prezent pod choinkę**
66 **Marian Eile. Artysta i redaktor**

SPORT
58 **Niemoc nie tylko pandemiczna**
Rok biało-czerwonych do zapomnienia

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Kłamią, bo mogą
11 **Andrzej Romanowski**
Pięciolecie hańby
31 **Roman Kurkiewicz**
Nigdy nie będziesz szedł sam
45 **Tomasz Jastrun**
Przez szczeliny
49 **Wojciech Kuczok**
Dziaderstwo i dziadostwo

12
KRAJ

RZĄD POKAZAŁ, JAK FATALNIE TRAKTUJE DANE
– rozmowa z Michałem Rogalskim

28
ZAGRANICA

AWANTURA W RODZINIE DEMOKRATÓW
Wygrana jak klęska

50
KULTURA

DAJMY SOBIE PRZESTRZEŃ DO ŻYCIA
– rozmowa z Olgą Bołądź

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 5d369d7248

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Prof. Lech Mażewski
Państwo, Kościół i Solidarność w latach 1980-1981

Dr Edward Karolczuk
Perfidne prawo przeciw kobietom

Dr Krzysztof Chyliński
Wyciąć wadliwe chromosomy

Balon hipokryzji musi pęknąć

Tekst prof. Mariana Szamatowicza pod tym tytułem jest świadectwem szczerej i prawdziwej troski o życie tysięcy polskich rodzin. Mam szczególny stosunek do Pana Profesora i jego Zespołu. To ci lekarze uratowali życie mojej żony. Do końca moich dni będę im wdzięczny. Podobnie jak lekarzom, pielęgniarkom i całemu personelowi Kliniki Intensywnej Terapii i Anestezjologii, którzy walczyli z sukcesem o życie mojego syna.

Balon hipokryzji musi pęknąć

To, co gotują nam i naszym rodzinom ideolodzy w zakresie naszego zdrowia, jest zwykłym kuglarstwem. Niebezpiecznym, niszczącym chore osoby i fizycznie, i psychicznie. Nasza służba zdrowia ma sporo mankamentów. Za nimi jednak w głównej mierze stoją konkretni ludzie, zwłaszcza zarządzający. Właśnie przypadki mojej żony i syna są najlepszą tego ilustracją. W przypadku żony szybka diagnoza, decyzja i nowotwór został pokonany. Syn miał trochę mniej szczęścia. Trafił na wspaniałych ludzi. Zrobili chyba nawet więcej, niż mogli – niestety, urzędnicze procedury spowolniły, a nawet cofnęły pewne możliwości rehabilitacji.

Mam nadzieję, jak Profesor, że przyjdą czasy, kiedy to lekarz – fachowiec, specjalista, mistrz – wspólnie z pacjentem i jego rodziną będą podejmowali decyzje. Liczę na to, że obecny ruch, który nazywam Ruchem „Wybieram Wolność Wyboru", bezpowrotnie wymiecie ideologię oraz biurokratyczne, bezduszne procedury ze sfery dbania o nasze zdrowie.

Andrzej Antczak, Białowieża

Antyszczepionkowcy, antycovidowcy, antymaseczkowcy i inni

Szerzeniu tych debilizmów sprzyja prawie nieograniczony dostęp do mediów. Każdy oszołom z komputerem może zostać specem od wszystkiego na Facebooku czy YouTubie. Kiedyś te głupoty rozchodziły się tylko do rodziny i znajomych oszołoma, dziś może je chłonąć każdy. Stąd popularność ruchów antynaukowych.

Antyszczepionkowcy, antycovidowcy, antymaseczkowcy i inni

Michał Czarnowski

Dlaczego mimo kryzysu PiS lewica nie zyskuje w sondażach?

Bo nikt z Lewicy nie wyszedł na konferencję prasową i nie powiedział: „Gdybyśmy teraz doszli do władzy, od jutra kwota wolna od podatku wyniesie 24 tys. zł, zaczniemy wygaszać 500+ dla zamożniejszych obywateli i przestajemy finansować Kościół, żeby znaleźć kasę na ratowanie służby zdrowia; ruszymy z robotami publicznymi, żeby zapewnić pracę tym, którzy ją stracili z powodu kryzysu". Do tego można dodać trochę zdrowego populizmu w stylu: „Warszawa wysysa ludzi z całego kraju, dlatego zdecentralizujemy urzędy; zero tolerancji dla piratów drogowych i powiązanie mandatów z zarobkami; zamiast nowych samochodów służbowych dla urzędników kupujemy karetki; oderwiemy polityków od cyca w spółkach skarbu państwa" (tutaj należy podać kwotę, którą zarabiają ludzie z nadania politycznego w spółkach, ze szczególnym uwzględnieniem nadań PiS). I poparcie natychmiast skoczy.

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego mimo kryzysu PiS lewica nie zyskuje w sondażach?

Tomasz Szajer

ZDJĘCIE TYGODNIA

Odeszła legenda piłki nożnej. Cały świat opłakuje śmierć boskiego Maradony. Bardzo przeżywają to także mieszkańcy Neapolu, gdzie Diego grał przez siedem lat.

FOT. FABIO SASSO/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 5d369d7248

Prof. Adam Bodnar, rzecznik praw obywatelskich, otrzymał Nagrodę Fundacji im. Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego „za dzielność obywatelską, determinację, odwagę, obronę zagrożonych praw obywatelskich, wzmocnienie instytucji RPO".

Judyta Watoła i Wojciech Czuchnowski z „Gazety Wyborczej" otrzymali Nagrodę Radia ZET im. Andrzeja Woyciechowskiego za cykl artykułów o nieprawidłowościach przy zakupie maseczek i respiratorów przez Ministerstwo Zdrowia.

Laureatami konkursu „Produkt w obiegu" organizowanego przez Ministerstwo Klimatu i Środowiska **zostały spółka Bin za inteligentny kosz Bin-e** całkowicie wyręczający użytkownika w segregacji śmieci **oraz Instytut Nowych Technologii Inżynierii Środowiska za Climate Garden,** ogród wykorzystujący m.in. wody deszczowe i odpady.

Krystyna Piórkowska z Nowego Jorku za własne środki kupiła na aukcji sześć francuskich listów Adama Mickiewicza i podarowała je Bibliotece Narodowej.

Średnia powierzchnia użytków rolnych gospodarstw ubiegających się o dopłaty bezpośrednie wzrosła do 11,04 ha. Najwyższa jest w Zachodniopomorskiem (31,75 ha), Warmińsko-Mazurskiem (23,25) i Lubuskiem (22,29). A najniższa w Małopolskiem (4,16), Podkarpackiem (4,94) i Świętokrzyskiem (5,88).

Na 135 polskich biskupów kard. Stanisława Dziwisza broni tylko garstka, a trafniej byłoby powiedzieć garsteczka.

Paweł Jabłoński, pisowski wiceminister spraw zagranicznych, bredził w Telewizji Republika o „rasizmie zachodnioeuropejskim wobec Europy Środkowej". Może myśli, że każdy, kto drwi z jego dyplomatycznych gaf, to rasista?

Do 50 tys. wzrosła w zeszłym roku liczba przypadków unikania szczepień obowiązkowych.

Mariusz Ciarka, rzecznik prasowy komendanta głównego policji, marnuje się na tej posadzie. Człowiek, który **o parlamentarzystach mówi: „tchórze kryjący się za immunitetem",** ma kwalifikacje na rzecznika PiS, a nawet prezesa K.

O 7,5% wzrosły ceny za użytkowanie mieszkania w porównaniu z październikiem br., **a ceny energii o 11,7%.**

Arkadiusz Piętka, komendant komisariatu policji w podwarszawskim Józefowie, czaił się w cywilnym samochodzie pod domem Romana Giertycha i próbował córce mecenasa wręczyć na parkingu wezwanie dla ojca.

Tylko 135 km szybkich tras zostanie włączonych do ruchu w 2020 r. Znacznie gorzej niż w 2019 r., gdy oddano 460 km dróg.

PRZEBŁYSKI

Duńczyk o kłamstwach Macierewicza

Nawet w tygodniku „Sieci" mają dość bredni Antoniego Macierewicza o Smoleńsku. Opinia Duńczyka Glenna Jørgensena, który przez wiele miesięcy prowadził prace na tupolewie o numerze bocznym 102, jest dla Macierewicza tak druzgocąca, że z przyjemnością ją przytaczamy: „Rozumiem, że znowu jest Pan w pilnej potrzebie PR-owej, aby opublikować pewne wstępne wyniki na nadchodzący 10 kwietnia. I że właśnie z powodów PR-owych najwyraźniej nie przejmuje się Pan jakością odpowiedzi, których udziela (…). Wielokrotnie podkreślałem, że Pana potrzeby PR-owe nie powinny mieć pierwszeństwa przed udzieleniem poprawnych i prawdziwych odpowiedzi dotyczących naszych dochodzeń". No i co tu jeszcze dodać?

Kulasek z Kłeczkiem

Co wspólnego mają dwaj panowie MK? Oj, mają, mają. **M**arcin **K**ulasek – ten z trudną do określenia funkcją: może sekretarz generalny SLD, a może Lewicy czy Nowej Lewicy? Nie wiadomo, bo w SLD dawno mu się kadencja skończyła, a w Lewicy nie zaczęła. Kulasek pokazuje się w TVP Info na tle baneru z wieloma napisami „Marcin Kulasek". Skromnie, a godnie. Gorzej z wypowiedziami. Od czytelników wiemy, że w przedostatnią niedzielę nie wydusił z siebie nawet jednej niebanalnej myśli. A drugi? **M**iłosz **K**łeczek. Też z TVP Info. Równie niezborny w wypowiedziach. Człowiek od glanowania słowem opozycji. I kobiet. Próbował się wedrzeć na konferencję Strajku Kobiet.

Lisicki na trudne czasy

W ekipie, która własną piersią broni polskiego Kościoła przed reformami papieża Franciszka, najwięcej zapału wykazuje Paweł Lisicki. Szef tygodnika „Do Rzeczy" jest przodownikiem tej walki. Nawet abp Jędraszewski może przy nim uchodzić za liberała. W opisie sytuacji Kościoła w Europie Lisicki ma trafne obserwacje: zamykanie parafii, masowa apostazja i brak chętnych do zawodu. Dla niego ostatnim ratunkiem jest Polska. I wiejskie parafie, które jeszcze bronią się przed antychrześcijańską zarazą. Plus grupka skupionych wokół Lisickiego walczaków. Wzorem dla nich jest abp Lefebvre, choć odsunięty przez Jana Pawła II. I abp Athanasius Schneider z Kazachstanu.

Do prezesa Stelmaszczyka

Jeśli jesteście klientami innogy Stoen Operator, to szybko dajcie na mszę. Tylko opatrzność może was ochronić przed praktykami tej firmy. Koniec listopada. 92-latka sama w starym domu w warszawskich Włochach. Schorowana i bezradna. Do skrzynki na listy wrzucają jej druczek o wstrzymaniu dostaw energii. Odcinają staruszkę od prądu, czyli od ogrzewania. Siedzi po ciemku, w zimnie – 0 st. C w domu – i płacze. Interwencje na infolinii nie pomagają. Podobno nie ma montera. A przede wszystkim nie ma chęci. Pogotowie, straż pożarna. Ofiara innogy przeżyła.
A Panu, jak się żyje? Pytamy prezesa zarządu Roberta Stelmaszczyka.

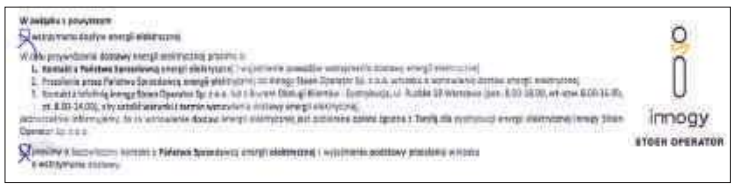

FOT. YOUTUBE, ARCHIWUM

eprasa.pl 5d369d7248

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | W jaki sposób państwo powinno wspierać artystów?

PROF. DOROTA ILCZUK,
Centrum Badań nad Gospodarką Kreatywną Uniwersytetu SWPS

Od osób oraz instytucji odpowiedzialnych za politykę kulturalną kraju należy oczekiwać stworzenia solidnego systemu odczuwalnego wsparcia, który uporządkuje kwestię uprawnień artysty zawodowego, obejmie i ubezpieczenia społeczne, i różne formy pobudzania popytu w sektorze kultury. Będzie uwzględniał strategie postępowania w sytuacjach kryzysowych, ale też profesjonalne monitorowanie i analizę sytuacji artystów. System ten musi się zrodzić z otwartych konsultacji z samymi zainteresowanymi, czyli artystami, twórcami i wykonawcami, a zawarte w nim rozwiązania powinny stymulować samoorganizację środowisk twórczych i profesjonalizację rynku pracy artystów. Chcemy bowiem, aby ten rynek był wolny, ale nie dziki.

RAFAŁ SKĄPSKI,
wydawca, były wiceminister kultury

Pomoc artystom, szczególnie w tak trudnym czasie, to oczywisty obowiązek państwa. Winien on być realizowany nie tylko poprzez bezpośrednie wsparcie twórców, ale także na inne sposoby. Media rządowe powinny nadawać „tantiemowe" współczesne polskie utwory, w polskich wykonaniach. Biblioteki, wsparte dodatkowymi środkami, powinny kupować książki polskich autorów, co byłoby również pomocą dla wydawców. Teatry, kina, sale muzyczne itp. powinny być czynne, jeśli tylko zagwarantują zachowywanie koniecznego dystansu społecznego. Powinien zostać uruchomiony fundusz umożliwiający muzeom zakup polskiej sztuki współczesnej. Konieczny jest program celowych stypendiów twórczych, aby pomoc dla artystów nie była wyłącznie czymś w rodzaju renty socjalnej. W tak zarysowaną akcję powinny być włączone wszystkie związki twórcze, dzięki czemu kryteria przyznawania pomocy będą możliwie obiektywne.

MARTA PSZONAK,
rzeźbiarka, edukatorka artystyczna, Fundacja Działania

Wrzucenie do jednego worka, jakim jest Fundusz Wsparcia Kultury, dużych instytucji, organizacji pozarządowych i przedsiębiorców doprowadziło do zamieszania, dlatego powinny obowiązywać osobne kryteria wyboru beneficjentów z każdej z tych grup. System powinien ponadto uwzględniać ich wewnętrzne zróżnicowanie. Na przykład w trzecim sektorze funkcjonują podmioty, które prowadzą działalność odpłatną czy gospodarczą, ale i takie jak nasza fundacja, które nie generują zysków, ale utrzymują na umowach-zleceniach czy o dzieło kilkunastu, a w niektórych okresach kilkudziesięciu artystów, animatorów i edukatorów. Jeśli chodzi o bezpośrednią pomoc, to wzorem do naśladowania może być jednorazowy przelew, który bez żadnych formalności otrzymali wszyscy członkowie Związku Artystów Wykonawców STOART. Podobna bezwarunkowa pomoc „na życie" wydaje się szczególnie potrzebna w przypadku twórców niezależnych, nierzadko młodych i jeszcze niezrzeszonych, bez stałego zatrudnienia i oszczędności. Wsparcie ze strony państwa powinno wyrównywać szanse, a nie pogłębiać przepaść między słabiej sytuowanymi artystami a przedsiębiorcami z branży artystycznej, zatrudniającymi menedżerów czy fundraiserów.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 5d369d7248

Mistrz i uczeń

Dlaczego Kaczyński nie może sobie poradzić z Ziobrą? Nie chce? Nie umie? Nie musi?

Robert Walenciak

Wojna na prawicy trwa. Zbigniew Ziobro, minister sprawiedliwości przecież, już otwarcie wchodzi w buty ministra spraw zagranicznych i ministra spraw wewnętrznych, wypowiadając się na temat naszych kontaktów z Unią i o policji. Poucza premiera i pyta, czy ten jest „miękiszonem", bo będzie nim, jeśli nie zawetuje budżetu Unii.

Te występy nie tylko są upokarzające dla premiera. W kiepskim świetle stawiają także Jarosława Kaczyńskiego, który jako wicepremier jest zwierzchnikiem Ziobry w rządzie. I aż narzuca się pytanie, dlaczego Kaczyński na to pozwala.

Przecież jeszcze we wrześniu, gdy kończyła się tzw. rekonstrukcja rządu, wydawało się, że prezes Prawa i Sprawiedliwości ma Ziobrę pod butem. Wiele mówiła sytuacja po głosowaniu nad „piątką dla zwierząt", gdy przeciw propozycji prezesa oprócz 15 posłów PiS były Solidarna Polska i Porozumienie Gowina. Kaczyński zaraz po tym zwołał posiedzenie klubu PiS i ogłosił, że „negocjacje dotyczące rekonstrukcji rządu nie mają sensu, skoro »dotychczasowi koalicjanci« (czyli Ziobro i Gowin) występują z innym programem, z innymi wskazaniami do głosowań niż cały klub".

Mówił też, że jeśli sytuacja do tego zmusi, rekonstrukcja rządu nastąpi bez uzgodnień z Solidarną Polską i Porozumieniem. Jednocześnie wykluczył opcję rządu mniejszościowego. „Jeżeli zajdzie taka sytuacja, to pójdziemy na wybory. Oczywiście sami", dodawał z kolei szef klubu PiS Ryszard Terlecki.

Potem mieliśmy serię sondaży, z których wynikało, że ziobrowcy nie mają szans, by przekroczyć barierę 5%. Dlatego Ziobro wywiesił białą flagę, został w rządzie. Ale nie minęło kilka tygodni, a znów ruszył do boju. Tym razem popierając decyzję Trybunału w sprawie ustawy antyaborcyjnej, no i żądając zawetowania unijnego budżetu.

Skąd ten przypływ odwagi? Dlaczego Kaczyński nie potrafi Ziobry powstrzymać? Jest kilka teorii, które to tłumaczą. Przyjrzyjmy się im.

Teoria I: Kaczyńskiemu to się podoba.

Jeśli popatrzymy na kadrowe wybory Kaczyńskiego, to zdecydowanie chętniej stawiał na radykałów niż na osoby umiarkowane. Macierewicz w Ministerstwie Obrony Narodowej, Czarnek w Ministerstwie Edukacji Narodowej, Kamiński w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji. No i Ziobro w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Poza tym, jeżeli przypomnimy sobie deklaracje Kaczyńskiego, to widać, jak mu blisko do Ziobry. O tym, że trzeba „reformować" sądy, prezes PiS mówi od pierwszych dni swoich rządów. Dodając, że tylko „odważne" reformy mają szansę. Podobnie jest w sprawach europejskich. Tu Kaczyński jako pierwszy powiedział, że w wypadku wprowadzenia mechanizmu ochrony praworządności polski rząd będzie wetował budżet Unii. Ziobro nic więc nadzwyczajnego nie robi, powtarza tylko to, co Kaczyński powiedział wcześniej.

Można powiedzieć: realizuje jego politykę. Dlaczego zatem prezes miałby temu się sprzeciwiać? A że Ziobro tym sposobem wchodzi w jego buty? No, to już jest inna sprawa.

Teoria II: Ziobro ma haki.

Jest też teoria, która mówi, że ministra sprawiedliwości nikt nie rusza ze strachu. Ponieważ ma on na każdego haki. To, że je ma, a przynajmniej zbiera – jest bardzo prawdopodobne. Za rządów pierwszego PiS (jeszcze w koalicji z Giertychem i Lepperem) ujawniono, że Ziobro zwracał się do prokuratur, by przesyłały mu informacje o śledztwach, w których „przewijali się" politycy. Zapewne ten zwyczaj mu został.

Ziobro ma jeden z najwyższych wskaźników zaufania w elektoracie prawicy, a nieufności – w elektoracie anty-PiS. Idealnie polaryzuje scenę.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 5d369d7248

Zwróćmy poza tym uwagę, jak prokuratura działa. Wobec „swoich” jest bardzo łagodna. Przykładem niech będzie sprawa „dwóch wież” w Warszawie, czyli konfliktu austriackiego biznesmena Geralda Birgfellnera i Jarosława Kaczyńskiego. Birgfellner złożył na Kaczyńskiego doniesienie do prokuratury – a ta odmówiła wszczęcia jakiegokolwiek postępowania.

Na taki luksus nie mogą liczyć politycy opozycji. Czego ostatnim przykładem są losy Romana Giertycha. Zatrzymanego, potem, po odrzuceniu przez sąd wniosku o zatrzymanie, wypuszczonego. Być może nie na długo, bo prokurator krajowy Bogdan Święczkowski zdążył w mediach powiedzieć, że są nowe dowody przeciwko Romanowi G., więc…

Ale w działaniach prokuratury chodzi nie tylko o ściganie opozycji. Spójrzmy na jeszcze jeden przykład. Pod koniec października do sądu wpłynął akt oskarżenia w sprawie afery GetBack. Obejmuje on 16 osób, w tym prezesa firmy, Konrada K. Zarzuty dotyczą oszustw i wyprowadzania pieniędzy na łączną kwotę ok. 3 mld zł! GetBack emitował nic niewarte obligacje, które kupiło ponad 9 tys. osób, inwestując w nie ponad 2,5 mld zł. To afera zdecydowanie większa niż Amber Gold. A śledztwo trwa! I dotyczyć może jeszcze ok. 70 osób.

Prokuratura może iść różnymi ścieżkami. Może stawiać zarzuty Leszkowi Czarneckiemu, którego Idea Bank sprzedawał śmieciowe obligacje, ale może też dociekać powodów, dla których GetBackowi udało się tak długo funkcjonować na rynku. Skąd wzięła się ta bezkarność? A tu tropy prowadzą do ludzi władzy. Obecnej władzy. I można przypomnieć, że już od grudnia 2017 r. instytucje państwowe, takie jak Komisja Nadzoru Finansowego, wiedziały, że GetBack jest niewypłacalny i sprzedaje obligacje, ale milczały. Dlaczego? Czy tylko dlatego, że GetBack sponsorował imprezę 25-lecia „Gazety Polskiej”, a jego prezes chwalił się, że jest sponsorem „obozu niepodległościowego”?

Innymi słowy, afera może być bardzo niewygodna dla PiS, no i dla Mateusza Morawieckiego, bo to jego ludzie odpowiadali za kontakty z Konradem K. i prowadzili z nim rozmowy. Można zatem to wszystko w różnych kierunkach zwinąć i rozwinąć. I to jest siłą Zbigniewa Ziobry.

Teoria III: Kaczyński nie ma już siły, by uspokoić Ziobrę, bo ten jest popularny w PiS i wśród wyborców prawicy.

Gdy prześledzimy sondaże CBOS badające poziom zaufania i nieufności do polityków, zauważymy, że Ziobro w obu notowaniach jest w czołówce. Ufa mu ok. 45% ankietowanych, nie ufa – ok. 36%. A gdy rozbijemy te liczby na elektoraty, okaże się, że ma on jeden z najwyższych wskaźników zaufania w elektoracie prawicy, nieufności zaś – w elektoracie anty-PiS. Idealnie więc polaryzuje scenę.

Kaczyński nie może już tak łatwo go odsunąć, bo wyborcy prawicy by tego nie zrozumieli. Poza tym, jak dowodzą różne bunty na prawicy – bunt Banasia, bunt Gowina, bunt przeciw „piątce dla zwierząt” – prezes PiS przestał być w swoim obozie

W NOWY ROK
Z PRZEGLĄDEM
Specjalna oferta świąteczna!
Zrób prezent
SOBIE
i BLISKIEJ OSOBIE
Przegląd
www.sklep.tygodnikprzeglad.pl
Kupując elektroniczną prenumeratę roczną (e-prenumerata lub subskrypcja), zapłacisz TYLKO 99 zł i dostaniesz e-book „Dąbrowszczaków” gratis
Kupując dodatkowo drugą prenumeratę roczną na prezent z kodem SWIETA2020, dostaniesz od nas książkę „PRL. Od Jałty do Października ‘56” w wersji papierowej, którą wyślemy na wskazany przez Ciebie w zamówieniu adres pocztowy!*
*Wysyłka nierejestrowana Pocztą Polską

eprasa.pl 5d369d7248

wszechmocny. Można mu się sprzeciwić i wygrać.

Ziobro to wie i testuje, na ile może sobie pozwolić. Zwłaszcza że w tej chwili Jarosław Kaczyński dysponuje wobec niego tylko jedną bronią – opcją atomową. Czyli wcześniejszymi wyborami. Solidarna Polska ma 19 posłów, więc ich wyjście z koalicji natychmiast czyni rząd Morawieckiego rządem mniejszościowym. A tego Kaczyński chce uniknąć. Owszem, może wtedy doprowadzić (co nie jest proste) do przyśpieszonych wyborów i w ten sposób wypchnąć Ziobrę i ziobrystów poza parlament. Ale to tylko teoria. W praktyce byłaby to operacja bardzo trudna i długa. Poza tym w ten sposób Kaczyński być może pozbyłby się Ziobry z parlamentu, ale czy wyeliminowałby go z polityki? Raczej nie. Bardziej prawdopodobne, że w ten sposób uczyniłby z niego swojego naturalnego następcę, w przypadku kłopotów PiS męża opatrznościowego prawicy, w dodatku skrzywdzonego. No i jeszcze jedno – wcale nie jest przesądzone, że PiS te wybory by wygrało.

Afera GetBack może być bardzo niewygodna dla PiS i dla Mateusza Morawieckiego, bo to jego ludzie odpowiadali za kontakty z Konradem K.

Teoria IV: W poszukiwaniu równowagi.

Może tego nie zauważamy, ale polska prawica jest mocno podzielona, są tam różne grupy i koterie, a każda gra o swoje. Siła Kaczyńskiego polega na tym, że znakomicie tymi grupami administruje, umiejętnie zachowując równowagę sił. Wie też, że może, owszem, Ziobrę gdzieś zepchnąć, ale nie rozwiąże mu to wielu problemów, bo natychmiast pojawią się kolejni pretendenci, którzy będą budować własną pozycję. Klasycznym tego przykładem jest Andrzej Duda, który już oświadczył, że nie poprze „piątki dla zwierząt", zachęcał natomiast Morawieckiego do wetowania unijnego budżetu. Zwróćmy uwagę – na prawicy coraz rzadziej mówią jednym głosem.

Swoje grają również inni i ewidentnie widać, że ofensywa Ziobry nie jest im obojętna. Bo część jednoczy się przeciw niemu, część na niego stawia. Być może więc taka pozycja Ziobry ułatwia prezesowi PiS rządzenie prawicą, pomaga zachować wewnętrzną równowagę po tej stronie.

Pewnie przychodzi mu to tym łatwiej, że lista jego skalpów, czyli polityków z własnego obozu, których odstrzelił, jest długa. Co na pewno wzmacnia jego pewność siebie.

Teoria V: Teoria roweru.

Zwróćmy uwagę, jak Kaczyński reaguje na kolejne kłopoty. Raczej nie próbuje uciszać awantury, lecz przykrywa ją kolejną, mocniejszą. Polityka to dla niego ciągły konflikt, walka. W takich sytuacjach czuje się najlepiej. I co tu się rozwodzić – w ten sposób prowadzi polską politykę od pięciu lat. Bo od ponad pięciu lat mamy permanentną „wojnę na górze".

Wojnę, w której to on wyznacza pole kolejnych bitew, narzuca dyskurs i społeczne zainteresowanie, a opozycja jest reaktywna. Ta wojna, jak widać po wynikach kolejnych wyborów, ani Kaczyńskiemu, ani PiS nie zaszkodziła. Dlaczego więc miałby porzucać coś, co lubi i co przynosi mu korzyść?

Ziobro testuje, na ile może sobie pozwolić. Zwłaszcza że przeciw niemu Kaczyński ma tylko jedną broń – wcześniejsze wybory.

Owszem, dla wielu ważnych polityków PiS nieustająca wojna jest męcząca. Chcieliby w spokoju spożywać owoce zwycięstwa. Ale Kaczyński wie, że oznaczałoby to koniec jego formacji, bo to „spożywanie owoców" jest w Polsce rozumiane zbyt dosłownie. We wszystkich partiach.

Dlatego, aby zachować rewolucyjną czujność, trzymać partię w jakiej takiej dyscyplinie, kontrolować debatę publiczną i mieć swoich zwolenników, swój elektorat pod parą, Kaczyński utrzymuje Polskę w stanie ciągłego napięcia, niby-wojny. Polsce może mało to służy, ale jego władzy – jak najbardziej.

•

Różne zatem mogą być przyczyny tego, że Kaczyński pobłaża Ziobrze, że raczej mu ustępuje, niż go grilluje. Widocznie nie chce, nie może, nie musi… Choć jedno jest pewne – w tych zapasach to on jest faworytem, on jest silniejszy i określa warunki gry. Jeszcze.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 5d369d7248

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Pięciolecie hańby

Wybory z maja 2015 r., w wyniku których dr Andrzej Duda uzyskał prezydenturę, były uczciwe. Choć można było się dziwić, że prezydentem Rzeczypospolitej zostaje człowiek, który prywatne wyjazdy zarobkowe rozliczał oszukańczo jako działalność poselską. Wybory z października 2015 r., w których PiS zdobyło większość parlamentarną, też były uczciwe. Choć można było się zdumiewać, że kilkanaście lat wcześniej sąd państwa demokratycznego dokonał rejestracji partii o charakterze wodzowskim. Natomiast wybory parlamentarne z jesieni 2019 r. oraz wybory prezydenckie z lata 2020 r. nie były już uczciwe. Ale były legalne. Tyle że legalność straciło wcześniej państwo.

Strażnikiem legalności, gwarantem ciągłości państwa jest z natury rzeczy prezydent. Cóż, kiedy dr Duda ciągłości państwa nigdy nie uznawał. Zanim został prezydentem, śpiewał: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie" (rozumiem, że teraz już tak nie śpiewa), a jako prezydent sądził, że w czasie II wojny światowej „instytucji państwa polskiego nie było" (nawet Stalin uważał, że były). Jako prezydent dr Duda przysięgał wierność polskiej konstytucji i wzywał na to Imię Boże (nikt nie zareagował na krzywoprzysięstwo). Dlatego temu, co się stało w Pałacu Prezydenckim nocą z 2 na 3 grudnia 2015 r., trudno nawet się dziwić. Za parę dni minie piąta rocznica tego wydarzenia.

Trudno się dziwić, bo już przedtem obserwowaliśmy prawną ekstrawagancję pana prezydenta. Było nią ułaskawienie niewinnego, a może w większym jeszcze stopniu – uzasadnienie tego ułaskawienia. Prezydent uznał mianowicie, że od sprawy Mariusza Kamińskiego trzeba uwolnić wymiar sprawiedliwości. Rzeczywiście, uwalnianie wymiaru sprawiedliwości stało się odtąd znakiem rozpoznawczym tej władzy. Wkrótce potem, tamtej właśnie grudniowej nocy, prezydent uwolnił od działania Trybunał Konstytucyjny.

Przyjął wszak ślubowanie od ludzi wybranych do Trybunału w sposób nieprawomocny, na miejsca już zajęte przez osoby wybrane prawidłowo. Czyli prezydent, strażnik konstytucji, naruszył legalny charakter organu orzekającego zgodność ustaw z konstytucją. Wywołało to – musiało wywołać – reakcję łańcuchową. W samym Trybunale doszło do trzęsienia ziemi i niebawem zmienił się on w atrapę, we własną karykaturę, w coś, co prof. Wojciech Sadurski określa mianem „grupy znajomych mgr Przyłębskiej". To ta grupa orzekła 22 października br. zakaz w Polsce praktycznie każdej aborcji. Co, jak wiemy, wywołało masowe protesty. Zdewastowanie Trybunału Konstytucyjnego umożliwiło zaś rozprawę z niezależnym sądownictwem. A to spowodowało – wielokrotnie już wyrażane – sprzeciwy i protesty Unii Europejskiej. Tym sprzeciwom premier Morawiecki dał zaś odpór w Sejmie 18 listopada: obrzucił Unię obelgami, porównał ją do ZSRR i zagroził zawetowaniem unijnego budżetu. Gdyby rzeczywiście do tego doszło, w dodatku teraz, w dobie pandemii, byłaby to katastrofa dla Polski i całej Wspólnoty. Tak czy inaczej faktyczny polexit dokonał się 18 listopada. Lecz jego źródła biją wciąż w tamtej nocy sprzed pięciu lat, gdy chyłkiem przyjęto niekonstytucyjne ślubowanie.

Dlaczego wtedy nie wyszliśmy na ulice? Dlaczego poparcie dla PiS nie spadło natychmiast do zera, niechby do 4%? A przecież w historii tak właśnie bywa: przełomowy charakter danego wydarzenia widać w pełni dopiero z dalszej perspektywy, a ludzie nie zawsze takimi sprawami się przejmują. W roku 1704, w momencie podpisania polsko-rosyjskiego traktatu sojuszniczego w Narwie, nikt sobie nie wyobrażał, że oto zaczyna się prawie 300-letni okres rządów Rosji w Polsce. W roku 1795, gdy dokonywał się trzeci rozbiór, cała Polska składała wiernopoddańcze homagia nowym władzom, a na balach karnawałowych bawiono się dobrze jak nigdy. Mało kto żałował Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Z Polski w Unii został szyld, pusta powłoka, pozbawiona treści. Jak z Trybunału Konstytucyjnego.

Dziś mało kto żałuje III Rzeczypospolitej. Bo mało kto zdaje sobie sprawę, że tego państwa od pięciu lat już nie ma, tak jak Polski w Unii Europejskiej nie ma faktycznie od 18 listopada. Z Polski w Unii został szyld, pusta powłoka, pozbawiona treści. Jak z Trybunału Konstytucyjnego. A Polska została sama: bez Trójmorza, bez Wyszehradu, nawet bez wujka Trumpa za oceanem. Za to z Węgrami i (w najlepszym razie) Słowenią. Nie wiemy jeszcze, jak ostatecznie się skończy unijna batalia budżetowa, można tylko być pewnym, że nawet gdyby znów był wynik 27:1, i tak zostanie to otrąbione jako sukces. Ale mleko się wylało.

Jesteśmy bowiem sami – jak przed ponad 200 laty. Wtedy nikt istnienia Rzeczypospolitej nie bronił, nawet werbalnie. Rozbiorów nie uznała tylko Turcja. Więc może by i dziś udać się pod opiekę Recepa Erdoğana? Nie zdziwiłbym się – wszak taka to nasza polityka zagraniczna. I takie skutki tamtej grudniowej nocy.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 5d369d7248

Rozmawia
Małgorzata Szczepańska-Piszcz

Rząd pokazał, jak fatalnie traktuje dane

19-latek za dobrze opisywał pandemię

Napisał pan kilka dni temu na Twitterze: „Czuję, jakby ktoś mi dał w pysk”.

– Stworzyłem, pracując jako wolontariusz, wielką bazę danych o pandemii COVID-19, społeczny projekt, który miał służyć ludziom. Jedni szyli maseczki, a ja z sześciorgiem pomocników (których wcześniej nie znałem, a zwerbowałem ich w 15 minut na Twitterze) codziennie uzupełnialiśmy dane w tabelkach. Baza świetnie służyła naukowcom, studentom, dziennikarzom, rządowym agendom i każdemu, kto chciał się przyjrzeć pandemii w liczbach. Korzystały z naszych arkuszy dziesiątki tysięcy ludzi dziennie. I jedną decyzją głównego inspektora sanitarnego, odcinającą nas od danych z wojewódzkich i powiatowych stacji sanitarno-epidemiologicznych, uniemożliwiono nam dalszą pracę. Od kilku dni wszystkie dane w bardzo okrojonej formie podaje wyłącznie Ministerstwo Zdrowia. I nie można tych liczb w żaden sposób zweryfikować.

A właśnie pan udowadniał, jak niezbędna jest weryfikacja danych z ministerstwa.

– Najdobitniejszym dowodem na potrzebę weryfikacji jest to, że zagubili ok. 22,5 tys. przypadków zakażeń. A potem dopisali zgubę jak gdyby nigdy nic do ogólnej liczby przypadków. Takie działanie jest niedopuszczalne. Mnie, Rogalskiemu, dokładny przyrost zakażeń dzień po dniu może nie jest potrzebny. Ale już naukowcom tak. Jeśli dane mają być wiarygodne, nie można sobie ot tak czegoś dopisywać. Po prostu rząd pokazał, jak fatalnie traktuje dane.

Dopisali, bo pan im wytknął nieścisłości.

– I teraz nikt im żadnych błędów nie wytknie. Bo nie ma możliwości. W zamian otrzymaliśmy bazę danych Ministerstwa Zdrowia, która wygląda jak nieśmieszny żart. Rozpoczyna się dziewięć miesięcy po wybuchu pandemii. I zawiera najprostsze informacje: dane z jednego dnia o zarażeniach oraz zgonach. I koniec. Żadnych danych historycznych czy archiwum. A przez to brakuje porównań, odniesień. Mówienie, że taka baza ma coś ułatwić, brzmi fałszywie. Dobrze, że ktoś w końcu zrozumiał, że należy ją stworzyć, ale powinna ona istnieć i być rozwijana od początku pandemii.

Gdy nagłaśniałem, że dane, które podaje strona rządowa, są nieścisłe, a skala błędu olbrzymia – i, jak się okazało, miałem rację – oczekiwałem poprawy polityki informacyjnej. Niestety, Ministerstwo Zdrowia i główny inspektor sanitarny zamiast zwiększyć liczbę przekazywanych danych, poprawić ich transparentność i dostępność, przyjęli strategię odwrotną: odcinamy ludzi od danych i likwidujemy w ten sposób problem nieścisłości.

Ministerstwo twierdzi, że ta baza jest w budowie, będzie rozwijana.

– To niech budują, rozwijają, ale dlaczego odcinają nas od innych źródeł danych? Dlaczego blokują naszą, dużo pełniejszą informację?

Nie chcą, żeby 19-latek wytykał im błędy. Jak wykryliście te nieścisłości?

– Na ślad różnych nieścisłości wpadaliśmy wcześniej, ale dopiero gdy w listopadzie zaczęliśmy liczyć dokładnie dane z powiatowych stacji sanitarno-epidemiologicznych województw mazowieckiego i śląskiego i porównywać je z ministerialnymi, zorientowaliśmy się, że różnice zrobiły się naprawdę spore – kilkaset brakujących przypadków dziennie. 4 listopada liczba zagubionych zarażeń dochodziła już do 3 tys. Najpierw zaczęliśmy weryfikować nasze dane i obliczenia. Sprawdzaliśmy, czy to nie my popełniliśmy błąd. A gdy się okazało, że nie, a różnica 11 listopada urosła do ponad 14 tys. przypadków, sprawę nagłośniliśmy. Zaznaczając, że sprawdziliśmy tylko dwa województwa (z reszty niestety mieliśmy jedynie dane z wojewódzkich stacji sanitarno-epidemiologicznych), więc najprawdopodobniej skala problemu jest znacznie większa. Media wszystko opisały. W rezultacie minister zdrowia zarządził kontrolę. My nadal liczyliśmy i doszliśmy do prawie 18 tys. różnicy; gdy ministerstwo zakończyło kontrolę 24 listopada, dopisało ok. 22,5 tys. zagubionych przypadków zakażeń.

Postanowiłem przyjrzeć się pandemii bez emocji. Dlatego zacząłem gromadzić i upubliczniać czyste dane.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl 5d369d7248

Bo – najwidoczniej – nieścisłości wykryto także w innych województwach. Rzetelności ministerialnych wyliczeń nie ma jak sprawdzić, bo nie wiadomo, w jakim dniu i miejscu powstały nieścisłości.

Ostatnio doliczyliście się, że przekroczyliśmy próg kwarantanny narodowej ustalony przez premiera Morawieckiego na 70 zarażeń na 100 tys. mieszkańców.

– Powiedziałem: sprawdzam. I zaczęliśmy liczyć jeszcze raz, uwzględniając te zaginione zarażenia. Wyszło nam, że próg kwarantanny przekroczyliśmy najprawdopodobniej już 11 listopada, gdy wykryto 71,5 zarażeń na 100 tys. mieszkańców. GIS z naszymi wyliczeniami się nie zgadza. Zaproponowałem więc: podajcie dokładne dane, policzymy jeszcze raz i przekonamy się, kto ma rację.

Jest nadzieja, że podadzą? W końcu to informacja publiczna, do której prawo dostępu ma każdy Polak.

– W sprawę zaangażowały się media, jak również rzecznik praw obywatelskich, Sieć Obywatelska Watchdog Polska i parlamentarzyści, więc presja na rząd się zwiększa. Jest nadzieja.

Czy oprócz zaniżania liczby wykrytych przypadków COVID-19 zauważyliście inne nieprawidłowości?

– Tak. Ministerstwo Zdrowia w ogóle nie weryfikuje otrzymywanych i podawanych dalej liczb. Ostatnio w Lubuskiem, według wykazu tamtejszego urzędu wojewódzkiego, z dnia na dzień przybyło 114 respiratorów (wcześniej mieli 68). W kolejnym zestawieniu znów mieli 68. Ktoś się pomylił, ale takich pomyłek jest niemało. I te fałszywe liczby przepisywane do raportów ministerstwa mącą obraz pandemii.

Kto panu pomagał naukowo przy tworzeniu bazy danych? Jest ona bardzo obszerna, przejrzysta i profesjonalna.

– Jestem samoukiem. I to była pierwsza baza danych, jaką stworzyłem. Uwielbiam liczby i opis świata ujęty liczbowo. Bo tylko liczby pozwalają na racjonalne podejście i przemyślane decyzje. Nie chciałem bazować na krzykliwych nagłówkach w mediach. Postanowiłem przyjrzeć się pandemii bez emocji, na zimno. Dlatego zacząłem gromadzić i upubliczniać czyste dane. Praca zajmowała kilka godzin dziennie. Plus praca współpracowników. To było na pewno kilkanaście godzin roboczych każdego dnia.

Wiosną był pan jeszcze w klasie maturalnej. Jak pan godził naukę z tworzeniem bazy?

– Bez problemu.

Ale to nie przez bazę nie poszedł pan na studia?

– Nie, potrzebowałem czasu, żeby dobrze wybrać. Nie chciałem wybierać studiów pochopnie, dlatego robię sobie rok przerwy. Pracuję teraz w Łodzi jako grafik komputerowy. Prowadzę bazę danych. I zastanawiam się nad dalszą drogą. Chcę zdobyć konkretną wiedzę z zakresu marketingu, PR i socjologii.

Zapełnialiście arkusze Excela przez 225 dni. Jeśli mimo nacisku rząd się nie ugnie i będzie łamał ustawę o dostępie do informacji publicznej, zawiesi pan pracę?

– Nie, nadal pracuję i będę pracował. Pewnie już sam. Na podstawie danych z Ministerstwa Zdrowia. Ale wiarygodność, jakość tej bazy będzie – nie mam co do tego wątpliwości – dużo gorsza. To już będzie inny projekt, inna baza.

m.piszcz@tygodnikprzeglad.pl

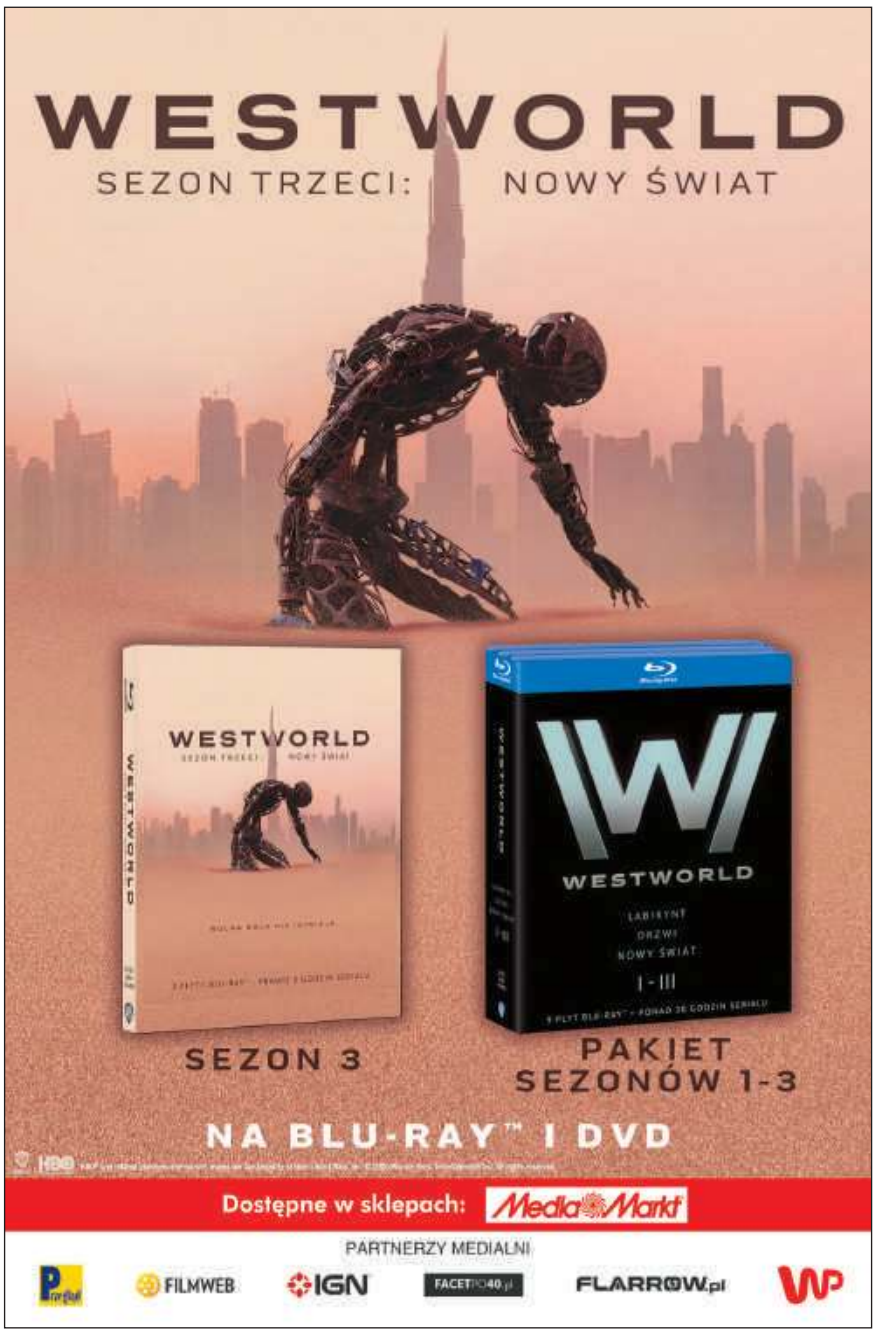

eprasa.pl 5d369d7248

Ozdrowieńcy

Z covidu wyleczyło się w Polsce ponad pół miliona osób. W tym reporterka PRZEGLĄDU

Anna Brzeska

– Gdy wyzdrowiałam, była piękna, jesienna pogoda, złote liście na drzewach, więc tuż po zakończonej izolacji pojechaliśmy do lasu na spacer – mówi Paula Leśniewska, nasza redakcyjna ozdrowieńczyni, która chorowała na COVID-19 w październiku (więcej w ramce obok).

Łukasz, mąż Oli Bednorz (organizatorki Strajku Kobiet Zabrze), najbardziej cieszy się z odzyskania smaku: – Gdy w końcu odzyskałem węch i smak, zjadłem kawałek kiełbasy. To była najlepsza kiełbasa w życiu! Dopiero wtedy uwierzyłem, że zdrowieję. Ale przestała mi smakować kawa, choć jestem wielkim kawoszem. Nie wiem jednak, czy to przez covid, czy raczej dlatego, że już dość tej kawy w życiu się napiłem.

Z kolei Kasia, znajoma mama dwóch córeczek, świętowała wyjście z choroby czekoladą. Wiola – zajadała się mandarynkami. Wreszcie czuła ich smak.

W Polsce z covidu wyzdrowiało już ponad 500 tys. osób. Dokładnie 516 636 – stan na 27 listopada, gdy oddaję tekst. Tak mówią przynajmniej oficjalne statystyki Ministerstwa Zdrowia i Głównego Inspektoratu Sanitarnego, tworzone na podstawie liczby zakończonych izolacji u osób, które wcześniej miały pozytywny wynik testu na koronawirusa. Wśród ozdrowieńców są osoby znane, m.in. aktorki Maja Ostaszewska i Olga Bołądź, Maryla Rodowicz, Jurek Owsiak czy skialpinista Andrzej Bargiel, który zjechał z K2.

Zakażonych do tej pory było niemal milion osób (958 416). Walkę z chorobą przegrało 16 147 osób – a więc nieco ponad 1,6% obecnej liczby pacjentów z pozytywnym wynikiem. Ile osób naprawdę przeszło covid – mając niewielkie lub nietypowe objawy czy nie mając ich wcale – nie wiadomo, ponieważ najczęściej nie zostały przetestowane. Według Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych zdecydowana większość chorych (80-90%) przechodzi

eprasa.pl 5d369d7248

zakażenie SARS-CoV-2 w sposób bezobjawowy lub skąpoobjawowy, niewymagający hospitalizacji. Można zatem sądzić, że realna liczba osób, które zostały zakażone wirusem i wyzdrowiały lub nie rozwinęła się u nich choroba, jest o wiele większa niż owe pół miliona.

Jak chorujemy, jak się leczymy

Na szczęście ogromna większość chorych nie potrzebuje żadnego leczenia poza wypoczynkiem – sprawny układ immunologiczny sam zwalcza wirusa. Jeśli więc mamy objawy covidu, nie wpadajmy w panikę, lecz posłuchajmy tych, którzy wyzdrowieli bez specjalnej interwencji, mimo że przebieg ich choroby wcale nie był łagodny.

Wiola, znajoma mama trójki dzieci: – Na początku miałam silny ból głowy – mniej więcej przez tydzień, później doszedł ból gałek ocznych. Potem w nocy zaczęło mnie ściskać w klatce piersiowej – jakby ktoś butem na mnie stanął. Do tego doszło ogromne zmęczenie. Od razu wiedziałam, że to covid. Nie da się tego pomylić z niczym innym.

U Wioli również zniknęły smak i węch. I to nagle. – Rano byłam w łazience i jeszcze czułam zapach odświeżacza. Niedługo potem poszłam do kuchni i chciałam obierać czosnek do żurku – i już nic nie czułam. Mąż śmiał się, że to pewnie dlatego, że czosnek chiński. Po kilkunastu minutach straciłam jednak również smak. Zupa po prostu była ciepła i tyle – opowiada.

Wiola żali się, że nie dostała od lekarza żadnych zaleceń. – Podczas teleporady powiedziano mi tylko, by w razie silnych duszności wzywać karetkę. I o tym, by zbijać wysoką gorączkę.

Kasia: – U mnie choroba zaczęła się od ogromnego kataru i zatkanych zatok. Byłam pewna, że to nie covid, bo wszyscy trąbili, że katar nie jest jego objawem. Później jednak odczułam zmiany w smaku i węchu. Wtedy zaczęłam się zastanawiać, czy to nie „to", zwłaszcza że zaraz potem zrobiła sobie test moja ciocia, z którą miałam kontakt – i miała pozytywny wynik. W końcu dostałam też zapalenia krtani i miałam mokry, odrywający się kaszel, który nie chciał przejść przez dwa tygodnie. Potem dwa dni ulgi – ale zaraz zaczęły się okropne duszności, jakby dorosła osoba siedziała na mojej klatce piersiowej. Bardzo się nimi stresowałam, więc wisiałam na telefonie z koleżanką, która radziła mi, by w razie większych duszności wystawić głowę przez okno czy

> Poczułam, jakby życie dało mi jakąś nową szansę.

Paula Leśniewska: Bałam się, że zaraziłam rodziców i babcię

Na COVID-19 chorowała – i wyzdrowiała! – nasza redakcyjna koleżanka, Paula Leśniewska. – Dziś czuję się już dobrze – mówi. – Najdłużej utrzymał się brak smaku i węchu. Cały czas próbowałam wąchać różne rzeczy, ale to wszystko wracało bardzo, bardzo powoli.

Paradoksalnie lęk przed chorobą dotarł do Pauli, dopiero gdy objawy złagodniały. – Wcześniej, gdy byłam najbardziej chora, odpychałam od siebie złe myśli – starałam się zapomnieć o wszystkich relacjach chorych walczących o każdy oddech. Najbardziej bałam się zresztą nie o siebie, ale o to, że mogłam zarazić rodziców lub babcię – stwierdza. – Wprawdzie z babcią widziałam się tylko przez chwilę, ale miałam świadomość, jak bardzo zaraźliwy jest wirus. Miałam też kontakt z rodzicami. No i wreszcie – redakcja. Stresowałam się, że mogłam tu kogoś zarazić.

Obawy Pauli okazały się na szczęście bezpodstawne, nikt się nie zaraził. Nieprędko jednak wróciła do stacjonarnej pracy, mimo że czuła się dobrze. – Szef długo jeszcze zabronił mi przychodzić do redakcji – śmieje się. – Przez dobre pięć tygodni pracowałam więc zdalnie.

Paula opowiada też o swojej walce z chorobą: – Zaczęło się od lekkiego kaszlu i stanu podgorączkowego. Cała rodzina mi powtarzała, że to na pewno zwykłe przeziębienie. Ale ja na wszelki wypadek przestałam chodzić do redakcji.

Już następnego dnia zorientowała się, że to jednak koronawirus: – Gorączka skoczyła, a pod prysznicem zauważyłam, że mój żel nie ma żadnego zapachu. Potem wąchałam olejki eteryczne i także nic nie czułam. Straciłam również smak. Wiedziałam już wtedy, że koniecznie muszę się zbadać.

I tu zaczął się horror. – Rozchorowałam się akurat na weekend. W niedzielę przychodnia oczywiście nieczynna. Na infolinii NFZ powiedziano mi, że muszę czekać do poniedziałku. W poniedziałek przez kilkadziesiąt minut próbowałam dodzwonić się do przychodni. Wreszcie zapisałam się na teleporadę i dostałam skierowanie na test. To było o godz. 16. Lekarka powiedziała mi, że jeden punkt pobrań w Warszawie jest dłużej otwarty, więc pojechaliśmy tam z moim chłopakiem. Przez godzinę staliśmy w kolejce na deszczu. I nie doczekaliśmy się. Punkt zamykano o godz. 18 – co najmniej 40 osób, w tym ja, zostało z niczym. Trzęsłam się z zimna w mokrej kurtce. Następnego dnia pojechaliśmy już do punktu *drive-thru* – nie chciałam więcej marznąć. Ale i nie zdążyłam się przetestować.

Chłopak Pauli jeździł z nią po całej Warszawie. Dopiero we Włochach udało im się zrobić test. Wynik przyszedł po nieco ponad dobie. Pozytywny.

– Po tej całej jeździe następnego dnia podniosła mi się gorączka i zaczęłam strasznie kasłać – opowiada Paula. – Gorączka trzymała mnie pięć dni, było coraz gorzej. Każdy dzień był inny: raz bolało mnie całe ciało, wszystkie mięśnie, innym razem miałam duszności. Okropne było też poczucie osamotnienia. Wiedziałam, że bliscy nie mogą nas odwiedzić, ale i tak było mi przykro, że rodzice tylko stawiają nam torby przed drzwiami i wieją. Taki irracjonalny smutek, że „wszyscy się od nas odcięli".

Jeśli chodzi o leczenie, Paula otrzymała głównie zalecenie wypoczynku i podniesienia odporności przez picie soku z malin, jedzenie miodu lub czosnku. Na ból – przeciwzapalny ibuprom.

Powrót do zdrowia? – Pod koniec izolacji chciało mi się chodzić. Czułam, że jestem chora już głównie przez to, że siedzę w domu. W dodatku była wtedy piękna pogoda, złote liście na drzewach, więc tuż po zakończonej izolacji pojechaliśmy do lasu na spacer.

Pauli życzymy dużo zdrowia!

eprasa.pl 5d369d7248

nawet włożyć głowę do lodówki. Bałam się, co będzie z córką – karmię piersią, jest przyzwyczajona do zasypiania ze mną. Nie wyobrażałam sobie pójścia do szpitala.

Wśród moich znajomych ozdrowieńców jest też Ola Bednorz, organizatorka Strajku Kobiet w Zabrzu: – U mnie zaczęło się od bólu bioder, miednicy. Mojego męża drapało w gardle, pobolewało w kościach. Sądziliśmy, że to przeziębienie. Ale potem, gdy nasza najmłodsza córka zrobiła bardzo brzydką kupę, okazało się, że on w ogóle nie poczuł żadnego zapachu. Następnego dnia obudziłam się już z bólem całego ciała. Potem było coraz gorzej. Non stop spaliśmy, coraz więcej i więcej. Kosmosem było nawet naszykowanie jedzenia – gdy przechodziłam z pokoju do kuchni, robiło mi się ciemno przed oczami. Coraz gorzej było także z oddechem. Straciłam również węch i miałam problemy ze wzrokiem – wszystko było jak za pofałdowaną szybą. Momentami bałam się, że nie dożyję następnego dnia. No i ten lęk – co z dziećmi? Teściowa sama ma problemy ze zdrowiem, siostry mieszkają daleko, jedna jest w ciąży. Najgorsze było poczucie, że jesteśmy zdani na siebie i po prostu musimy przetrwać.

Łukasz, mąż Oli: – U mnie właściwie zaczęło się od biegunki i strasznego bólu głowy. I... przeszło. Po dwóch dniach jednak zaczęły się kaszel i drapanie w gardle. Pracuję na zewnątrz, więc sądziłem, że to zwykłe przeziębienie. Żartowałem nawet w pracy z kolegami, że „to pewnie cholerny covid". No ale to rzeczywiście był covid. Zrozumiałem to, gdy straciłem węch. Chorowaliśmy oboje co najmniej dwa tygodnie.

Maja Ostaszewska: Podróż do kuchni czy łazienki była wyzwaniem.

Czy wyzdrowiałam? Nie wiem

Najbardziej wstrząsająca jest jednak relacja Pauliny. – Mogę ci opowiedzieć o zdrowieniu, ale problem w tym, że od zachorowania minęło niemal 10 miesięcy, a ja jeszcze nie doszłam do siebie – stwierdza. – Zaczęło się od tego, że było mi non stop zimno i bolała mnie głowa. Miałam też arytmię serca, odczuwałam dziwny lęk. Do tego zawroty głowy. Już wtedy wiedziałam, że to nie jest zwykła choroba. A później już poleciało: wymiotowałam pianą przez dwa dni, kompletnie nie miałam sił, w uszach szum, jakieś omamy i szelesty. Straciłam węch i smak.

Paulina wspomina, że to wszystko w połączeniu z niedrożnym nosem dało poczucie zatkanej całej głowy: – Raz tylko z nosa poleciało coś żrącego, dosłownie. W akcie desperacji wkładałam do nosa czosnek, lałam wodę utlenioną.

> Wzięłam się do rzeczy, które wcześniej odkładałam na później. Zrozumiałam, że tego później może już nie być.

To wszystko trwało pięć tygodni. – W międzyczasie zaliczyłam wizytę na SOR z podejrzeniem udaru – straciłam precyzję w ręce, pojawił się ból pod łopatką. I wciąż te bóle głowy. Zrobili mi tomografię z kontrastem – na szczęście wynik był prawidłowy. Tydzień później dostałam zapalenia zatok, na które lekarz POZ przepisał mi antybiotyk. Po nim na trzy minuty znalazłam się niemal „po tamtej stronie". Przyjechała karetka, dali mi adrenalinę.

Paulina wraca do zdrowia, ale wciąż wypadają jej włosy, zdarza się arytmia, ma napady lęku. Schudła 5 kg, spadła jej odporność, więc łapie kolejne infekcje. Miewa też różnego rodzaju dolegliwości, np. ból ucha, choć teoretycznie nie ma tam stanu zapalnego.

– Wciąż czekam na powrót formy, zdarza się, że nawet jeśli mam do przejścia 200 m, jadę samochodem, bo nie mam siły. Nie wiem, ale myślę, że ten wirus czasem po prostu umiejscawia się w człowieku na dobre – mówi.

Powroty do żywych

Wiola: – Moim sposobem na wyzdrowienie było leżenie w łóżku. Leżałam, ile mogłam, bo czułam, że to najbardziej pomagało. Wraz z ustępowaniem uczucia ucisku w klatce piersiowej wracały siły. Pamiętam również, jak mój synek obierał mandarynki i w końcu poczułam ich zapach. Rzuciłam się więc na nie i zjadłam z pół kilograma od razu!

Kasia, gdy się jej polepszyło, zaczęła bardziej doceniać swoje zdrowie: – Wzięłam się do tego, co wcześniej odkładałam na później, wiedząc, że w każdym momencie może już tego później nie być. Zaczęłam robić drzewo genealogiczne dla naszych córeczek, by miały jakiś ślad po przodkach. Tylko ja pamiętam jeszcze opowieści dziadka o przeszłości rodziny; zrozumiałam, że gdyby mnie zabrakło, nikt już naszym dzieciom tego nie przekaże.

U Kasi wraz ze stopniowym odzyskiwaniem smaku przyszła typowa dla covidowców poprawa apetytu. – Pierwszą rzeczą, którą zjadłam po odzyskaniu smaku, była czekolada – śmieje się. – Może to dlatego, że przez kilka dni jeszcze miałam gorzki posmak w ustach, którego nie mogłam się pozbyć, nawet myjąc zęby. Poza tym leczyłam się, pijąc dużo wody – jeszcze więcej pił jej mój mąż, który miał łagodniejszy przebieg choroby, ale bardzo się pocił. Zaczęliśmy też brać witaminę D, ale sami o tym zdecydowaliśmy. Na własną rękę podjęłam też decyzję o inhalacji z pulmicortu, który miałam w domu dla dzieci. Lekarz nie udzielił mi żadnych wskazówek, więc nie wiem, czy dobrze zrobiłam.

Druga Kasia (również chorowała około dwóch tygodni): – Byłam w kontakcie z lekarzem. Na początku zalecił mi tylko zbijanie temperatury, potem przepisał sterydy w tabletkach i antybiotyk. Gdy poczułam się lepiej, wzięłam się do wszystkiego, czego nie mogłam zrobić podczas choroby

eprasa.pl 5d369d7248

– np. chowania letnich ubrań i wyjmowania zimowych.

Żali się jednak, że choć czuje się lepiej, nadal ma problemy z koncentracją. – Pracuję jako położna. Zawsze pamiętałam, która pacjentka z czym przychodzi. Po chorobie muszę wszystko sprawdzać w notatkach i książkach, umykają mi rzeczy, których nie zapisałam. Z drugiej strony zawsze byłam uporządkowana aż do przesady, więc myślę, że może teraz mi się to wyrówna i nie będę tak cisnąć wszystkich dookoła – śmieje się.

Ola: – Ja poczułam, jakby życie dało mi jakąś nową szansę.

Sterydy, inhalacje? Uważajmy

Z rozmów z osobami, które przeszły zakażenie, wynika, że utrudniony dostęp do lekarzy POZ skutkuje tym, że szukamy porad u znajomych i w internecie – i coraz bardziej kombinujemy, lecząc się na własną rękę.

Jak więc powinniśmy leczyć się w domu? Zalecenia co do terapii w przypadku zakażenia SARS-CoV-2 wydane przez Polskie Towarzystwo Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych zależne są od stadium choroby.

W pierwszym – czyli tym, na którym choroba kończy się w przypadku ogromnej większości zakażonych – nie wymagamy leczenia w szpitalu. Zalecany jest odpoczynek, picie dużej ilości płynów, przy ewentualnych bólach głowy czy mięśni możemy pomóc sobie lekami przeciwbólowymi na bazie ibuprofenu lub paracetamolu.

Niektórzy lekarze polecają też preparaty wspomagające odporność czy takie leki jak ACC Optima, który rozrzedza śluz w płucach i jest prekursorem glutationu, głównego antyoksydantu w organizmie człowieka, więc wpływa na poprawę naszej odporności.

Na tym etapie nie powinno się natomiast stosować glikokortykosteroidów (potocznie zwanych sterydami), ponieważ w tym stadium choroby mogą nasilać namnażanie się wirusa. Leki te powinny być stosowane dopiero w leczeniu szpitalnym lub na wyraźne polecenie lekarza. Nie bierzmy ich na własną rękę!

krtani i zimne powietrze zmniejszyło jej obrzęk. Niestety, warto wiedzieć, że suche, zimne powietrze może z kolei wywołać skurcz oskrzeli. Dlatego jeśli już nas korci, by duszności „leczyć" w ten sposób, uważajmy, czy to nie pogarsza sytuacji.

Jeśli cierpimy na duszności, powinniśmy zaopatrzyć się w pulsoksymetr – mierzy on tzw. saturację, czyli wskaźnik nasycenia krwi tlenem. Najtańsze kosztują ok. 50 zł, dobrej jakości od 150 zł w górę. Saturacja powinna wynosić powyżej 95%. Jeśli spadnie poniżej 94%, należy koniecznie wezwać karetkę.

Pogorszenie saturacji, silne duszności, zaburzenia świadomości czy znaczny wzrost częstotliwości oddechów oznaczają wejście w drugie stadium choroby, wymagające hospitalizacji. Chorzy leczeni są za pomocą terapii tlenowej, mogą także wymagać terapii przeciwzakrzepowej. Właśnie wtedy leczy się ich też przeciwwirusowym remdesiwirem oraz ewentualnie osoczem uzyskanym od ozdrowieńców.

Trzecie stadium covidu to „burza cytokinowa", czyli nadmierna reakcja układu odpornościowego na obecność wirusa. Pobudzające go cytokiny działają wtedy również na tkanki organizmu, niestety, w niszczycielski sposób.

W czwartym stadium choroby dochodzi do ostrej niewydolności oddechowej i pacjent wymaga już leczenia na OIOM, bo może być konieczne zastosowanie wentylacji mechanicznej. Dwa najcięższe stadia choroby dotykają najczęściej seniorów, ponieważ proces starzenia negatywnie wpływa na działanie układu immunologicznego.

Nie martwmy się jednak na zapas: w kwietniu media informowały, że z covidu wyleczył się stulatek (pacjent szpitala MSWiA w Warszawie), w maju chorobę pokonała zaś 103-latka. Najstarszym ozdrowieńcem świata, a właściwie ozdrowieńczynią, pozostaje 113-letnia Hiszpanka.

Zatem – byle do szczepionki!

Anna Brzeska
a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

Najstarszą ozdrowieńczynią świata jest 113-letnia Hiszpanka, w Polsce chorobę pokonała 103-latka.

Andrzej Bargiel: Nie ma mocnych na koronawirusa.

Czy dobra była natomiast rada, by włożyć głowę do lodówki lub wystawić przez okno na mróz? Trudno powiedzieć – wzięła się zapewne z przekazywanej przez media historii o pewnej mamie, która uratowała malutkie dziecko, pozwalając mu podczas nocnego ataku kaszlu oddychać powietrzem z zamrażarki. Okazało się, że maluch cierpiał na zapalenie

Przybywa dawców osocza

– W całej Polsce od początku pandemii miało miejsce 5,2 tys. donacji. Ocenia się, że już ponad 8 tys. osób otrzymało osocze – mówi lek. med. Dariusz Średziński z Regionalnego Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa w Białymstoku. – Tylko w ubiegłym tygodniu pobrano w Polsce aż 1,3 tys. donacji, z których uzyskano 3,5 tys. dawek terapeutycznych. Widać więc, że skala dawstwa osocza, dzięki nagłośnieniu przez media, znacząco się zwiększyła. Mimo wszystko wciąż nie zaprzestajemy apeli, gdyż osocze nadal jest bardzo potrzebne.

Wszystkie RCKiK, od których udało się nam uzyskać dane, poinformowały, że są w stanie w 100% pokryć obecne zapotrzebowanie szpitali na osocze w ich województwach – jednogłośnie potwierdzają bardzo duże zainteresowanie ozdrowieńców oddaniem osocza.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, VIPHOTO/EAST NEWS, DAWID ZUCHNOWICZ/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 5d369d7248

Ewa Smolińska-Borecka

Dawcy osocza

Coraz więcej ozdrowieńców zgłasza się do centrów krwiodawstwa, chcąc nieść pomoc chorym na COVID-19

Dochodzi siódma, poranek w przeddzień Święta Niepodległości. Jedni myślą o swoim jutrzejszym występie w roli patriotów na ulicach Warszawy. Drudzy zebrali się pod centrum krwiodawstwa i krwiolecznictwa na warszawskiej Saskiej Kępie. Nikt z oczekujących nie ma biało-czerwonej naszywki na rękawie ani orła na bluzie. Nikt nie mówi, że jest patriotą, chociaż swoją postawą jasno to zaświadczają. Przychodzą tu od kilkunastu albo kilku lat, regularnie lub sporadycznie. Niektórzy są po raz pierwszy. Z powodu pandemii do honorowych dawców krwi dołączyli ozdrowieńcy, którzy przeszli zakażenie koronawirusem. Zgodnie z dotychczasowymi obserwacjami oni i tylko oni mają w sobie taką moc, że za każdym razem, kiedy oddadzą osocze, mogą pomóc trzem chorym na COVID-19 w krytycznym stanie.

Pierwszy ozdrowieniec jest zapisany na godz. 7.30. To Milena, 33-latka wyglądająca jak dziewczynka, szczupła i wiotka. Kilka minut wcześniej pojawiła się Barbara, wysoka i postawna 29-latka. Też ozdrowieniec, ale bez zapisu. Przyszła, bo wygospodarowała trochę czasu. Tylko trochę, więc patrzy nerwowo na zegarek. Liczy, że jednak dziś odda osocze.

Faza pobierania i oddawania

Niektórzy o osoczu słyszeli w szkole, ale dawno o tym zapomnieli. Teraz stało się ono jednym z najmodniejszych słów. Oznacza i nadzieję, i poświęcenie, i miłość do ludzi. Osocze jest jednym ze składników krwi. Stanowi 55% jej objętości. Samo osocze w 91% to woda. Uzyskuje się je z krwi dawcy metodą plazmaferezy. Pozostałe składniki krwi wracają do organizmu dawcy.

– Standardowo pobieramy 600 ml osocza, które jest dzielone na trzy porcje po 200 ml każda – wyjaśnia Joanna Wojewoda, kierownik Działu Dawców i Pobierania Regionalnego Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa w Warszawie. – Zabieg trwa od 30 do 40 minut. Jest faza pobierania i faza zwrotu. Trzeba wykonać kilkadziesiąt takich faz, żeby uzyskać 600 ml osocza.

Jak twierdzi dr Wojewoda, na każde 100 telefonów do centrum w sprawie możliwości oddania osocza jedynie 10 osób zaprasza się na ul. Saską na pobranie. Z tych 10 na różnym etapie także mogą odpaść kolejne osoby. Bo od dawców wymaga się dobrego zdrowia. A nie wszystko udaje się ustalić w czasie rozmowy telefonicznej z dr Anną Ćwiakowską, która kwalifikuje ozdrowieńców do pobrania krwi.

Joanna Wojewoda: Standardowo pobieramy 600 ml osocza, które jest dzielone na trzy porcje po 200 ml.

– Bardzo ważne jest ustalenie, jaki czas upłynął od ustąpienia objawów COVID-19 lub zakończenia izolacji – wyjaśnia dr Wojewoda. – Dawca musi być osobą zdrową. Chodzi o bezpieczeństwo osocza, bo eliminacja wirusa może nie być całkowicie zakończona. Dlatego za ozdrowieńców uznajemy osoby dopiero 18 dni od zakończenia izolacji albo 28 dni od ustąpienia objawów. Takie są rekomendacje WHO i Rady Europy.

Po przyjściu do centrum potencjalny dawca jest szczegółowo przepytywany przez dr Ćwiakowską, wypełnia ankiety z drobiazgowymi pytaniami, zostaje od niego pobrana krew do badania. Z rozmowy i ankiet można się dowiedzieć, czy nie cierpi na choroby, które wykluczają go jako dawcę, np. ma padaczkę i przyjmuje leki albo przeszedł zawał serca. Z badania krwi może zaś wyniknąć, że ma zbyt niski poziom hemoglobiny albo zbyt wysoką leukocytozę. Takie osoby nie będą mogły oddać osocza.

Jak często się zdarza, że ktoś, kto był w stanie krytycznym z powodu zakażenia koronawirusem i otrzymał osocze ozdrowieńca, wyzdrowiał? W centrum nie mają takich danych. – Takie leczenie nadal jest traktowane jako eksperyment medyczny – informuje dr Wojewoda. – Bazowaliśmy na doświadczeniach z innych krajów. Dotyczyły one zakażeń innymi wirusami SARS, wirusami ptasiej grypy czy eboli. Dopiero po paru latach i po wielu takich przetoczeniach będziemy mogli wyciągnąć wnioski dotyczące leczenia covidu. Dotychczasowe kilkumiesięczne obserwacje wykazują, że podanie osocza jest skuteczne. Osocze dostarcza przeciwciał, które wytworzył pacjent po przechorowaniu covidu. Możemy je podać choremu, który nie zdążył jeszcze ich wyprodukować.

Leczenie osoczem zostało dołączone do procedur obowiązujących na oddziałach zakaźnych jako leczenie równoważne. Średnio do stacji przy ul. Saskiej wpływają zamówienia dla 30 pacjentów dziennie. I średnio dziennie pojawia się 30 dawców osocza. Zainteresowanie jego oddawaniem rośnie w Warszawie. Jest moda na pomaganie.

Wszystkie porcje osocza niemal natychmiast są wysyłane do szpitali. Niemal, bo osocze po pobraniu jest poddawane różnorodnym procedurom. – Na przykład dezaktywacji patogenów, bo trzeba zniszczyć bakterie, wirusy czy pierwotniaki – mówi dr Wojewoda. – Trwa to kilka godzin. Sprawdza się też, czy liczba przeciwciał jest odpowiednio duża, by osocze uznać za lek. Jeśli okaże się, że jest

eprasa.pl 5d369d7248

Średnio w centrum krwiodawstwa na ul. Saskiej pojawia się 30 dawców osocza dziennie.

zbyt mała, zostanie ono wykorzystane choćby u chorych z zaburzeniami krzepliwości krwi.

Jeśli osocze ma odpowiednią liczbę przeciwciał, dawca zostanie o tym poinformowany i zaproszony na dwa kolejne pobrania, w odstępie tygodnia.

Dzielna, choć wiotka

W poczekalni ponad 20 osób. Głównie dawcy pełnej krwi, mniej dawców płytek, najmniej ozdrowieńców. Każdy ozdrowieniec na początek trafia do dr Anny Ćwiakowskiej, która staje się jego przewodnikiem w centrum. Milena już oddała krew do badania i czeka na wynik. Barbara, która przyszła bez zapisu, wstępnie została zakwalifikowana do oddania osocza. Ale będzie musiała poczekać.

Z dr Ćwiakowską trudno porozmawiać. Ciągle pędzi, a to z jednym ozdrowieńcem, a to z drugim. Milena czeka na kolejne procedury, ma chwilę na rozmowę. Dlaczego zdecydowała się oddać osocze? Patrzy zdziwiona – dla niej odpowiedź jest oczywista. – Skłoniła mnie do tego chęć pomocy, po prostu, a także poczucie odpowiedzialności. Chorowałam na covid pod koniec września. Do tej pory mam osłabiony węch i smak, nie wiem, czy kiedykolwiek je odzyskam. U mnie przebieg choroby był łagodny. Najpierw przez jeden dzień miałam podwyższoną temperaturę i lekki ból gardła. Myślałam, że to zwykłe przeziębienie. Te objawy ustąpiły, więc przestałam się nimi przejmować. A tydzień później straciłam węch i smak. To był dla mnie sygnał, że może chodzić o covid. Zgłosiłam się do lekarza. Chorowałam w domu. Każdemu życzę, żeby – jeśli miałby chorować – przechodził to zakażenie jak ja.

Zaczęło się od spotkania w gronie kilku znajomych. Cztery dni potem Milena i inni jego uczestnicy mieli objawy, które mogły zaniepokoić. Wtedy się okazało, że jedna z dziewczyn jest zarażona covidem. – U mnie w rodzinie zakażenie przeszła też mama, ale bezobjawowo – opowiada Milena.

> Za ozdrowieńców uznajemy osoby dopiero 18 dni od zakończenia izolacji albo 28 dni od ustąpienia objawów.

– Dowiedziała się po fakcie, bo zrobiła sobie test i wyszło, że ma przeciwciała. Ale to nie z powodu mamy zdecydowałam się oddać osocze, ale dlatego, że jeżeli jest coś, w czym mogę pomóc, to pomagam. Zwłaszcza że w tym przypadku nie kosztuje mnie to absolutnie nic poza czasem, jaki tu spędzę. Oddawałam kilka razy krew, ale nie bywam tu regularnie. Pozostałych znajomych, którzy zarazili się na tym samym spotkaniu, będę zachęcać, by byli dawcami.

Milena pracuje zdalnie. Ale zgłosiła przełożonemu, że chce oddać osocze. Nawet był zadowolony. Jej korporacja zachęca do tego ozdrowieńców.

Po decyzji o zakwalifikowaniu do zabiegu Milena dostaje żeton na kawę z automatu albo 200 ml soku. Decyduje się na cappuccino. Ledwie dopija kawę, już musi iść na pierwsze piętro, gdzie mieści się druga poczekalnia przed salą pobrań. Kiedy stamtąd zejdzie, za jakieś 30 albo 40 minut, szatniarka wręczy jej pudełko z dziewięcioma czekoladami. Ale nikt tu nie przychodzi z powodu czekolad.

Sami młodzi

Dr Anna Ćwiakowska rozpoznaje dawców osocza, których już dziś przyjęła w gabinecie, po oczach. Rozgląda się po poczekalni i wyłuskuje osoby, które są pod jej opieką, czyli ozdrowieńców. – Ja pana szukam, a pan tu sobie siedzi – mówi z wyrzutem do młodego mężczyzny. I zaraz go porywa do kolejnego etapu procedury kwalifikacyjnej.

Na oddanie osocza czeka Łukasz Karaszkiewicz. Ma 32 lata. Dlaczego tu przyszedł? – Cały czas są informacje, że brakuje osocza – wyjaśnia. – Niektórzy znajomi też chorowali w tym samym czasie, bo razem byliśmy na spotkaniu towarzyskim i razem się zaraziliśmy. Spotkanie było w sierpniu, do końca sierpnia chorowałem, równocześnie z narzeczoną, która też wtedy ze mną była. Przebywaliśmy w domu. Ona przechodziła chorobę bezobjawowo, ja znosiłem ją ciężko, ale obyło się bez szpitala. Dla mnie choroba była szokiem, bo nigdy nawet na grypę nie chorowałem.

Łukasz dziś idzie do pracy na popołudnie, więc nie musiał nikomu zgłaszać, że pójdzie oddać osocze. – Już wiele razy oddawałem krew – wyjawia. – Na przykład kiedy chorował mój tata.

Aleksandra Katana i Rafał Kalinowski mają po 26 lat, są znajomymi i przyszli razem. Aleksandra właśnie skończyła wypełniać kolejną ankietę i ma wolną chwilę. Jak wcześniejsi rozmówcy bagatelizuje wagę decyzji o oddaniu osocza. – Sytuacja jest

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 5d369d7248

Przegląd

NOWA HUTA
49 zł

BUN TOWNIK
65 zł

ZAGRABIONA HISTORIA SOLIDARNOŚCI
53 zł

ANDRZEJ KARPIŃSKI
PRAWDA I KŁAMSTWA O PRZEMYŚLE
52 zł

ANDRZEJ WALICKI
O ROSJI INACZEJ
67 zł

PRZEGLĄD poleca nasze dobre książki

CZAS NA PREZENTY

ORBÁN

2+1 GRATIS
Przy zakupie 2 dowolnych książek „Co ma Viktor Orbán w głowie" w prezencie

BRONISŁAW ŁAGOWSKI
FAŁSZYWA HISTORIA, BŁĘDNA POLITYKA
47 zł
40 zł

BRONISŁAW ŁAGOWSKI
POLSKA CHORA NA ROSJĘ
49 zł
40 zł

BRONISŁAW ŁAGOWSKI
PAŃSTWO ZNIKĄD
49 zł
40 zł

KRZYSZTOF MROZIEWICZ
DELIRIUM WŁADZY
KTO RZĄDZI TEN BŁĄDZI
47 zł
37 zł

3 książki 141 zł 110 zł

kiepska, nie tylko w naszym kraju. Jeśli można komuś pomóc, warto to zrobić. Ja przeszłam chorobę lekko. Chorowałam w październiku. Na decyzję duży wpływ miała mama. Ona codziennie czyta prasę i tam trafia na wezwania do oddawania osocza. Jestem honorowym dawcą, zazwyczaj oddaję pełną krew. Czy może się okazać, że nie ma przeciwciał? Jestem przekonana, że mam. Te przeciwciała to również dla mnie bezpieczeństwo.

I tak oto znalazła się dziś na Saskiej. Aleksandra wykonywała testy prywatnie. Kiedy trzy kolejne testy były ujemne, wiedziała, że wyzdrowiała. Jej kolega Rafał nie finansował sam testów, korzystał z jednego, jaki zaoferował mu NFZ. W rezultacie nie uchwycił momentu, kiedy wyzdrowiał. Dlatego dr Ćwiakowska nie mogła na razie podjąć decyzji o pobraniu od niego osocza.

– W przypadku decyzji o pobraniu osocza chodzi o czas, który upłynął od ustąpienia objawów – mówi Rafał. – Każdy przypadek i każda osoba jest indywidualnie rozpatrywana. Chodzi o to, żeby organizm zdążył wytworzyć przeciwciała. Ja wykonałem jedynie test, który zweryfikował, że byłem osobą zakażoną.

Aleksandra i Rafał wzięli dzień urlopu, żeby przyjść do centrum i oddać osocze. Ona za chwilę przejdzie do drugiej poczekalni, on będzie musiał jeszcze poczekać. Ale jest pewien, że też dziś odda osocze.

Tak niewiele potrzeba

Hubert Kmieć z poczekalni przez szklane drzwi obserwuje ozdrowieńca podłączonego do aparatury. Widok z jednej strony budujący, z drugiej stresujący. Kiedy widzi się rurki wyprowadzające krew i te, które ją z powrotem wprowadzają do krwiobiegu, robi się nieswojo. Hubert ma 29 lat i jest wykładowcą wyższej uczelni. Czy się boi?

– Nie, jestem honorowym dawcą krwi – wyjaśnia. – Chorowałem na covid pod koniec sierpnia. Wtedy też zachorowała moja ówczesna narzeczona, teraz żona, i wiele osób z jej rodziny, m.in. rodzice, siostra, brat, dziadek, a potem dołączyły chrzestna i ciocia. W mojej rodzinie zachorowała tylko mama. Musiała leżeć w szpitalu, miała zapalenie płuc, ale respirator nie był potrzebny. Wspólnie z rodziną narzeczonej zdecydowaliśmy, że razem będziemy chorować w jej domu rodzinnym, żeby

eprasa.pl 5d369d7248

nie zarażać innych osób. W sumie było nas dziewięcioro. Po wyzdrowieniu wzięliśmy ślub. Nie tak sobie wyobrażaliśmy nasze wesele, ale trudno.

Hubert sam zdecydował o oddaniu osocza. Sądzi, że żona, choć też jest ozdrowieńcem, nie zostanie dawcą, bo ma osłabioną odporność. Musi przerwać rozmowę, bo właśnie wyczytywany jest jego numer. Przez szklane drzwi widać, jak lokuje się na fotelu, a personel podłącza go do maszyny.

Roman Gąsiorowski ma 32 lata. Też czeka na swoją kolej. – Chorowałem na przełomie lipca i sierpnia. Spędziłem trzy tygodnie na kwarantannie w warunkach domowych, natomiast badałem się w szpitalu zakaźnym w Warszawie. Nie miałem poważniejszych objawów: duże osłabienie, utrata smaku i węchu, silne bóle mięśni. Nie miałem kaszlu ani gorączki. To trwało około tygodnia. Ale smak odzyskałem dopiero po miesiącu. To ciekawe, że miałem kontakt z wieloma osobami: w pracy, w domu, w samochodzie, więc kiedy okazało się, że zachorowałem, aż 30 osób robiło test wymazowy. Byłem zaskoczony – nikogo nie zaraziłem!

Na pytanie, dlaczego zdecydował się oddać osocze, uśmiecha się. Dla niego to jasne: – Wśród znajomych mam przypadki ciężkiego przechodzenia choroby. Wcześniej oddawałem krew, więc dlaczego teraz nie miałbym oddać osocza, skoro jest bardzo potrzebne. O tym się mówi i pisze. To pocieszające, że tak niewiele potrzeba, by uratować kilka osób.

e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

PS 24 listopada w prestiżowym magazynie medycznym „The New England Journal of Medicine” ukazał się artykuł z wnioskami z badań przeprowadzonych między majem a sierpniem tego roku w 12 ośrodkach w Argentynie. Wzięło w nich udział 333 pacjentów, 228 otrzymało 500 ml osocza ozdrowieńców, a 105 placebo. Badania nie potwierdziły, że osocze ozdrowieńców wpływa na poprawę zdrowia chorych na COVID-19. Dokładny wniosek jest następujący: zastosowanie terapii osoczem oprócz standardowego leczenia pacjentów z ciężkim zapaleniem płuc wywołanym przez COVID-19 nie zmniejszyło śmiertelności ani nie poprawiło innych wyników klinicznych w 30. dniu w porównaniu z placebo. Ma więc rację dr Wojewoda, że leczenie osoczem wymaga dalszych badań.

eprasa.pl 5d369d7248

Handel ludźmi kwitnie, bo jest społecznie akceptowany

Mirosław K. przyjeżdżał w nocy, ordynował 200 zł kary za patrzenie w oczy szefowi. Ludzie spali na podłodze, a on karał za nieumyte okno

Rozmawia Beata Igielska

Czym jest handel ludźmi?

– Najkrócej mówiąc, jest to oszukiwanie ludzi, werbowanie ich, transportowanie w celu wyzyskania ich pracy. Handel ludźmi to nazwa przestępczego procederu obejmującego wszelkie działania nakierowane na wyzysk ludzi, naruszające ich prawo do decydowania o sobie. Wyzysk z użyciem przemocy fizycznej i psychicznej, a także ograniczaniem wolności. Źródłem zysku jest praca przymusowa, również w seksbiznesie, lub zmuszanie do działań przestępczych, a nawet małżeństwa.

Czyli współczesna forma niewolnictwa.

– Niewolnictwo wiąże się z pozbawieniem ludzi atrybutów człowieczeństwa. Niewolnik może tylko myśleć, nie decyduje, kiedy śpi, kiedy odpoczywa, co robi, co je, gdzie pracuje. Jest własnością. W Polsce jest kategoria quasi-niewolników. To ludzie bezdomni, często uzależnieni, niemający dokąd pójść. Zgadzają się na straszne rzeczy. Pracowaliśmy z dwoma takimi przypadkami, ale sądzę, że jest ich całkiem sporo. Ci ludzie myślą, że to ich jedyna szansa na kąt do spania i jedzenie. Mieszkali w poniżających warunkach, jedli zepsute jedzenie, byli wyzywani. Kiedy jedna z tych osób nie zrobiła tego, do czego była zobowiązana o określonej godzinie, pod wpływem stresu, strachu przed karą usiłowała popełnić samobójstwo. Te osoby wierzyły, że im nic lepszego w życiu się nie należy, tylko ochłapy.

Jak wygląda sytuacja handlu ludzi w pandemii? Wydawać by się mogło, że zjawisko istnieje marginalnie. Przynajmniej jeśli chodzi o seksbiznes, który podobno pada.

IRENA DAWID-OLCZYK
– współzałożycielka Fundacji La Strada – Fundacji Przeciwko Handlowi Ludźmi i Niewolnictwu

– Pandemia na pewno stawia pewne ograniczenia, ale seks rozładowuje napięcie. Nie łudźmy się, ludzie szukają tego rozładowania bez względu na obostrzenia, legalność itd. Jest trudniej, biznes staje się mniej jawny, ale nie znika. Zresztą w stosunku do seksu żadne zakazy nigdy nie działały.

Handel ludźmi wiąże się też z pracą przymusową.

– Z pracy przymusowej całe państwa, społeczeństwa, my wszyscy czerpiemy profity. Osoby świadczące pracę przymusową nie upomną się o swoje emerytury, nie korzystają ze zwolnień lekarskich, wytwarzają dobra dużo taniej niż pełnoprawni pracownicy. W tej chwili kraje rozwinięte bardzo ostro występują przeciwko pracy przymusowej. Mała polska firma sprzedająca coś większej zagranicznej powinna się zastanowić, czy u siebie nie ma pracy przymusowej. Bo ta duża firma będzie sprawdzała, czy w łańcuchu dostaw ma wykluczoną pracę przymusową. I polska firma może stracić zamówienie. W pandemii, kiedy padają restauracje, gdzie ludzie pracowali na zmywakach, gdy brakuje pieniędzy, żeby płacić paniom sprzątającym, mnóstwo cudzoziemców jest bez pracy. Nie mają oszczędności, bo wszystko wysyłali rodzinom. Koczują więc u znajomych, których jeszcze stać na opłacenie czynszu. Godzą się na wiele rzeczy, byle pracę zatrzymać. To podglebie do pracy przymusowej. Ukraińcy wyjeżdżają do domu, żeby przeczekać kryzys. Gorzej z przybyszami z Bangladeszu. Muszą przetrwać u nas pandemię, bo drugi raz nie zbiorą pieniędzy na podróż do Europy. Pozwalają się źle traktować w imię jakichkolwiek zarobków, a nawet ich obietnicy.

Trafiają do was ludzie z Bangladeszu?

– Nie wiedzą jeszcze o nas, więc na razie nie trafiają. Trafili do nas przez te wszystkie lata cudzoziemcy z 49 krajów. Z pięciu kontynentów. Ostatnio poruszyło mnie, gdy zawodowy kierowca, który niejedno w życiu przeszedł, rozpadał się psychicznie, bo jeśli nie stawiał się do pracy w weekend, pracodawca, który miał klucz do jego kwatery, siadał na jego łóżku. Kiedy ten człowiek się budził, widział wściekłą twarz szefa mówiącego: „Dlaczego nie przyszedłeś do pracy w niedzielę?”. To kompletne pozbawienie prywatności.

eprasa.pl 5d369d7248

Wspomniała pani o małżeństwach. Czy w naszym kręgu kulturowym zdarzają się sytuacje – czy dotyczą raczej Afryki – że dziewięcioletnia dziewczynka zostaje sprzedana, by stać się żoną 60-latka?

– W kraju Unii Europejskiej Polka, która myślała, że jedzie do pracy na zmywaku, na miejscu została zmuszona do małżeństwa, żeby komuś zalegalizować pobyt w UE. Ślub odbył się w urzędzie stanu cywilnego, mimo że dziewczyna nie rozumiała języka. Teraz staramy się jej pomóc w rozwodzie. Szukamy w całej Unii tego „męża".

W parze z takim procederem idzie kradzież tożsamości. W taki sposób brane są zasiłki, zapomogi itp.

– Stykamy się z tym. Teraz jest to ograniczone, ale był moment, że w Holandii zasiłki były wypłacane z góry, np. dodatek mieszkaniowy na rok. Kradzież tożsamości dotyczy zwykle osób, które nie znają języka, nie wiedzą, co podpisują. Mają jakieś konta bankowe, o których istnieniu nie wiedzą. Organizator „biznesu" te konta czyści. Najgorzej jest, kiedy holenderski urząd o pieniądze się upomina: nie mieszkałaś w Holandii, pieniądze ci się nie należą, zwróć kilka tysięcy złotych. Kobieta w Holandii była przez chwilę i myślała, że podpisuje pozwolenie na pracę.

Aż 70% procederu handlu ludźmi dotyczy kobiet i dziewcząt.

– Po pierwsze, dlatego że w grę wchodzi seksbiznes. Po drugie, kobiety stanowią duży procent pracowników migracyjnych. Jeśli z Polski wysyłamy osoby do pracy za granicą, są to zazwyczaj opiekunki osób starszych, kucharki, panie sprzątające. Jest zapotrzebowanie na najniżej opłacane, najprostsze prace. To przeważnie kobiety decydują się na ich wykonywanie. Dużo migrujących jest samotnymi matkami. Nie mają wyjścia, same muszą zarobić na utrzymanie dzieci.

Kwiecień, prawie 40-letnia kobieta z Łodzi dzwoni do mamy z Włoch, dokąd wyjechała, bo poznała pana przez internet. Szykował ją do sprzedaży. Polska policja błyskawicznie dogadała się karabinierami, pomogli jej. Zastanawia jednak niefrasobliwość i naiwność takich pań.

– Zanim oskarżymy je o naiwność, musiałybyśmy przeprowadzić badania, ile kontaktów przez internet zakończyło się szczęśliwie, a ile katastrofą. Być może wiele pań poznaje przez internet fantastycznych facetów. Ale może pozornie zakochany cudzoziemiec jest zainteresowany jedynie ożenkiem, by móc wjechać do UE? Co jeszcze nie jest najczarniejszym scenariuszem. Moja rada: jeśli jesteś panem zainteresowana, zaproś go, niech przyjedzie do Polski. Przyjaciółki i ciotki pomogą ci go ocenić.

Z pracy przymusowej całe państwa, społeczeństwa, my wszyscy czerpiemy profity.

Jak jeszcze można się ustrzec przed oszustami i handlem ludźmi?

– Powinniśmy znać adres, personalia osoby prywatnej, do której jedziemy. Mieć kopię umowy o pracę, umówić się z rodziną i przyjaciółmi na stały kontakt potwierdzający, że wszystko jest w porządku. W niepewnej sytuacji warto się umówić na hasło ratunkowe: jeśli zadzwonię do ciebie i powiem, że wszystko tu jest super, świetnie, ale przeszkadza mi, że nie umieją gotować ziemniaków, to będzie sygnał, że jest źle, powiadom policję albo taką organizację jak La Strada. Przerabiamy takich przypadków sporo, wiemy, kiedy należy kontaktować się z policją, kiedy z konsulatem, a kiedy szukać odpowiedniej organizacji.

Ilu osobom pomogliście od początku pandemii?

– Do połowy listopada 150; zazwyczaj pomagamy 200 osobom rocznie. Ale nie znaczy to, że do końca tego roku nie trafi do nas jakaś spora grupa potrzebująca pomocy. W grudniu może się zrobić zimno i wtedy ludzie do nas się zgłoszą. Nie wytrzymują w nieogrzewanych pomieszczeniach. Bo śpią na materacach na podłodze, w budynkach w stanie surowym. Gotować można jedynie na maszynce na zewnątrz baraku. Za mieszkania służą też metalowe kontenery. Dotkliwy jest brak dostępu do prysznica. Pracownicy pewnej znanej firmy ze wszystkimi swoimi rzeczami śpią w jednym pomieszczeniu, na piętrowych łóżkach, w 20 osób, mając do dyspozycji jedną umywalkę i jedną toaletę. Jeśli jednak widzą szansę na jakąkolwiek wypłatę, ok. 1000 zł miesięcznie, zaciskają zęby i jak najdłużej wytrzymują. Od kiedy znam tę historię, nie kupuję produktów tej firmy. Niestety, niczego nie możemy jej udowodnić, bo pracownicy nie chcieli zeznawać, bali się firmy i pośrednika. Uważali, że nie znajdą innej pracy. Pośrednik przywoził ich na kwaterę. Część osób, jak zobaczyła warunki, natychmiast rezygnowała. Poznałam małżeństwo, które po trzech dniach pracy w tej firmie znalazło pracę analogiczną, ale na kwaterze były cztery osoby w pokoju, kuchnia do dyspozycji na osiem pokoi, a łazienka na cztery pokoje.

Zatrzymanie Mirosława K. w październiku 2016 r. w Warszawie.

FOT. OLSZANKA/EAST NEWS, STRAŻ GRANICZNA

eprasa.pl 5d369d7248

Bardziej po ludzku. Jednak większość osób tam zostawała.

Czy pandemia wymusiła na was i służbach zmianę w podejściu do kwestii związanych z handlem ludźmi?

– Tak, widzimy te zmiany, pomagając osobom aktualnie składającym zeznania. Prawo dotyczące handlu ludźmi jest niesłychanie wymagające. Mają z nim kłopot i policja, i straż graniczna. Jeśli osoba mówiąca tylko po chińsku zgłosi się na posterunek, powinien być tłumacz. Jeśli go nie ma, nie wiadomo, czy można wykonać tę czynność przez telefon, przez Zoom. Jest pandemia, chuchamy na ten sam telefon, to dodatkowe trudności. W tej chwili tłumacz może nie zechcieć przyjechać na miejsce. Czy w tej sytuacji Chińczyk może zgłosić przestępstwo? Wskutek pandemii musimy być bardziej elastyczni, a przepisy nie są do niej przystosowane.

Pamięta pani jakiś szczególny przypadek z pandemii?

– Sześć kobiet pracowało na zlecenie w znanej firmie, gdzie testowano wszystkich pracowników. Ktoś przywlekł wirusa. Jedna się zaraziła. Był 31 lipca, skończył się jej wynajem mieszkania. Izolatoria były zamknięte. Ze względu na zakażenie nie mogliśmy jej przyjąć do naszego schroniska. W sanepidzie ta pani powiedziała, żeby ta kobieta się obserwowała. Koleżanka odpowiedziała, że kobieta nie ma dokąd pójść i będzie się obserwować w hali głównej Dworca Centralnego w Warszawie. Pani z sanepidu na to: „Co ja pani poradzę?”. W końcu udało nam się umieścić chorą w szpitalu zakaźnym, mimo że dobrze się czuła, trochę pokasływała. Ile takich osób chodzi po ulicach i zakaża? Kobieta zaraziła się w pracy, ale pracodawca niczego jej nie zaproponował. Ambasada Filipin w analogicznej sytuacji wynajęła dla swojego obywatela mieszkanie na kwarantannę. Ale to wyjątek. Cudzoziemcy wszędzie u nas pracują, ale nie jesteśmy przygotowani, żeby im pomóc w razie jakiegokolwiek kryzysu. Cudzoziemki bite przez polskich mężów nie mają prawa do tłumacza w ramach pomocy społecznej. Są plany dostrzeżenia takich problemów przez administrację, ale teraz są ważniejsze sprawy.

La Strada
Telefon zaufania:
+48 22 628 99 99
Czynny całą dobę.

Aż trudno uwierzyć, że takie rzeczy dzieją się w środku Europy w XXI w.

– Niejedna polska teściowa miała pomysł, że Ukrainka czy Wietnamka urodzi dziecko, ona będzie je wychowywać, a obca won. Był przypadek, że z trzymiesięcznym dzieckiem karmionym piersią matka mogła się spotkać raz w tygodniu. To inny temat, ale pokazujący, jak cudzoziemcom jest w Polsce trudno.

Handel ludźmi jest trzecim najbardziej dochodowym przestępstwem na świecie, po handlu bronią i narkotykami. Co pcha ludzi, żeby drugiego człowieka tak upodlić?

– Robią to innym, bo mogą, bo to jest społecznie akceptowane. Gdy chińscy zbieracze owoców morza utopili się w Wielkiej Brytanii, opinia publiczna była wstrząśnięta, wybuchła ogólnonarodowa dyskusja. Uchwalili nowe prawo Modern Slavery Act. U nas pracodawca zostawił Ukrainkę z udarem na przystanku, bo była nieubezpieczona. Pani z zakładu produkującego trumny nie pozwoliła wezwać pogotowia do młodego pracownika z Ukrainy, który na skutek braku pomocy zmarł. Napisałam wtedy: kara za pracę na czarno – dla pracodawcy 10 miesięcy, dla pracownika kara śmierci. Tamte wydarzenia nie wstrząsnęły Polakami na tyle, żeby cokolwiek się zmieniło. Cieszymy się, że ktoś, np. Ukrainiec, ma gorzej.

„Niech się cieszy, że pracuje”. Jakbyśmy nie pamiętali, że w latach 80. to my byliśmy tymi gorszymi.

– Przecież nadal wyjeżdżamy i gdzieś czujemy się gorsi. I staramy się to ukryć. Polak w Holandii, jak ma przyjechać rodzina, wynajmuje na kilka dni fajne mieszkanie, żeby się pokazać. Handel ludźmi może u nas się rozwijać właśnie przez zamiatanie pod dywan i zmowę milczenia. Choć trzeba pamiętać, że ma się dobrze na całym świecie.

Jesteśmy krajem tranzytowym w handlu ludźmi, pracuje u nas wiele osób z Afryki Wschodniej i Azji, część z nich jest wykorzystywana. Nasi obywatele bywają wykorzystywani np. w Wielkiej Brytanii.

– Jest cały kanał wywozu bezdomnych obywateli naszego kraju. Pod pretekstem oferty dobrej pracy trafiają do domów, gdzie mieszkają w bardzo złych warunkach, w przybudówkach, ciężko pracują, nie otrzymują pieniędzy, wieczorem dostają mocny alkohol, nieświeże jedzenie. Tak egzystują latami.

Nadal do handlu ludźmi rekrutuje się głównie pod ośrodkami pomocy społecznej, urzędami pracy czy przez internet?

– Przez internet też, ale Polacy mają duże zaufanie do kontaktów prywatnych. W mieście, w którym mieszka sporo Romów, pomagaliśmy chłopakowi, który wyjechał namówiony przez nich. Został oszukany, zgłosił się na policję, a policjant do niego: „Co ty, głupi jesteś? Nie wiesz, że na kontaktach z Cyganami zawsze się źle wychodzi?”. Bardzo po polsku.

Kiedy oferta pracy powinna zaniepokoić?

– Jeśli trzeba szybko wyjechać, jeżeli umowa jest podejrzana – powinna być po polsku, należy nam się nasz egzemplarz. Powinniśmy zachować czujność, gdy płaca jest zawyżona, sprawdzać, czy dokładnie jest wyszczególnione, ile za co dostajemy. A gdy już dojdzie do rozmowy, czy otrzymujemy odpowiedzi na wszystkie pytania.

Macie pomysł, jak handlowi ludźmi ukręcić łeb? W tej chwili w Polsce jest to zbrodnia podlegająca karze od trzech do 15 lat więzienia.

– Żeby udowodnić handel ludźmi, a nie zaledwie naruszenie praw pracowniczych, trzeba udowodnić, że już werbowano z zamiarem wykorzystania. A to jest bardzo trudne. Mirosław K. „wstawiał” przez lata pracowników z Ukrainy do warszawskich restauracji. Obecnie jest skazany za handel ludźmi.

Jest cały kanał wywozu bezdomnych obywateli naszego kraju. Pod pretekstem oferty dobrej pracy.

eprasa.pl 5d369d7248

W procesie zeznawali menedżerowie restauracji. Niby nie wiedzieli, o co chodzi, owszem, przychodziła smutna pani, zmywała osiem godzin i pytała o inną restaurację, gdzie znów pracowała. Spytaliśmy, czy w ramach rekompensaty nie zatrudniliby tych ludzi na umowę o pracę. Z 20 odpowiedziała nam zaledwie jedna restauracja.

Pracownicy znanej firmy śpią w jednym pomieszczeniu, na piętrowych łóżkach, w 20 osób, mają do dyspozycji jedną umywalkę i jedną toaletę.

Co Mirosław K. robił ludziom?

– Był mistrzem w swoim fachu. Zastraszał. Był w stanie latami tak egzystować. Dostał trzy i pół roku. Cieszymy się, że w ogóle dostał wyrok, bo pierwszą sprawę prokuratura umorzyła. Czekaliśmy cztery lata, żeby ludzie przeciwko Mirosławowi K. zeznali. Dołączyliśmy do akt sprawy opinię psychologiczną, zawierającą pojęcie stresu emigracyjnego, które w Polsce nie jest popularne, a ma ogromne znaczenie przy zapanowaniu nad ofiarami handlu ludźmi. Stres emigracyjny powoduje, że obniżasz swoje oczekiwania. Jestem inżynierem, ale tu muszę się zgodzić na pracę fizyczną. W opinii było też pojęcie ładu społecznego. Nowy pracownik był wieczorem przywożony do hostelu przy ul. Wilanowskiej w Warszawie, widział, że pan Mirosław jest ważną figurą. Od razu włączał myślenie: skoro wszyscy tak go słuchają, to tak trzeba. Wszyscy podpisują *in blanco* jakieś papiery, widać tak w Polsce się robi. Nigdy nie było wiadomo, kiedy pan Mirosław zapłaci, komu i ile. Przyjeżdżał w nocy, ordynował 200 zł kary za patrzenie w oczy szefowi. Albo przyjechał do hostelu dzień przed Wigilią, oni byli pomęczeni, pracowali po kilkanaście godzin, a on do nich: „Boże Narodzenie to w Polsce wielkie święto, u ciebie w pokoju jest brudno, 50 euro kary". Ludzie spali na podłodze na materacach, a on karał za nieumyte okno.

Miałaby pani jakieś szczególne przesłanie na czas pandemii dla cudzoziemców, potencjalnych ofiar handlu ludźmi?

– Jeśli ktoś chce nam zrobić coś złego, np. drastycznie obciąć pensję, nie powinniśmy usprawiedliwiać tego pandemią. Jeżeli odmawia wypłaty, należy zgłaszać. Szukać pomocy. Tak samo jak wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za dzieci, tak powinniśmy być odpowiedzialni za słabsze osoby. Reagujmy, kiedy widzimy, że ktoś jest wyzyskiwany lub krzywdzony. Także od nas zależy, czy handel ludźmi zniknie, czy nadal będzie się rozwijał.

Beata Igielska
b.igielska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 5d369d7248

Lasy Państwowe w służbie partii i Kościoła

Pochlebcom w mundurach leśnika włos z głowy nie spadnie

Arkadiusz Panasiuk

Edward Siarka, sekretarz stanu w Ministerstwie Klimatu i Środowiska oraz pełnomocnik rządu ds. leśnictwa i łowiectwa, podąża duktem wyznaczonym przez poprzednika i partyjnego kolegę z Solidarnej Polski, Michała Wosia. Woś na leśnictwie i łowiectwie również się nie znał, więc otaczał się pochlebcami w mundurach leśnika, którym włos z głowy nie spadnie, o ile głośno manifestują przywiązanie do triady Bóg, honor, ojczyzna.

Tak jak Jan Kosiorowski, szef Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krakowie, któremu na początku października, niedługo po nominacji Siarki na ministra, Onet.pl poświęcił dwuczęściową publikację.

Pierwsza część dotyczyła wynajęcia za bezcen gajówki teściowi Beaty Szydło. Docelowo ma tam zamieszkać jej syn Błażej z żoną. Druga publikacja poświęcona była pompowaniu kasy z nadleśnictw podległych krakowskiej dyrekcji Lasów Państwowych w budowę kaplicy w Puszczy Niepołomickiej poprzez fundację Dla Niepodległej założoną przez Kosiorowskiego i jego podwładnych. Po tych publikacjach Lasy Państwowe wszczęły w krakowskiej dyrekcji kontrolę. Kontrola trwa, a Kosiorowski jakby nigdy nic pozostaje dyrektorem.

Wołanie na puszczy

Z kolei Arkadiusz Wojciechowicz, dyrektor Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych we Wrocławiu, musiał niewątpliwie słyszeć o bałaganie w nadleśnictwie Głogów. Huczy bowiem o tym od kilku miesięcy. Pod koniec września delegatura Centralnego Biura Antykorupcyjnego we Wrocławiu dostała nawet zawiadomienie o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, polegającego na faworyzowaniu jednego z Zakładów Usług Leśnych w przetargu na wycinkę i prace porządkowe. Jakby tego było mało, jeden z byłych leśniczych, obecnie wysoko awansowany, miał latami płacić do ręki robotnikom leśnym, choć przecież właściciel ZUL powinien to robić za pieniądze z faktur wystawionych Lasom Państwowym.

Jan Kosiorowski – szef Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krakowie.

„Ta sytuacja trwała ponad dwa lata, ja usiłowałem ten proceder przerwać (…) – szukałem pomocy u bezpośredniego przełożonego, jakim jest Nadleśniczy, napisałem pismo i wręczyłem Nadleśniczemu, licząc na to, że podejmie w tej sprawie zgodne z prawem czynności – żali się agentom CBA dolnośląski sygnalista. – Myliłem się, nie uzyskałem pomocy, Nadleśniczy (…) sprawę »zamiótł pod dywan«, a wobec mnie padły pogróżki, że w związku z tym musi mnie zwolnić dyscyplinarnie. (…) Po ujawnieniu tego procederu zostałem w nieoficjalny sposób zaatakowany przez XY (imię i nazwisko do wiadomości redakcji – przyp. aut.), prowadził wobec mnie częste kontrole o różnych porach dnia, a nawet wieczorami, chcąc wymusić na mnie odstąpienie od złożonego zawiadomienia (…). Intensywność nieformalnych ataków na mnie ze strony Nadleśniczego i Inżyniera Nadzoru doprowadziła do znacznego pogorszenia mojego stanu zdrowia (...). Zgłosiłem mobbing, (...) komisja jednoznacznie stwierdziła zaistnienie takiego faktu".

Leśny sygnalista oświadczył też: „W związku z powyższym zachodzi uzasadnione podejrzenie, że XY uwikłany jest w proceder korupcyjny. (…) Posiadam wiele dowodów na taką działalność XY i jestem w stanie je udostępnić funkcjonariuszowi CBA".

Sprawdziliśmy na stronie internetowej nadleśnictwa Głogów. XY nadal cieszy się ciepłą posadą.

Cel społecznie użyteczny

Pracownik Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Białymstoku opowiada: – Ks. Tomasz Duszkiewicz rozdawał „cegiełki" na budowę kaplicy w Czerlonce w Puszczy Białowieskiej, leśnicy dawali mu po 100 zł. Poza tym, za sugestią dyrektora Andrzeja Nowaka, podległe mu nadleśnictwa przekazywały na kaplicę pieniądze z funduszu na cele społecznie użyteczne.

Takim funduszem dysponuje z reguły każde nadleśnictwo. W praktyce warunkiem jego istnienia jest zysk na dany rok. Jeśli nadleśnictwo jest pod kreską i zysku nie ma, to nie będzie miało funduszu.

Według informatorów PRZEGLĄDU w wypadku białostockiej dyrekcji Lasów Państwowych jej szefostwo „zarezerwowało" sobie 30% funduszu z każdego nadleśnictwa. Oczywiście nieformalnie, bo nie reguluje tego żaden przepis. To bowiem każdy nadleśniczy jest wyłącznym dysponentem funduszu.

– Po telefonie dyrektora do nadleśniczego, że pojawi się u niego z wnioskiem o wsparcie taki a taki człowiek, nadleśniczy przelewa instytucji, którą reprezentuje ustosunkowany beneficjent, np. taki jak ks. Duszkiewicz, pieniądze z tej „dyrektorskiej kupki" – twierdzi nasz informator z Lasów Państwowych.

Według „Gazety Współczesnej" budująca kaplicę w Czerlonce fundacja Ekologiczne Forum Młodzieży, którą współzakładał Duszkiewicz, zainkasowała z podlaskich nadleśnictw w tym i ubiegłym roku prawie 100 tys. zł. ■

FOT. PAP/GRZEGORZ MOMOT

eprasa.pl 5d369d7248

Nie zmarnujmy tego

Na konsultowanie ze związkami zawodowymi „Polityki Energetycznej Polski do 2040 r.” poświęcono tylko jeden dzień

Andrzej Radzikowski

Jedno z ostatnich posiedzeń Rady Dialogu Społecznego poświęcone było omówieniu zadań dla polskiej gospodarki wynikających z przyjętego przez Unię Europejską programu Zielonego Ładu oraz pracom nad Krajowym Planem Odbudowy.

Oba tematy się łączą. Zielony Ład wyznacza cele klimatyczne, jakie mamy osiągnąć. Krajowy Plan Odbudowy (KPO) to projekt wykorzystania unijnych środków finansowych na tworzenie miejsc pracy, inwestycje, rozwijanie technologii ekologicznych i cyfrowych, które będą motorem gospodarki na najbliższą dekadę. Z 750 mld euro Europejskiego Funduszu Odbudowy Polska w ciągu trzech lat uzyska 23 mld euro. Będziemy czwartym największym beneficjentem tego instrumentu.

To duże pieniądze i duże wyzwanie, ale i szansa dla polskiej gospodarki, szczególnie w kontekście programu transformacji górnictwa i energetyki. Dlatego KPO musi być wkomponowany w wieloletni program redukcji energetyki opartej na węglu na rzecz źródeł odnawialnych. Niezbędne jest też stworzenie listy priorytetowych inwestycji, tak aby wpisać je w wydatki planu. Muszą to być działania skoordynowane i zaplanowane na wiele lat do przodu. Muszą także wpisywać się w harmonogram realizacji programu Zielonego Ładu. Nie możemy tych pieniędzy zmarnować. Drugiego takiego programu finansowego UE już raczej nie będzie. Z tego względu OPZZ oczekuje włączenia przedstawicieli central związkowych i organizacji pracodawców w ten proces.

OPZZ zwracało się do strony rządowej o rozpoczęcie dialogu w sprawie wdrażania Zielonego Ładu i polskiej polityki energetycznej. Z naszej inicjatywy zespół problemowy Rady Dialogu Społecznego ds. polityki gospodarczej i rynku pracy zajmował się tą problematyką trzykrotnie. Mamy świadomość oczekiwań społeczeństwa związanych z powstrzymaniem zmian klimatycznych. Jednak musimy też pamiętać o realnym zagrożeniu utraty miejsc pracy (przenoszeniu produkcji poza granice UE) i degradacji gospodarki (zapaści bezpieczeństwa energetycznego Polski).

Opublikowana pod koniec września przez Komisję Europejską roczna strategia zrównoważonego wzrostu gospodarczego na 2021 r., wspierając Zielony Ład, wyraźnie akcentuje, że „konieczne jest również wspieranie regionów, gałęzi przemysłu i pracowników najbardziej dotkniętych skutkami transformacji ekologicznej oraz łagodzenie społeczno-gospodarczych skutków transformacji. Jest to niezbędne dla zapewnienia równych i sprawiedliwych szans dla obywateli i przedsiębiorstw”. Powstaje pytanie, jakie działania zamierza podjąć polski rząd w tym zakresie. Osiąganie neutralności klimatycznej dotknie większość kluczowych dziedzin życia gospodarczego i społecznego. Szczególnie sektor górniczy, energetyczny i transport. Proponowane w UE podwyższenie celów klimatycznych do 50%, 55% czy 60% redukcji dwutlenku węgla do 2040 r. w ocenie OPZZ może być niemożliwe do osiągnięcia nie tylko przez polską gospodarkę. Z tego punktu widzenia obrona polskiej gospodarki i utworzonych w niej miejsc pracy nabiera szczególnego znaczenia.

Na posiedzeniu Prezydium OPZZ ówczesny wiceminister klimatu przedstawił założenia „Polityki Energetycznej Polski do 2040 r.”. Było to obiecywanie wszystkim wszystkiego. Projekt wywołał falę protestów w górnictwie i energetyce. W ocenie OPZZ rządzący uprawiają gigantyczny slalom między obywatelami, centralami związkowymi i Unią Europejską. Nie ma strategicznej, realnej i spójnej wizji. Są obietnice bez wiarygodnego pokrycia. Kolejne „programy” mają charakter doraźny i cząstkowy. Dialog ze społeczeństwem jest niewystarczający, co przekłada się na niską akceptację podejmowanych działań. Na konsultacje ze związkami zawodowymi „Polityki Energetycznej Polski do 2040 r.” poświęcono tylko jeden dzień. Nie tak powinien wyglądać poważny i konstruktywny dialog społeczny.

Eksperci od dawna wskazują, że system energetyczny nie może się opierać w całości na odnawialnych źródłach. Potrzebna jest jego stabilizacja poprzez elektrownie konwencjonalne, w przypadku Polski oparte na naturalnych zasobach źródeł energii – węglu kamiennym i brunatnym. Przedstawiona przez rząd polityka energetyczna zakłada stabilizowanie systemu energetycznego przez elektrownie gazowe oparte na importowanym surowcu oraz dwie elektrownie atomowe. W jakiej formie konsultowano te kwestie ze społeczeństwem? Czy uzależnienie się od importu gazu leży w interesie Polski? Z mediów dowiadujemy się, że Polska podpisała z USA umowę na budowę elektrowni atomowej. Czy jest na to zgoda społeczna i czy nie okaże się, że rozpoczęta budowa podzieli losy Żarnowca? Może warto zainwestować w nowe technologie ograniczające lub eliminujące emisję dwutlenku węgla przy spalaniu tego, co mamy – węgla? Polska dysponuje silnym sektorem górnictwa węgla kamiennego i brunatnego ze związanymi z tym gałęziami przemysłu. Dziesiątki tysięcy osób pracuje w elektrowniach konwencjonalnych i hutach. Jaka będzie ich przyszłość? Ze strony rządu pojawiają się tylko mgliste plany, podczas gdy zamykanie zakładów wydobywczych, elektrowni i hut już trwa.

> Sprawiedliwa transformacja to taka, która odtworzy każde stracone miejsce pracy w regionie, którego zmiany dotyczą.

Dla związkowców sprawiedliwa transformacja to taka, która odtworzy każde stracone miejsce pracy w regionie, którego zmiany dotyczą. Powinna nam przyświecać zasada: zakład za zakład, miejsce pracy za miejsce pracy. Rząd, jak chce, potrafi być inwestorem. Pokazuje to przykład przekopu Mierzei Wiślanej czy Centralnego Portu Komunikacyjnego. Europejski Fundusz Odbudowy to niepowtarzalna szansa dla rozwoju Polski. Nie zmarnujmy tego!

Autor jest przewodniczącym OPZZ

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 5d369d7248

Awantura w rodzinie demokratów

Młodzi radykałowie i politycy umiarkowani spierają się, czy tworzyć socjalistyczną i wielokulturową koalicję, czy wrócić do korzeni na białej prowincji

Młoda twarz Partii Demokratycznej. Nz. od lewej: deputowane Rashida Tlaib, Ilhan Omar, Alexandria Ocasio-Cortez i Ayanna Pressley.

Jakub Dymek

Powyborcze rozliczenia to rzecz normalna. Kogoś spotyka krytyka, ktoś przyznaje się do błędu, a jeszcze ktoś musi odejść. Regułą jest jednak, że do ostrych porachunków dochodzi po porażce, nie po zwycięstwie. U amerykańskich demokratów w tym roku jest na odwrót. Wskazywanie palcem winnych zaczęło się właściwie od razu po przekroczeniu linii mety przez zwycięskiego kandydata demokratów, Joego Bidena. Odmienne poglądy, odległe skrzydła partii i różne wrażliwości starły się o sprawy podstawowe: strategię, drogę partii na przyszłość i wartości. Politycy w wywiadach zaczęli pod nazwiskiem atakować koleżanki i kolegów, inni błyskawicznie zaczęli wypuszczać do mediów „tajne" nagrania, w których robią dokładnie to samo. Radość z sukcesu szybko się ulotniła.

Nazywanie tego wojną jest dużą przesadą. To raczej awantura w rodzinie. Ale taka, w której już nikt nikogo nie oszczędza, młodzi mają serdecznie dość starych, goście przyglądają się temu z zażenowaniem, a jedna i druga strona sporu gotowa jest w każdej chwili trzasnąć drzwiami.

I jak to w takich sytuacjach bywa – każdy ma trochę racji, ale nikt nie ma jej do końca.

Wygrana jak klęska

Wszystko dlatego, że demokraci, choć odsunęli Trumpa od władzy, nie wychodzą z tych wyborów bez szwanku. W Izbie Reprezentantów zachowają przewagę, ale stracili już osiem miejsc. W Senacie mogą w najlepszym wypadku liczyć na remis – co w amerykańskim systemie, gdzie rozstrzygający głos należy do urzędującego wiceprezydenta, daje wiele. Ale czy zdobędą brakujące do remisu głosy? To kwestia otwarta i na wynik poczekamy do stycznia. Sąd Najwyższy zaś będzie dzięki nominacjom Trumpa w rękach mocnej republikańskiej większości, co tylko dołoży nowej administracji problemów.

eprasa.pl 5d369d7248

Demokraci, choć ich kandydat wygrał znaczną przewagą głosów, a rekordowa frekwencja miała dać im premię – faktycznie ledwo co wyszarpali to zwycięstwo. Do tego ponosząc bolesne porażki w kilku okręgach, gdzie wydawało się im, że mają łatwy mandat. I, co może najbardziej zaskakujące, tracąc po drodze kilka punktów procentowych u mniejszości – Afro- i Latynoamerykanów, których poparcia byli absolutnie pewni. „Jak to, Trump zyskuje głosy czarnych i Latynosów?", drapali się w głowę zażenowani doradcy partii po ogłoszeniu wyników *exit poll*.

Do „umiarkowanych" należą i Nancy Pelosi, i Conor Lamb, który, gdy Pelosi trafiła do Kongresu, dopiero szedł do przedszkola.

W tej sytuacji konflikt, który teraz rozgorzał, nie może dziwić. Prawdę mówiąc, jest logiczną konsekwencją i rozdętych oczekiwań, i drogi partii po przegranych wyborach 2016 r. Rozdętych oczekiwań, bo demokraci wierzyli, że tym razem demografia naprawdę im sprzyja, rok pełen demonstracji przeciw przemocy policji tym bardziej zaś będzie mobilizował Afroamerykanów do udziału w wyborach. Także dlatego demokraci nie przegapili żadnej okazji, by nazwać Trumpa białym suprematystą i rasistą. Media utwierdzały ich w przekonaniu o rychłym sukcesie. Spodziewano się miażdżącego zwycięstwa, „niebieskiej fali", ale ta nie przyszła. A była to też kwestia drogi partii po 2016 r. – bo coraz bardziej było widać, że demokraci odbijają się od bandy do bandy.

Kto nie śpi?

Demokraci w Ameryce podzielili się na dwa obozy: „przebudzonych" i „umiarkowanych". „Przebudzeni" brzmi może nieco sekciarsko – jak kult albo tajne stowarzyszenie z powieści gotyckiej – ale to oznacza słowo *woke*, którym określa się tę grupę. A że ma ona w sobie coś sekciarskiego, to osobny wątek. Właśnie oni licznie zasilili partię w ostatnich latach, wprowadzając ferment w starej i nieco zużytej demokratycznej machinie.

Być *woke* oznacza być kimś uświadomionym – choćby w sprawie systemowego rasizmu w USA, dyskryminacji kobiet, nierówności strukturalnych i nieuczciwej ordynacji wyborczej. Ale mniej przychylna interpretacja podpowiada, że bycie *woke* to także znajomość wszystkich najmodniejszych haseł, teorii i intelektualnych trendów. „Przebudzona" lewica skacze z tematu na temat: jednego dnia interesują ją prawa osób transpłciowych, drugiego płaca minimalna w gastronomii, trzeciego reforma imigracyjna. Złośliwi powiedzieliby, że to ciągła gonitwa za coraz szybciej umykającym horyzontem tego, co aktualnie uchodzi za postępowe. A dodajmy, o ile nie jest to jeszcze jasne: *woke* to przede wszystkim kategoria pokoleniowa, obejmująca najmłodszych sympatyków demokratów. Nawet jeśli bohaterem tego ruchu jest 79-letni senator Bernie Sanders, „demokratyczno-socjalistyczny" kandydat ubiegający się (bezskutecznie) w 2016 i 2020 r. o nominację z ramienia demokratów w wyborach prezydenckich.

„Przebudzona" lewica jest nadreprezentowana w mediach, w wielkomiejskich i wieloetnicznych okręgach wyborczych, w internetowej debacie. Ma swoje grupy dyskusyjne, kanały w mediach społecznościowych, popularne podcasty, miliony kont na Twitterze – stąd bierze się jej wpływ. W polityce na ogólnokrajowym poziomie wciąż jednak stanowi mniejszość – w Kongresie z tą etykietką i ruchem utożsamia się dużo mniej niż połowa wybranych demokratów. Najmłodsza gwiazda Kongresu i lewicowej polityki, Alexandria Ocasio-Cortez, świeci jasno – ale polityków i polityczek równie wyrazistych i bezkompromisowych można się doliczyć w Waszyngtonie łącznie kilkunastu. Polityczna reprezentacja „przebudzonych" opowiada się za Nowym Zielonym Ładem, umorzeniem długów studenckich, powszechną i opłacaną z podatków opieką zdrowotną. Jest też głosem tego pokolenia, które otwarcie i bez wstydu mówi o socjalizmie i utożsamia się z tym budzącym wciąż grozę w USA słowem.

Oczywiście internetowy ruch i ferment wśród młodych wyborców nie oznaczają skrętu w tę stronę całej partii. Podobnie jak nie są w stanie przejąć jej na własność młode kongresmenki z – jak same mówią – ekipy skupionej wokół Alexandrii Ocasio-Cortez. Ale w polityce coraz większą rolę odgrywają zmobilizowane i głośne mniejszości.

Nigdy więcej socjalizmu!

Z tego też powodu alergicznie na zwrot w polityce demokratycznej ostatnich kilku lat reagują „umiarkowani". To w przeciwieństwie do „przebudzonych" – zwartej i głośnej grupy najmłodszych polityków – bardziej umowna kategoria. Problem z tym skrętem partii zgłaszają posągowe figury demokratycznej polityki, takie jak spikerka Izby Reprezentantów (i najpotężniejsza polityczka demokratów po prezydencie) Nancy Pelosi. Ale oprócz Pelosi przeciw radykalizacji demokratycznej polityki występuje choćby debiutujący kongresmen Conor Lamb z Pensylwanii, który, gdy Pelosi trafiła do Kongresu w 1987 r., szedł do przedszkola. Słowem – nie jest to sprawa pokolenia. Umiarkowane skrzydło partii składa się bowiem i z reprezentantów regionów bardziej konserwatywnych czy religijnych, i z polityków o centrowych poglądach czy probiznesowych demokratów z Kalifornii. Łączy ich przekonanie, że „przebudzona" lewica jeszcze bardziej zamyka demokratów w wielkich miastach, straszy prowincjonalnych wyborców i narzuca wszystkim kampusowy język.

„Przebudzona" lewica zamyka demokratów w wielkich miastach i straszy prowincjonalnych wyborców.

To konflikt między Conorem Lambem i Alexandrią Ocasio-Cortez najmocniej rozgrzał media w tygodniu po wyborach. Obydwoje są młodzi, właśnie przedłużyli swoje kadencje w Waszyngtonie i od razu po tym

FOT. AP/EASTNEWS

eprasa.pl 5d369d7248

zaczęli wymieniać ciosy na łamach „New York Timesa". Ocasio-Cortez, znana z biegłości w mediach internetowych, wytknęła koledze z partii, że nie ma pojęcia, jak prowadzić kampanię w sieci. Lamb szybko na stronach tej samej gazety odparował, że Ocasio-Cortez nie miałaby pojęcia, jak w ogóle prowadzić jakąkolwiek kampanię, gdyby startowała w okręgu równie trudnym co jego. Było w tej ripoście trochę prawdy, bo Lamb wygrał dla demokratów mandat w kluczowym stanie Pensylwania, w okręgu z 90% białych wyborców, gdzie cztery lata temu triumfował Trump. Ocasio-Cortez startowała na swoim rodzinnym Bronksie, gdzie demokraci bezpiecznie wygrywają od 30 lat.

Sprawa nie dotyczy oczywiście tylko tej dwójki. Demokraci z konserwatywnych okręgów błagają i upominają wielkomiejskich kolegów i koleżanki o umiarkowanie. „Wy w miastach możecie sobie opowiadać, co chcecie, ale potem to my na prowincji musimy się z tego tłumaczyć" – mniej więcej tak brzmi ta pretensja. Chodzi rzeczywiście o to, że kandydaci centrum czują się zakładnikami bardziej wyrazistego przekazu młodych i medialnych gwiazd nowej lewicy. Tak było np. z głośnym postulatem odebrania pieniędzy policji, który wybrzmiewał w trakcie protestów po zabójstwie czarnoskórego George'a Floyda przez policjantów. Choć nikt tak naprawdę nie zgłosił podobnej ustawy, hasło zostało szybko rozdmuchane przez media i elity opinii oraz aktywistów – a demokratyczni politycy tłumaczyli się z pomysłu, który nigdy nie był ich. Frustracja więc rosła. Jedna z polityczek została nagrana (i to nagranie trafiło oczywiście do mediów), jak upomina koleżanki i kolegów ze złością: „Powinniśmy przestać używać słowa socjalizm raz na zawsze – tracimy przez to mandaty!".

I tak zdecyduje demografia

Jak wiele konfliktów ideologicznych w amerykańskiej polityce, tak i ten opiera się na fundamencie rasy. A w ściśle politycznym sensie na demografii i jej wpływie na wybory. Demokraci od początku XXI w. żyją pod wpływem pewnego demograficznego mitu. Mówi on, że im bardziej wieloetniczna (mniej biała) będzie z czasem Ameryka, tym większy kawałek tortu im przypadnie. Republikanie mają przede wszystkim biały elektorat, którego ubywa, a demokraci są dziś dla Afro- i Latynoamerykanów partią pierwszego wyboru. Demograficzna zmiana, niczym jakaś naturalna i niepowstrzymana siła, miała zatem przesunąć amerykańską politykę w lewo. To jednak wciąż nie chce się wydarzyć.

I nie chodzi już tylko o to, że w 2016 r. wygrał Trump. Jak tłumaczy David Shor, zaledwie 29-letni były strateg Baracka Obamy, rzeczywistość okazała się bardziej skomplikowana. W niedawnym wywiadzie dla „New York Magazine" zatytułowanym „Powyborcza autopsja" dowodził, jak złudne były nadzieje pokładane w większej frekwencji, mobilizacji i demograficznej zmianie. Elektorat jest, owszem, coraz mniej biały – ale to biali wyborcy poszli do urn rekordowo licznie, dzięki czemu jeszcze zwiększyli swój wpływ na wyniki. Tylko dzięki temu, że wykształceni biali mieszkańcy przedmieść w tych wyborach poparli Bidena, kandydat demokratów mógł wygrać. Ale głosy białych ogółem, a już w szczególności tych mniej wykształconych, idą na prawicę. Jeśli dalej będą oni tak licznie się stawiać – ostrzega Shor – zwiastuje to kolejne klęski demokratów. Spełnić się może więc przeciwieństwo obietnicy, którą niósł demograficzny mit XXI w. – bardziej wieloetniczna i różnorodna Ameryka będzie jednocześnie krajem jeszcze bardziej konserwatywnym przy urnie. Zwłaszcza że niebiałych i niezamożnych wyborców wciąż czeka wiele utrudnień, a republikanie robią, co mogą, by za pomocą urzędniczych barier i kruczków prawnych zaniżyć frekwencję w tych grupach.

Dopiero ustawienie konfliktu „przebudzonych" i „umiarkowanych" demokratów w tym kontekście pozwala w pełni go zrozumieć. Wyjaśnia także to, dlaczego jest on tak trudny i potencjalnie toksyczny. Dwa stronnictwa i dwa podejścia do uprawiania polityki zderzają się bowiem w kwestii tego, która grupa demograficzna wyborców jest ważniejsza. Nikt nie chce powiedzieć np.: „Afroamerykanie w Georgii są ważniejsi od białego robotnika z Pensylwanii" albo na odwrót. To byłoby zbyt brutalne, dosłowne i cyniczne. Ale właśnie to, że Ameryka jest podzielona wedle rasy, geografii i wykształcenia, ustawia wszystko: język, strategię partii, proces wyłaniania kandydatów. Przed najbliższymi wyborami uzupełniającymi – już za dwa lata! – trzeba będzie zdecydować się, czy i jak odzyskiwać białych, nieco mniej wykształconych i bardziej konserwatywnych wyborców. Jakim sposobem i za jaką cenę?

Demokraci po jednej i drugiej stronie mają dziś dostęp do tych samych liczb, wykresów i prognoz. Mają też wyniki tych wyborów – co najmniej niezadowalające. Nie wiedzą, co z tym jeszcze zrobić. Ten zastępczy konflikt jest tego pierwszym dowodem.

Dwa stronnictwa zderzają się w kwestii tego, która grupa demograficzna wyborców jest ważniejsza.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl
dymek.substack.com

eprasa.pl 5d369d7248

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Nigdy nie będziesz szedł sam

Ten tekst dedykuję kamizelce kuloodpornej, w której to byli żołnierze (operatorzy, jak to się mówi obecnie) elitarnej jednostki GROM, teraz pracownicy prywatnej firmy ochroniarskiej, umościwszy w niej Jarosława Kaczyńskiego, wywieźli go do swojego ośrodka treningowego pod Łomżą. Zapowiedź manifestacji zorganizowanej przez Strajk Kobiet w końcu października pod willą Kaczyńskiego na Żoliborzu na tyle zaniepokoiła jego ochroniarzy, że wywieźli go natychmiast do ośrodka w Czerwonym Borze. To filmowa, groźna scena, ale nasuwa się w związku z nią kilka innych obrazów, odmiennych niż te, na których niskiego, starawego, korpulentnego, samotnego mężczyznę otacza grupa mężczyzn potężnie zbudowanych i uzbrojonych. Scen, których nigdy nie ujrzymy, a ich bohater nigdy osobiście ich nie doświadczy, co przedstawiamy w formie listu.

Nigdy nie będziesz szedł sam. Nigdzie. Donikąd. Po nic. Nigdy nie będziesz szedł sam do sklepu, po bułkę kajzerkę albo grahamkę, po butelkę mleka, tuzin jajek i kostkę masła. Nigdy nie będziesz szedł sam po żaden list do Ciebie, po jakąkolwiek przesyłkę. Nigdy nie będziesz szedł sam do furtki, żeby zamienić kilka słów z listonoszem, sąsiadem, dzieckiem z domu obok. Nigdy nie będziesz szedł sam na spacer, ani nad Wisłę płynącą nieopodal, ani gdzieś w górach, ani nad jeziorem. Nigdy nie będziesz szedł sam ulicą jakiegokolwiek europejskiego miasta. Nigdy nie będziesz szedł sam do banku, do przychodni (przyjedzie po Ciebie pułkownik, dyrektor szpitala, nawet jeśli w żadnym szpitalu nie będzie miejsca dla nikogo innego). Nigdy nie będziesz szedł sam do księgarni, sam nie sięgniesz tam po książkę, nie przerzucisz stron, nie zdecydujesz się kupić lub odłożyć. Nigdy nie będziesz szedł sam załatwić cokolwiek w urzędzie, biurze, kancelarii, punkcie obsługi. Nigdy nie będziesz szedł sam odwiedzić kogoś, kogo nawet byś chciał odwiedzić. Nigdy nie będziesz szedł sam, żeby kupić komuś prezent na święta, na urodziny czy imieniny. Nigdy nie będziesz szedł sam do kawiarni czy restauracji. Nigdy nie będziesz szedł sam kupić sobie buty, koszulę czy bieliznę, skarpetki. Nigdy nie będziesz szedł sam, kiedy będziesz potrzebował czegoś dla swojego kota: zabawki, karmy, posłania, wizyty u weterynarza. Nigdy nie będziesz szedł sam, żeby stanąć w jakiejś kolejce po coś, po co inni stoją. Nigdy nie będziesz szedł sam bez celu, ot tak. Nigdy nie będziesz szedł sam dokądkolwiek, w jakiejkolwiek sprawie, za jakąkolwiek potrzebą, podszeptem, pokusą. Nigdy nie będziesz szedł sam tam, dokąd kiedyś sam chodziłeś: do biblioteki, na uczelnię, na salę wykładową, do kościoła. Nigdy nie wsiądziesz sam na rower czy do kajaka. Nigdy nie będziesz szedł sam do lasu, na grzyby czy żeby odetchnąć innym powietrzem. Nigdy nie będziesz szedł sam na spotkanie kogoś, kogo nie lubisz albo – co gorsza – boisz się. Nigdy nie będziesz szedł sam, żeby naprawić jakiś sprzęt domowy.

I takich czynności, których nigdy nie wykonasz już sam, są setki, może więcej. Najciekawsze jest to, czy myślisz o tym niekiedy, czy roztrząsasz, dlaczego tak jest. Czego dokonałeś, że właściwie niemożliwe jest dla Ciebie życie, jego trudy i smaki, dostępne lub przeżywane przez niemal wszystkich pozostałych, którzy żyją w tym samym czasie i miejscu – Polsce? Czy do tego doprowadziłeś? Czy tak naprawdę nie jest to samospełniająca się opowieść o wszechpotężnym i wszechotaczającym Cię strachu? Przerażeniu? Samotności? Już do końca Twoich dni będzie Cię zawsze ktoś odseparowywał od świata, od życia, na które wciąż zamierzasz apodyktycznie wpływać, organizować je. Nie chodzi o to, że nie umiesz prowadzić auta, że nie miałeś konta bankowego, decydując o wydawaniu miliardów – to można by nawet uznać za zasługę i zdrowy objaw, gdyby było świadomym wyborem, a nie niemożnością.

> Czego dokonałeś, że właściwie niemożliwe jest dla Ciebie życie dostępne niemal dla wszystkich, którzy żyją w tym samym czasie i miejscu – Polsce?

Są jednak sprawy i rzeczy, które sam wciąż robisz. Czytasz książki, raporty służb, coś tam piszesz, rozmawiasz przez telefon, głaskasz kota, żujesz chleb, poprawiasz sobie poduszkę przed snem, może sam aplikujesz sobie leki, zakładasz skarpety. Czasem myślisz, że Twoja ostatnia podróż będzie na Wawel. Ale mam nadzieję, że się mylisz.

Sam też nie rozumiesz, co oznacza krzyk tysięcy kobiet i mężczyzn pod Twoim oknem: „Nigdy nie będziesz szła sama", a pod również Twoim adresem: „Wypierdalać", choć Twój brat zasłynął legendarnym, obcesowym: „Spieprzaj, dziadu" do oponenta politycznego na ulicy. Nie wiesz, co robią te tysiące pod Twoim oknem, pod balkonem, na który nie możesz wyjść sam, żeby nie zapalić papierosa, którego kiedyś byś zapalił.

Przecież nigdy sobie nie powiesz: „Musiałem zrobić coś bardzo źle, że zasłużyłem na taką reakcję". A może raczej nigdy tego nie pomyślisz, bo musiałbyś odważyć się pójść gdzieś sam. A to jest po prostu niemożliwe. Już nigdy.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 5d369d7248

Zaszczepieni przez obcych

Sukces twórców szczepionki Pfizera pokazuje, jak ważna jest inteligentna polityka migracyjna

Mateusz Mazzini

Pochodzący z Turcji naukowcy zdecydowali, że skoncentrują się na szczepionkach. I szybko zaczęli odnosić sukcesy.

Kiedy 9 listopada upubliczniono informację, że amerykański gigant farmaceutyczny ma w laboratoriach substancję dającą ok. 90% ochrony przed zarażeniem się COVID-19, świat znów na chwilę zatrząsł się w posadach. Tym razem z radości, bo informacja o skutecznej szczepionce była dla wielu pierwszą dobrą nowiną w całym roku 2020. W zdecydowanej większości depesz prasowych czy nagłówków w serwisach internetowych widniała informacja, że uwolnić planetę od pandemii będzie w stanie jako pierwszy właśnie Pfizer – gigant generujący rocznie 51 mld dol. przychodu, czyli prawie 9% całkowitego PKB Polski. Niewielu autorów doprecyzowywało, że choć to właśnie pod patronatem tego holdingu przeprowadzano przez ostatnie miesiące przełomowe badania kliniczne nad wirusem, sama szczepionka nie jest bezpośrednim dziełem Amerykanów. Powstała w firmie BioNTech, zarejestrowanej zaledwie 12 lat temu w Moguncji, nieco ponad 200-tysięcznym mieście na zachodzie Niemiec. Pfizer oczywiście zainwestował w cały proces ogromne zasoby finansowe, zapewni też dystrybucję szczepionki po dopuszczeniu jej do masowego użycia, jednak nowojorscy prezesi niewiele mogliby zrobić, gdyby nie partnerstwo z jeszcze niedawno skromnym rodzinnym przedsiębiorstwem badawczym.

BioNTech założyło troje mieszkających w Niemczech naukowców. Żadne z nich jednak nie jest z pochodzenia Niemcem. Austriackiemu onkologowi Christopherowi Huberowi w stworzeniu przedsiębiorstwa zatrudniającego dzisiaj przeszło 1,3 tys. osób pomogła dwójka immunologów o tureckich korzeniach. Özlem Türeci jest dziś szefową pionu medycznego firmy, Uğur Şahin – prezesem całego BioNTech, przede wszystkim jednak od 2002 r. są małżeństwem. Poznali się w Homburgu, gdzie połączyła ich najpierw miłość do nauki. Ale zaczynali od tego, co mogli zidentyfikować najszybciej – od tureckich korzeni. Şahin urodził się w İskenderun na wschodnim krańcu śródziemnomorskiego wybrzeża Turcji. Bliżej stamtąd do Damaszku niż do Ankary, nie mówiąc o Europie. Tereny te nigdy nie należały do bezpiecznych ani stabilnych. Lata konfliktów przygranicznych, represje wobec Kurdów zamieszkujących wschód Turcji oraz kryzysy gospodarcze sprawiły, że właśnie stąd najliczniej rekrutowała się turecka diaspora, która w latach 60. i 70. rozpoczęła podróż na północ, przede wszystkim do Niemiec.

W tej masowej migracji wziął udział ojciec Şahina, który znalazł pracę jako monter w fabryce samochodów Forda w Kolonii. To tam naukę rozpoczął mały Ugur, który zamieszkał z tatą na zachodzie Niemiec w wieku czterech lat. Od zawsze wykazywał ponadprzeciętne zdolności naukowe i wyróżniał się na tle rówieśników. Do tego stopnia, że nie mógł się zdecydować, na której dziedzinie się skupić – interesowały go praktycznie wszystkie. Ma to zresztą odzwierciedlenie w jego życiorysie naukowym. Najpierw zapisał się na studia medyczne, spędzając na kolońskiej uczelni osiem lat i broniąc doktoratu poświęconego guzom nowotworowym, ale wciąż mało było mu nauki akademickiej. Kolejne trzy lata studiował matematykę. Jak sam mówi, to pokłosie zainteresowań z dzieciństwa, kiedy czytał wszystkie książki popularnonaukowe, do których był w stanie się dokopać. Pozwoliły mu one nie tylko poszerzyć horyzonty, ale też opanować przynajmniej podstawowe słownictwo naukowe po niemiecku. Najciekawszym jednak elementem tej historii jest fakt, że Şahin wypożyczał je z biblioteki… pobliskiego kościoła katolickiego. Liceum ukończył jako pierwsze w historii szkoły dziecko gastarbeiterów – maturę zdawał

FOT. FELIX SCHMITT/FOCUS/FORUM

eprasa.pl 5d369d7248

z matematyki i chemii. Do dziś wspomina, że choć wyjazd ze słonecznego wybrzeża do deszczowej Nadrenii-Północnej Westfalii nie był łatwy dla dziecka, w Niemczech mógł rozwijać swój talent naukowy.

Podobnie czasy szkolne i uniwersyteckie wspomina jego żona – jedyna z trójki założycieli BioNTech, która urodziła się w Niemczech, w Cloppenburgu w Dolnej Saksonii. Niewiele to jednak zmienia w jej historii, bo oboje rodzice byli Turkami. Ojciec, lekarz, od początku chciał zaszczepić w córce pasję do medycyny. Ta początkowo była oporna, bo bardziej interesowało ją życie religijne, myślała nawet o zostaniu zakonnicą. Ostatecznie posłuchała rad ojca, poświęcając życie nauce. A dokładnie nowotworom, które pasjonowały również jej przyszłego męża. Oboje tak bardzo kochali naukę, że ledwo znaleźli czas na ślub. Kiedy tylko stali się sławni jako współtwórcy prototypu szczepionki na COVID-19, media obiegła anegdota, że małżeństwem zostali w czasie przerwy obiadowej w pracy laboratoryjnej. Zaraz po ceremonii wrócili na swoje stanowiska, kontynuować badania. I choć historia ta brzmi niewiarygodnie, Şahin i Türeci z uśmiechem ją potwierdzają.

Karierę starali się planować razem. W ten sposób trafili do Zurychu, gdzie dołączyli do zespołu badawczego Rolfa Zinkernagela. Ten wybitny szwajcarski immunolog otrzymał w 1996 r. Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny za badania nad reakcją układu odpornościowego człowieka po rozpoznaniu przez jego komórki kontaktu z wirusem. Przyjaźń z wielkim autorytetem nie tylko z czasem nie wygasła, ale okazała się też przydatna w rozwijaniu własnego biznesu. Dziś Zinkernagel jest bowiem przewodniczącym rady naukowej BioNTech.

Şahin i Türeci szybko jednak chcieli iść na swoje. Zaledwie kilka lat po Noblu dla ich szwajcarskiego szefa stwierdzili, że są już gotowi się uniezależnić. Wrócili więc do Niemiec, gdzie on rozpoczął pracę naukową w szpitalu w Homburgu, ona skupiła się na rozwoju pierwszej firmy – Ganymed Pharmaceuticals. Dziś spółka ta, w 2016 r. przejęta przez koncern Astellas Pharma, jest największym niemieckim przedsiębiorstwem biotechnologicznym. Dla Türeci nie było to jednak wystarczającym sukcesem. Za pieniądze z udziałów w Ganymed pomogła sfinansować start BioNTech. O wkład naukowy nie musiała się martwić, skoro zapewniała go do spółki z mężem, już wtedy uznanym immunologiem. Oboje zdecydowali, że skoncentrują się na szczepionkach. I szybko zaczęli odnosić pierwsze sukcesy. Już kilka lat po starcie zwiększyli zatrudnienie do prawie tysiąca osób, a niemal równo 10 lat po rejestracji firmy przyszedł pierwszy wielki partner.

Pfizer zaproponował wspólne prace nad nową, skuteczniejszą szczepionką na grypę. Umowa była prosta. Amerykanie płacą, BioNTech prowadzi badania. Za „pruskimi Turkami", jak siebie i męża określa Özlem Türeci, stała wybitna naukowa wiedza. Za amerykańskim koncernem praktycznie nieograniczone zasoby finansowe. Wydawałoby się więc, że jest to związek idealny, lecz w ich partnerstwie kluczowy okazał się zupełnie inny aspekt.

Kiedy Ugur Şahin szedł na pierwsze spotkanie z prezesem Pfizera, nie zdawał sobie sprawy, że będzie rozmawiać z greckim imigrantem. Albert Bourla urodził się w Salonikach i doskonale znał historię grecko-tureckich napięć. Mogłoby zatem się wydawać, że na osiągnięcie porozumienia nie ma szans. Mimo to panowie się dogadali, bo połączyło ich migracyjne doświadczenie. Obaj przyszli na świat w krajach zupełnie innych od tych, w których później dorastali i odnosili sukcesy zawodowe. Obaj musieli udowadniać swoją wartość, choć mieli szczęście robić to w społeczeństwach relatywnie otwartych, pozwalających na rozwój bez względu na kolor skóry, akcent czy wyznawaną religię.

Bourla do dziś podkreśla, że właśnie etos ciężkiej pracy imigranta wypchnął go na szczyt całego koncernu. Z kolei niemiecka prasa świętuje osiągnięcie założycieli BioNTech jako sukces całej tamtejszej polityki migracyjnej. Şahin i Türeci to dziś „modelowi imigranci", którzy w Niemczech się zasymilowali, choć nigdy nie przestali być tymi, kim zawsze byli. Niemcy są bowiem dumni, że nie zmuszają przybyszów do porzucenia swojej pierwotnej tożsamości. Wystarczy, że obok niej wykształcą drugą – niemiecką.

Triumf „pruskich Turków" nabrał więc wymiaru politycznego. Johannes Vogel, deputowany do Bundestagu z Wolnej Partii Demokratycznej, natychmiast po szczepionkowym komunikacie Pfizera napisał na Twitterze, że gdyby „w Niemczech rządziła Alternatywa dla Niemiec, nie byłoby żadnej spółki BioNTech z imigrantami na czele". Z kolei z prawej strony sceny politycznej wylał się hejt. Radykałowie protestują przeciw nazywaniu Şahina i Türeci Niemcami. Jak zatem widać, nawet dokonanie „największego medycznego przełomu ostatnich 100 lat", jak eksperci nazywają szczepionkę, nie likwiduje nacjonalistycznej nienawiści.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Szczepionka powstała w firmie BioNTech założonej w Niemczech przez imigrantów.

Niemieccy radykałowie protestują przeciw nazywaniu Şahina i Türeci Niemcami.

W najnowszym numerze „NIE":
Gliński daje nie po uważaniu, lecz po algorytmie.

eprasa.pl 5d369d7248

Dokąd idziesz, **lewico?**

Lewica nie szuka odpowiedzi na pytania o to, dlaczego tak wygląda rzeczywistość i jak ją zmieniać

Krzysztof Janik

Lewica jest w potężnym kłopocie. Osiągnęła w zasadzie wszystkie wyznaczone 150 lat temu cele, niektóre szybciej, inne nieco wolniej. Jest w sytuacji tego anegdotycznego Saszy z żartu o Budionnym, który po ostatniej zwycięskiej bitwie z „białymi", wycierając skrwawioną szablę, zapytał: „I co teraz, towarzyszu atamanie?". Widocznego wroga już nie ma, wszyscy „biali" nie żyją lub przeszli na naszą stronę, a niektórzy są nawet bardziej lewicowi niż my (CDU uchwalająca ustawę o małżeństwach homoseksualnych). O co dziś mamy walczyć? Jakie idee wziąć na sztandary?

To pytania, które stoją przed światową lewicą. Nic dziwnego, że są one inspiracją do rozmaitego rodzaju badań i formułowania hipotez. Robią to lewicowi myśliciele, toczą się – gdzieś tam – debaty o przyszłości, podejmowane są próby zdefiniowania wyzwań, które przyniesie rozwój sztucznej inteligencji, nowa faza masowych wędrówek ludów czy wyścigu gospodarczego. Mamy to „opanowane"; jak trzeba, urządzimy dyskusję nad kolejną książką Naomi Klein albo Thomasa Piketty'ego. Ba, przeczytamy – choć z należnym obrzydzeniem, ze względu na miejsce publikacji – artykuł z cyklu „Jutronauci". Ale wnioski dla polityki lewicy z tych lektur? Próba zwrócenia polityki w przyszłość?

To są uwagi pod adresem całej lewicy światowej i europejskiej. Zagubiła się ona w bieżączce, chętniej wyprawia się w przeszłość niż w przyszłość, nie ma – tak jak kiedyś Marks – całościowej teorii człowieka i społeczeństwa. Można powiedzieć, że lewica ma najlepszą aksjologię – dopracowała się zestawu wartości, które są powszechnie akceptowane. Nie ma natomiast ontologii, nie ma i nie szuka pogłębionej odpowiedzi na pytania o to, dlaczego tak wygląda rzeczywistość, jakimi mechanizmami trzeba ją zmieniać i jak zmieniać same mechanizmy.

•

Politycy lewicy są pewnie oburzeni powyższymi uwagami. Wszak otaczająca nas rzeczywistość jest pełna ludzkiej i społecznej krzywdy. Do zrealizowania postulatów równości i sprawiedliwości społecznej nadal nam daleko, a każdy dzień przynosi nowe zamachy na wartości, które konstytuują nowoczesne społeczeństwo. Trzeba więc walczyć o dopuszczalność aborcji, pełne prawa społeczne dla osób nieheteroseksualnych, likwidację umów śmieciowych czy dodatkowe zasiłki dla osób niemajętnych. Tu złożymy więc projekt ustawy, tam gdzieś jakąś poprawkę, tu dziewczyny wyjdą razem z innymi na ulicę, a tam – bardzo nieśmiało – upomnimy się o imigrantów. Ale ostrożnie, bo z jednej strony mamy lewicowych radykałów, a z drugiej liberałów – obydwa kierunki są dla nas równie zachęcające i groźne. Z trzeciej strony społeczeństwo – z natury konserwatywne, optujące za stabilnością i trwałością obyczaju i rytuałów, mało mobilne pod każdym względem. Szarpiemy się pomiędzy tymi uwarunkowaniami, koncentrujemy na parlamencie, bo to łatwiejsze, a zasady gry parlamentarnej są prostsze niż zasady gry ze społeczeństwem.

Ale to ta druga jest kluczowa. Gdy popatrzymy na Polskę, to sztukę komunikowania się z masami opanowali Kaczyński i jego populistyczna formacja. Wyśmiewałem kiedyś w „Trybunie" te pseudolewicowe hasła PiS, zwłaszcza w sferze socjalnej, ale nikt nie poszedł tym tropem. Niektórym naszym lewicowcom nadal się wydaje, że 500+ jest lewicowe, bo nikogo nie naznacza. Nie metkuje biednych, jak mi powiedział młody ideolog lewicy. Taaa, metka jest ważna, a nie towar pod nią ukryty. Obracamy się więc w sferze haseł, informujemy regularnie na Facebooku, w którym radiu bądź telewizji jutro wystąpimy. Ale co powiemy, z jakim przesłaniem idziemy (poza tym, że przywalimy rządzącym), to już mniej ważne.

•

Piszę o tym ze smutkiem, bo nie pierwszy raz wołam, aby lewica zechciała głośno i dobitnie powiedzieć, jakiej Polski chce i czym ta jej Polska będzie się różnić od Polski innych partii politycznych. Społeczeństwo ma dziś do wyboru realia pisowskie lub powrót do rzeczywistości utożsamianej z Platformą Obywatelską. Z tych dwóch opcji woli już powrót do Polski platformianej, zwłaszcza w wersji *soft*, symbolizowanej przez Szymona Hołownię. Stąd przyrost poparcia dla Hołowni, w tym ze strony lewicowego elektoratu, bo on także stoi przed takim wyborem. I niech nas nie uspokajają manifestacje po ujawnieniu stanowiska PiS w sprawie aborcji. Hasło „wypierdalać" nie unieważnia pytania Saszy, od którego ten tekst zacząłem.

A jest do czego się odwoływać. Ze spraw bieżących: co dalej z Unią Europejską – jesteśmy za federalistycznym państwem europejskim czy nie? Co z imigracją – będziemy ją popierać, jesteśmy za prawami społecznymi i politycznymi dla imigrantów czy nie? Co z narastającym zadłużeniem naszego kraju – mamy jakiś program naprawy finansów publicznych, czyim kosztem będziemy je naprawiać, czy może wyznajemy pogląd, że jakoś to

Lewica zagubiła się w bieżączce, nie ma całościowej teorii człowieka i społeczeństwa.

eprasa.pl 5d369d7248

będzie? Nie chodzi o to, aby spotkali się Czarzasty z Biedroniem i Zandbergiem i sformułowali jakąś odpowiedź na te pytania. Idzie o to, aby wokół poszukiwania tej odpowiedzi uruchomić wielki ruch społeczny, zaangażować do tego autorytety naukowe i społeczne. Mamy precedens – na przełomie pierwszej i drugiej dekady obecnego wieku powstawał „projekt dla Polski", pracami nad nim kierował prof. Janusz Reykowski. Nic z tego nie wyszło (poza książką), bo zmieniły się władze partii i nowe nie były już zainteresowane myśleniem.

Tym śmielej głoszę ten postulat, bo widzę, że przybywa autorytetów lewicowo myślących. Gdy popatrzymy np. na środowisko pisarzy, to do lewicowych inspiracji przyznaje się większość młodego pokolenia wyrobników pióra, niektórzy mówią o tym wprost. Gdy patrzę na środowisko naukowe, widzę analizy przeszłości i obecnej rzeczywistości dokonywane z pozycji lewicowych, tworzone wcale nie przez nestorów. Czy ktoś te autorytety zaprasza do rozmowy, pije z nimi kawę, prosi o radę i propozycje lepszego urządzenia naszej rzeczywistości? Obawiam się, że nie. Także dlatego, że liderzy lewicy uznali za istotną obronę dotychczas zdobytych pozycji, a nie ofensywę na nowe rubieże. Najlepszą obroną jest atak – pisał klasyk. Ale kto dziś rozumie się na klasykach?

•

Pandemia unieruchomiła Polskę. Nakazała nam na nowo zweryfikować funkcje państwa, popatrzeć na zagadnienie spoistości społecznej. Nie pogłębia już podziału na dwa plemiona, tak modnego wśród publicystów, stawia nowe mury i zmusza sporą część Polaków do formułowania nowych pytań. Tu Lewicy – jako partii – nie można nic zarzucić. Dostrzega wagę problemu, umie wobec niego i polityki rządu (zresztą dość rozpaczliwej) się zachować. Ale tu znowu są pytania o przyszłość. Sam postulat 10% na służbę zdrowia nic nie mówi. Jest pytanie, na co wydamy te dodatkowe pieniądze, kto je odbierze. To koncepcja nowego zorganizowania służby zdrowia, kto ma nią zarządzać: rząd centralny, samorządy (które) czy tak naprawdę NFZ? Czy ten ostatni jest jeszcze potrzebny? Może trzeba wrócić do filozofii ubezpieczeniowego budowania nowej instytucji, która inaczej ustawi system ochrony zdrowia? Wtedy minister zdrowia będzie niepotrzebny. Czy ktoś pracuje nad takim lub innym projektem? A jak inaczej można nawiązać trwały kontakt z lekarzami, pielęgniarkami, ratownikami medycznymi itd.?

A co z wymiarem sprawiedliwości? Po reformach ministra Ziobry prosty powrót do wcześniejszych rozwiązań będzie trudny, jeśli w ogóle możliwy. Istnieją rozmaite propozycje zmian w systemie zwalczania przestępczości, prowadzące w kierunku unowocześnienia tego systemu, ograniczające filozofię odwetu, którą kieruje się prawica. Gość, który podpalił mieszkanie 11 listopada, powinien iść nie do więzienia, ale do pracy pozwalającej zwrócić właścicielowi mieszkania wszystkie koszty. Zyski z fiskalizacji kar, z nawiązek itp. pozwoliłyby prowadzić szeroką edukację prawniczą i finansować system wsparcia ofiar. Mamy jakiś pomysł, ktoś pracuje nad projektami ustaw w tym zakresie? Myśli o tych tysiącach ludzi zatrudnionych w wymiarze sprawiedliwości?

Protesty na ulicach ponownie postawiły na porządku dziennym kwestię wolności. Pisałem już o tym, że tej młodzieży wcale nie chodzi o aborcję. W działaniach władz dostrzegła ona zamach na swoją wolność, na prawo do urządzania sobie życia, tak jak wydaje się jej wygodnie. Nikt jej tego prawa nie może zabrać. Ale można je zinstytucjonalizować. Ot, napisać ustawę o wecie obywatelskim i zawrzeć przepis, że orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego zawsze może być przedmiotem rozstrzygnięcia referendalnego. A może ustawę o nieposłuszeństwie obywatelskim, zawierającą zasadę, że odrzucenie przez Sejm projektu obywatelskiego zawsze jest przedmiotem referendum? Referendum wygrane przez obywateli zawsze oznacza nowe wybory? Myślimy o tym?

A tak w ogóle, co z naszym państwem? Ma być tak jak do tej pory, że każda zwycięska partia urządza sobie władze, jak chce, a kumple obejmują co intratniejsze stanowiska? Jak zostałem ministrem spraw wewnętrznych, odwołałem trzech komendantów wojewódzkich, a ośmiu zmieniło województwo. Żaden mnie nie zawiódł. A powoływał ich rząd AWS. Trzeba rozważyć dalsze rozproszenie władzy, kadencyjność nominatów, surowe i przejrzyste kryteria ich powoływania, ale i jasne zasady odwoływania przed upływem kadencji. Nowego komendanta głównego policji powoływałem w porozumieniu z prezydium stosownej sejmowej komisji (był w niej Ludwik Dorn, który potem go odwołał), ale czas dziadersów, w tym Dorna, się skończył. Nie widzi tego Kaczyński, to naturalne. Ale Lewica musi to widzieć, na nowe myślenie musi być stać każdego lewicowca, bez względu na wiek.

Nie pierwszy raz wołam, aby lewica powiedziała, jakiej Polski chce i czym jej Polska będzie się różnić od Polski innych partii.

•

Lewica nie jest jeszcze rozpoznawalna. Owszem, trochę posłanek i posłów jest popularnych, ale przesłanie, które niosą, jest niszowe. Z całym dla nich szacunkiem, jeśli Lewica chce współtworzyć rząd, musi mieć ludzi kojarzonych z państwem i jego politykami publicznymi. Wiem, że ta nowa zmiana lewicowa, która jest w Sejmie, nie ma w genach znajomości państwa i reguł kierowania nim. To oczywiste, bo to przede wszystkim działacze społeczni, liderzy opinii społecznej. A tak w ogóle dzielni ludzie. Nie wstydzę się ich.

Ale formacja zacznie zdobywać nowych wyborców, kiedy pokaże program państwowy i jego wykonawców. To nie muszą być posłowie, ale powinni być zwłaszcza oni. Media gonią za bieżączką i sensacją, za wyrazistymi wypowiedziami. Ale ludzie czekają też na świeże pomysły, na konkretne propozycje, które uczynią ich życie znośniejszym, niczego im nie odbierając, dadzą jakąś szansę, perspektywę. I przekonanie, że to oni są współtwórcami tych propozycji, że razem, wspólnie coś wypracowaliśmy. I że zmieniać się będzie państwo, a nie tylko jakiś jego fragment. Pomyślcie o tym, panie i panowie.

Krzysztof Janik jest wykładowcą w Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

eprasa.pl 5d369d7248

POLEMIKA

Humanistyka po deformie Gowina

Kto ma być mistrzem Polski, jeśli nie polska humanistyka? Może amerykańska?

Tadeusz Klementewicz

Polska jako kraj od kilku stuleci opóźniony w modernizacji dołączyła do pochodu (konduktu?) „doskonałości badawczej" i globalnej konkurencyjności naukowców. Do neoliberalnej transformacji gospodarki i emerytur według reguł z Waszyngtonu dodała, za sprawą liberała gospodarczego, wicepremiera Jarosława Gowina, reformę szkolnictwa wyższego i nauki. Dla humanistyki to deforma. Według Gowina to z amerykańskiej centrali polski badacz społeczny ma czerpać problemy do analizy, style poznawcze i kryteria naukowości. Teraz konserwatywny narodowiec objął urząd o szerokich możliwościach odziaływania na fundusze uczelni i kierunki badań za pomocą systemu grantowego. Wbrew temu, co twierdzi bibliometryk dr hab. Emanuel Kulczycki, te wyniki badań polskich humanistów, które zaistniały w światowym obiegu idei, były z jednej strony własnym, oryginalnym wytworem Ludwika Flecka, Michała Kaleckiego, Mariana Małowista, Andrzeja Walickiego, Floriana Znanieckiego. Ale z drugiej – odnosiły się do problemów o walorach uniwersalnych: rewolucji zachodzących w nauce i różnorodności stylów poznawczych, kryzysów gospodarki kapitalistycznej i jej globalizacji, odrębnych dróg rozwojowych społeczeństw, które doświadczały modernizacji w różnym tempie, w odmiennych warunkach przyrodniczych i kulturowych – kiedy to mieszkańcy kurnych chat przenosili się do miejskich blokowisk, kiedy ręce od pługa coraz częściej obsługiwały skomplikowane urządzenia, a księdza plebana zastępował rezonerski filozof.

WYWIAD

W nauce Polska jest mistrzem Polski

Jednym z największych problemów polskiej nauki jest kultura cytowanych recenzji, w zasadzie brak negatywnych

DR HAB. EMANUEL KULCZYCKI

Podstawową słabością reformy Gowina jest pominięcie realiów półperyferyjnego statusu polskiej gospodarki i jednakowe traktowanie dwóch odrębnych typów wiedzy naukowej: nauk przyrodniczych i stosowanych oraz humanistyki (nauk społecznych i humanistycznych, nauk o kulturze, np. ekonomii i literaturoznawstwa). Zapowiadana korekta reformy Gowina przez następcę niewiele może dać tym pierwszym, natomiast dodatkowe szkody może przynieść humanistyce.

Bez innowacji nie ma akumulacji. Dorobek przyrodoznawstwa wraz z technicznymi zastosowaniami istnieje w postaci artykułów zamieszczanych w czasopismach o obiegu światowym. Zawierają one opis i interpretację rezultatów eksperymentów. By konkurować z badaczami, którzy mają dostęp do publicznych funduszy i bogato wyposażonych laboratoriów, trzeba mieć sieć instytutów badawczych, tak jak koleżanki i koledzy niemieccy w postaci 82 Instytutów Plancka. W Polsce nakłady finansowe na sektor naukowo-badawczy to zaledwie 1% PKB – w krajach przodujących w innowacjach i patentach są często trzykrotnie większe. Państwo PiS niewiele mniej przeznacza na IPN i jego młodszego brata, Instytut Pileckiego, niż na PAN.

Druga przyczyna wiąże się z charakterem tzw. gospodarki opartej na wiedzy. Korporacje finansują prace badawczo-rozwojowe, bo ich pozycja zależy od kontroli myśli technicznej. Nie budują fabryk, tylko działy prac badawczo-rozwojowych, w których wyniki badań podstawowych przekształcają się w wynalazki i patenty, te zaś w innowacyjne produkty. Po to neoliberalne państwo tworzy przedsiębiorcze uniwersytety, by z publicznych funduszy wykonywały badania podstawowe, najbardziej obciążone ryzykiem błędu. Właściwym wdrożeniem ideału zajmują się międzynarodowi eksperci bibliometrycy, a także specjaliści od tzw. polityki publicznej, tego podrzutka neoliberałów. Oceniają oni w imieniu mocodawców badaczy godnych łask finansowych. Sami nie są w stanie ocenić walorów poznawczych „ewaluowanych" dzieł, przypominają kogoś, kto chciałby ocenić książkę bez znajomości jej treści.

Według Gowina to z amerykańskiej centrali polski badacz społeczny ma czerpać problemy do analizy, style poznawcze, kryteria naukowości.

eprasa.pl 5d369d7248

Wiedza z artykułów trafia do dalszej obróbki w działach prac badawczo-rozwojowych korporacji bądź w start-upach w parkach nauki, tworzonych przez agendy rządowe, miasta, samorządy. Tutaj jest przekształcana w nowe technologie, terapie, lekarstwa. Rolę pośrednika (czasem wręcz stręczyciela) odgrywa oligopol pięciu-sześciu korporacji wydawniczych. Co roku w katalogu znajduje się 2,5 mln artykułów.

W Polsce nakłady finansowe na sektor naukowo-badawczy to zaledwie 1% PKB, w krajach przodujących w innowacjach są często trzykrotnie większe.

Wspomniany oligopol ma ponad 60% udziału w publikacji artykułów z dziedziny humanistyki. Dwie z tych korporacji, Thomson Reuters i Elsevier, dodatkowo przygotowują informacje o cytowalności w postaci odpowiednich indeksów.

Strukturalna słabość peryferii. Polska gospodarka zajmuje według najnowszego rankingu 25. miejsce w UE pod względem innowacyjności. Według GUS w latach 2016-2018 zaledwie 26% przedsiębiorstw przemysłowych i 21% firm usługowych było aktywnych innowacyjnie. Brakuje bowiem w Polsce globalnych firm, które by przekształcały odkrycia naukowe w innowacyjne produkty (*vide* losy błękitnego lasera czy grafenu). To skutek dezindustrializacji i zastąpienia fabryk montowniami konfekcjonowanych części, a także dominacji w gospodarce 2,3 mln mikrofirm, które prosperują dzięki taniej pracy. Ponadto brakuje nam własnego przemysłu zbrojeniowego, który odgrywa rolę sponsora wobec sektora naukowo-badawczego, tak jak Pentagon w USA. Główna przeszkoda nie leży po stronie mało kreatywnych naukowców, jest nią półperyferyjny charakter polskiej gospodarki, która po zamianie Ursusa na Factory oferuje zagranicznym korporacjom duży rynek wewnętrzny i taniego pracownika montażowego, a także specjalistę usług biznesowych w kilkunastu już polskich Mordorach (Warszawa, Kraków, Wrocław).

W innej sytuacji jest humanistyka. Użyteczność biznesowa nauk społecznych jest mniejsza. Ta wiedza pozwala ewentualnie powiększać szeregi konsumentów za sprawą kształtowania hierarchii potrzeb, zwłaszcza symbolicznej konsumpcji – dzięki temu łatwiejsze staje się upłynnienie masy towarów. Pozwala też kształtować zachowania wyborców (marketing) czy rozładowywać pracownicze depresje (coaching). Z tego punktu widzenia zawsze będą preferowane te kierunki badawcze, które wskazują uwarunkowania zachowań, pokazują, jak osiągać zysk: neoklasyczna ekonomia, teoria wyboru społecznego, psychologia biznesu i reklamy, polityka społeczna, socjologia wyborcza itd. Te dyscypliny ostaną się w przedsiębiorczym uniwersytecie. Ale niewiele wnoszą one do zrozumienia zawiłości ludzkiej psychiki i świata, który ją kształtuje. Humanistyka dąży bowiem do opisu czynności ludzi jako członków wspólnot pracy i życia. Dzięki interpretacji znaczenia tych czynności staje się możliwe wyjaśnienie ich przyczyn i funkcji. Humaniści z jednej strony reprezentują w zawoalowanej formie partykularne interesy klas i stanów społecznych, państw, korporacji, narodów; ukrywają je w postaci różnych niesprawdzalnych empirycznie odwołań do ludzkiej natury, wieczności, przyszłości, racjonalnych konieczności (natury, rozumu, tradycji, boskiego porządku). Z drugiej strony badacze dążą do prawomocności zapożyczonej z nauk ścisłych, a więc chcieliby, aby ich wypowiedzi mogły być sprawdzalne, by podlegały publicznej kontroli. Ten fakt tłumaczy swobodę twórczą, która stopniowo się instytucjonalizuje w postaci dyscyplin naukowych, eseistyki czy publicystyki. Na swoistym rynku idei mamy i ekonomię, i teologię. Dlatego ważną funkcją każdego badacza jest podtrzymywanie żywotności racjonalizmu, którego opokę stanowi naukowe poznanie. Wykluczamy się z publicznej debaty, kiedy nie potrafimy wyrazić swojego poglądu w zrozumiałym i jasnym języku (np. ideologia LGBT), kiedy nie da się naszego poglądu poddać sprawdzalności. Taka bariera chroni społeczeństwo przed nawałą nonsensu, mitów o wyjątkowości różnych postaci i wydarzeń, teorii spiskowych, fake newsów, jawnego fałszu historycznego.

Wbrew opinii przedstawicieli nauk ścisłych praca badawcza humanisty też wymaga swoistych kwalifikacji. Wymaga bowiem, jak zauważa Piotr Sztompka, były prezes Międzynarodowego Towarzystwa Socjologów, „twórczej pasji, wyobraźni i wrażliwości, siły ekspresji, estetycznych walorów przekazu". W humanistyce to nie artykuły, lecz monografie grają pierwszoplanową rolę. Jednak nie dostarczają one wiedzy sprawdzalnej poprzez techniczne zastosowania. Humanistyka bada z jednej strony kulturę symboliczną utrwaloną w systemach znakowych, z drugiej zaś ich świadomościowe wcielenia: postawy, stereotypy, miejsca pamięci, świadomość historyczną, imaginarium symboliczne itd. Wszystkie one łącznie ukierunkowują ludzkie działania.

Badacz społeczny, nie mając laboratoriów ani możliwości przeprowadzania makrospołecznych eksperymentów, pracuje głową. Powodzenie jego pracy zależy od wiedzy ogólnej i faktograficznej, a także umiejętności modelowania. Stąd rola nazwiska i poczucie suwerenności w umysłowych igraszkach. Dlatego do parnasu humanistyki należą autorzy nie przyczynkarskich artykułów i artykulików, tylko wielkich analiz i syntez, np. Fernand Braudel, Michel Foucault, Witold Kula, obecnie Thomas Piketty. Charakterystyczne, że jeden z wielkich, nieżyjący już amerykański socjolog i historyk, Immanuel Wallerstein, swoje liczące 1,5 tys. stron *opus magnum* praktycznie pisał przez trwające kilka dekad akademickie życie. Naśladownictwo przyrodoznawstwa

Minister tylko administruje publicznymi funduszami, nie może być stronnikiem wyłącznie biznesu.

eprasa.pl 5d369d7248

grozi marginalizacją, a nawet eliminacją z obiegu międzynarodowego humanistyki refleksyjnej, pozornie niepraktycznej, wręcz nieużytecznej. Tworzone obecnie w duchu turboempiryzmu szkoły doktorskie stają się wylęgarnią badaczy szukających dziury w całym, gdyż obowiązujący reżim publikacyjny nakazuje znaleźć jakąś lukę w istniejącym dorobku, a następnie ją wypełnić swoim artykułem dostosowanym do profilu jakiegoś anglojęzycznego czasopisma. W ten sposób koło się zamyka. Do wcześniej powstałych przyczynków dodaje się kolejny.

Wbrew opinii przedstawicieli nauk ścisłych praca badawcza humanisty też wymaga kwalifikacji.

Dlatego nowy minister powinien przede wszystkim wspierać dostęp wybitnych monografii polskich uczonych na globalny rynek. Przykładem może być pięciotomowe wydawnictwo pod redakcją Przemysława Urbańczyka „The Past Societies. Polish Lands from the First Evidence of Human Presence to the Early Middle Ages" (Przeszłe społeczeństwa. Ziemie polskie od pierwszych dowodów ludzkiej obecności do wczesnego średniowiecza), opublikowane przez Polish Institute of Advanced Studies, PIASt, sfinansowane przez Narodowy Program Rozwoju Humanistyki. Mogłyby to być serie wydawnicze publikowane we współpracy z witrynami o dużej renomie. Ich treścią powinny być diagnozy aktualnej sytuacji kraju na tle tendencji rozwojowych współczesnego, globalnego, wyczynowego kapitalizmu i jego relacji z przyrodą. Od utrwalania wampirycznego polskiego patriotyzmu bardziej przydatna społecznie jest refleksja nad rosnącymi kosztami zewnętrznymi pogoni za zyskiem korporacji i konsumpcjonizmu. Na przykład ekonomiści, zamiast radzić menedżerom, jak powiększać zyski, powinni ukazywać makrospołeczne skutki finansyzacji gospodarek, dominacji sektora finansowego nad państwami narodowymi za pomocą mechanizmu długu publicznego, roli niewidzialnego parlamentu „inwestorów". Nauka nie powinna podążać za koniunkturami gospodarki – musi je wyprzedzać, przygotowując społeczeństwa do zmian instytucjonalnych i nowej strategii rozwoju, której wymaga „dobrobyt bez wzrostu".

Właśnie uniwersytet, a nie międzynarodowe czasopisma, był dotychczas miejscem pluralistycznej debaty nad strategią narodową, definiowaniem racji państwa, interpretacją tradycji, diagnozą szans i zagrożeń w obliczu istniejących tendencji rozwojowych gospodarki, jakością więzi wspólnotowej, badaniem relacji człowieka ze środowiskiem, ewolucją ku wielobiegunowemu systemowi światowemu, sposobami ułożenia stosunków z sąsiadami. Dodatkowo badacze na publicznych uczelniach niosą brzemię służby wobec tych, którzy przez podatki utrzymują uczelnie. W polskim regresywnym systemie podatkowym są to głównie klasy pracownicze. Minister tylko administruje publicznymi funduszami, nie może być stronnikiem wyłącznie biznesu.

Obok racjonalności ogólnospołecznej i globalnej badacz społeczny powinien uwzględniać też interesy grup słabych, zepchniętych na margines debaty publicznej. Ale może osiągać cele praktyczne wyłącznie dlatego, że dostarcza wiedzy, która odznacza się walorami poznawczymi – jest rzetelnym wglądem w badaną rzeczywistość. Jak wyraził się brytyjski historyk Tony Judt, badacz społeczny ma być bardziej demaskatorem niż „kapłanem prawd". Uczelnia zatem nie może instalować swoistej taśmy produkcyjnej badaczy na użytek korporacji i administracji. Wówczas bowiem przestanie być kuźnią intelektualistów o dociekliwym i krytycznym nastawieniu wobec rzeczywistości społecznej. Stałaby się zaś hodowlą klonów „produktywnych" według kryteriów parametrozy, punktozy, grantozy. Dlatego mamy tu do czynienia z systemowym gwałtem na autonomii procesów poznawczych, wolności nauki w służbie jakości polskiego społeczeństwa. Badacz społeczny to nie drewniany pajacyk w rękach dysponenta publicznych funduszy, poprawny politycznie usługodawca, którego uczoność jest odtąd dotąd i mieści się w granicach zakreślonych przez aktualnie rządzących. Z tego punktu widzenia Humanistykę 2.0 można interpretować jako świadome ograniczenie liczby badaczy i wydziałów mało przydatnych biznesowi, administracji, partii.

Minister Czarnek mógłby i powinien zmienić wdrażany system ewaluacji dorobku humanisty. Odpowiednią wagę powinna mieć jak obecnie cytowalność w preferowanych czasopismach, umiędzynarodowienie dorobku. Jednak sama cytowalność to za mało, gdyż np. amerykańscy czempioni rankingów, zwłaszcza laureaci tzw. ekonomicznego Nobla, mają nikły wpływ na jakość życia swojego kraju. W bilansie dorobku swój ciężar gatunkowy muszą również mieć ekspercka ocena m.in. oryginalności w stawianiu nowych problemów badawczych, przezwyciężaniu trudności warsztatowych dyscypliny czy walory praktyczne w postaci ekspertyz, diagnoz i prognoz dotyczących pokonywania barier rozwojowych kraju.

Uczelnia nie może instalować taśmy produkcyjnej badaczy na użytek korporacji i administracji.

Tak więc głupi Polak przed szkodą i po szkodzie: ani neoliberalna transformacja nie przesunęła polskiej gospodarki ku centrum, ani neoliberalna reforma emerytur nie zagwarantowała ich biorcom „wakacji pod palmami", ani też neoliberalna reforma nauki nie doprowadzi do tego, że Uniwersytet Warszawski stanie się konkurentem amerykańskiego Harvardu. Nie będzie nim także macierzysta uczelnia dr. Kulczyckiego – poznański UAM.

Prof. Tadeusz Klementewicz jest profesorem nauk społecznych w Zakładzie Teorii Polityki i Myśli Politycznej Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW

eprasa.pl 5d369d7248

Bunt potęgą jest i basta

Wiele praw, z których na co dzień korzystamy, ma początek w chłopskim nieposłuszeństwie

Rozmawia Michał Sobczyk

DR MICHAŁ RAUSZER
– badacz buntów chłopskich

Przeciwko czemu buntowali się polscy chłopi w ciągu czterech wieków obowiązywania pańszczyzny?

– Przede wszystkim przeciwko samej tej instytucji, czyli przymusowi pracy na pańskim polu przez określoną liczbę dni w tygodniu. Mocno ograniczało to ich możliwości rozwijania własnych gospodarstw, a nawet wyżywienia się, bo rolnictwo było o wiele bardziej pracochłonne niż obecnie. W wielu krajach, np. we Francji, chłopi nie świadczyli darmowej pracy, tylko płacili ustaloną kwotę czynszu. Polskie chłopstwo konsekwentnie domagało się identycznego rozwiązania.

Praca na nie swoim polu, czyli na folwarku, obowiązywała zarówno posiadaczy niewielkiego kawałka ziemi, jak i najbogatszych kmieci. W pozostałych kwestiach te grupy miały sprzeczne interesy, ale względem pańszczyzny były w wymuszony sposób solidarne. Poza tym pamiętajmy, że pan miał nad chłopami praktycznie nieograniczoną władzę. Stawał się więc tym wrogiem, wobec którego podejmowano wspólne działania.

Chłopi potrafili wyobrazić sobie świat, w którym nie musieliby obrabiać pańskiego pola?

– Przez długi czas robili to od dwóch do czterech dni rocznie, aż nagle w 1520 r. Zygmunt Stary nadał szlachcie przywilej, na mocy którego pańszczyzna zaczęła wynosić minimum jeden dzień tygodniowo. Bez wątpienia wśród ludu długo przetrwała pamięć o czasach, kiedy pracowano na rzecz dworu jedynie kilka dni w roku. Z kolei w XVIII w. także na polską wieś zaczęły docierać koncepcje, które na Zachodzie zaowocowały m.in. rewolucją francuską, takie jak idea równości wszystkich ludzi. Bardzo trudno jednak ustalić, co tak naprawdę myśleli chłopi, gdyż nie dysponujemy źródłami, w których szczerze wypowiadaliby się na ten temat. Nie istniały przecież wówczas żadne badania tej grupy, nie było organizacji, które wyrażałyby ich aspiracje, nie było prasy, książek itp. Pewnych wskazówek dostarcza nam za to wiejski folklor. Gdy zaczęto go rejestrować, okazało się, że jednym z tematów opowieści i pieśni było to, jak w przeszłości wszyscy byli równi wobec króla. Inne pieśni zawierały wyobrażenie zbójnika rewolucjonisty wprowadzającego porządek, w którym każdy jest traktowany tak samo. Były też opowieści o Chrystusie, który wędruje wśród ludu i wprowadza powszechną równość. Chłopom nieobce było zatem myślenie, że system, w którym funkcjonują, jest niesprawiedliwy. Marzyli o silnej władzy, która przywróciłaby naturalny stan równości.

Podważanie istniejących stosunków rzadko przyjmowało radykalną postać.

– W okresie pańszczyźnianym jawne buntowanie się przeciw szlachcie było działalnością samobójczą. I to dosłownie: do drugiej połowy XVIII w. pan nie ponosił żadnych konsekwencji za zabicie chłopa, który był jego własnością. Niezadowoleni nie mogli więc po prostu zebrać się w grupę i np. rozpocząć strajk. W takich sytuacjach podporządkowani bardzo często odwołują się do tzw. ukrytych form oporu. Są one mało spektakularne, ale nierzadko skutecznie podważają dany system wyzysku. Na co dzień chłopi przeciwstawiali się pańszczyźnie właśnie w ten sposób: podkradając panu zboże, pracując wolno i niedbale, celowo niszcząc niezbędne narzędzia itd. Francuz Hubert Vautrin, który pod koniec XVIII w. przebywał w Polsce, zaobserwował scenę podnoszenia beczki przez „sześciu wysokich włościan". Zajęło im to strasznie dużo czasu, dlatego zainteresował się, co tak ciężkiego znajdowało się w środku. Okazało się, że beczka była pusta. Chłopi odgrywali przed panem spektakl ciężkiej pracy pańszczyźnianej, a w rzeczywistości trwonili jej czas na bezużyteczne zajęcia.

Gdy jeden chłop pańszczyźniany tylko udawał, że pracuje, nie miało to większego znaczenia, ale gdy robili to wszyscy zobowiązani do pracy

Dr Michał Rauszer – etnograf i kulturoznawca, adiunkt w Zakładzie Interdyscyplinarnych Badań nad Kulturą Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się kulturową historią buntu oraz historią teorii krytycznej. Właśnie ukazała się jego nowa książka „Bękarty pańszczyzny. Historia buntów chłopskich", a w lutym 2021 r. odbędzie się premiera „Siły podporządkowanych".

eprasa.pl 5d369d7248

w danym majątku, oznaczało to realne straty dla jego właściciela. W ten sposób codzienny, niewidoczny, anonimowy opór wyrządzał systemowi opresji dużo większe szkody, niż przyniosłaby otwarta konfrontacja.

Były jednak sytuacje, w których chłopi mogli walczyć o swoje prawa na drodze sądowej.

– W Polsce istniały dwa rodzaje dóbr: prywatne i należące do władcy, tzw. królewszczyzny; opłaty za dzierżawę tych drugich były jednym z głównych źródeł utrzymania państwa. Chłopi przypisani do dóbr królewskich, którzy uważali, że dzierżawca nakłada na nich zbyt duże obciążenia, mieli możliwość odwoływania się do sądów referendarskich. Bardzo często zarzucali tę instytucję skargami, a gdy otrzymywali od niej jakikolwiek „papier", uznawali to za podstawę do wstrzymania pracy. Sądy referendarskie czasem wydawały wyroki na korzyść chłopów, które część panów respektowała, ale nawet nieprzychylne rozstrzygnięcia sprawiały nieraz, że dzierżawca ustępował, co było sporym osiągnięciem.

Komisje podobne do sądów referendarskich istniały także w dobrach niektórych magnatów. Sprawdzały one, jak dzierżawcy traktują chłopów, co było jednocześnie formą nadzoru nad magnackim majątkiem. Wielu dzierżawców żaliło się, że ich poddani nic nie robią, tylko ślą komisji tzw. supliki. Dzierżawca i sama komisja musieli się do nich jakoś ustosunkować, co czasem prowadziło do zelżenia ucisku.

W dobrach szlacheckich chłopi byli wyłączną własnością pana i nie mieli możliwości odwołania się do żadnej wyższej instancji.

W imperium Habsburgów pod koniec XVIII w. majątki szlacheckie włączono w system powszechnego sądownictwa.

– Był to element tzw. reform józefińskich, które miały wprowadzić monarchię w nowoczesność. Dzięki tej zmianie w zaborze austriackim chłopi mieli możliwość procesowania się z panami – i korzystali z niej. Poza tym ograniczono darmochy, czyli dodatkowe bezpłatne prace na rzecz dworu, ustanowiono zasadę, że pańszczyzna nie może przekraczać trzech dni w tygodniu, podjęto też kilka innych decyzji korzystnych dla chłopstwa. Oczywiście zrobiono to nie z miłości do ludu, ale w celu odebrania panom bezwzględnej władzy nad chłopami i przejęcia jej przez państwo. Po śmierci Józefa II jego reformy rozmiękczono, ale wiele przyjętych rozwiązań nadal funkcjonowało.

Opór to także tworzenie przez chłopów odrębnej kultury.

– System pańszczyźniany zakładał, że mieszkańcy wsi są rodzajem zwierząt roboczych, stworzonych do wykonywania poleceń właścicieli. Ludowe wiersze i pieśni miały wobec tego dodatkowe znaczenie psychologiczne, gdyż samo ich tworzenie było dla chłopów potwierdzeniem człowieczeństwa. Wiele elementów chłopskiej kultury pozwalało jeszcze wyraźniej podkreślać granicę między nimi a panami oraz budować sieci zaufania, bez których niemożliwe są bardziej zaawansowane formy oporu, a w dalszej perspektywie – bunt. Sąsiadowi, z którym opowiadamy sobie dowcipy o naszym panu, mogę zaproponować wspólne sabotowanie pracy na dworskim polu, bo jest bardzo prawdopodobne, że mnie nie wyda.

Chłopski bunt nigdy nie pojawiał się w próżni, np. pod wpływem agitatora, który przyszedł do wsi i porwał jej mieszkańców płomienną przemową. Musiał być poprzedzony latami budowania różnego rodzaju więzi społecznych opartych na określonym stosunku do pańszczyzny, co działo się właśnie na gruncie kultury ludowej.

Podkreślasz w książkach, że radykalne wystąpienia chłopskie nie były ślepymi wybuchami frustracji, której nie dało się już dłużej tłumić.

– Na całym świecie istnieje skłonność do postrzegania ludowych buntów jako spontanicznych zrywów doprowadzonej do skrajności, agresywnej tłuszczy. Tymczasem każdy, kto miał bliżej do czynienia z jakimikolwiek grupami podporządkowanymi, wie doskonale, że jednym z najistotniejszych elementów socjalizacji jest w nich nauka opanowywania gniewu w relacjach z władzą, czy będzie to szlachcic, właściciel niewolników, kacyk partyjny, czy policjant. Również kultura polskich chłopów kładła bardzo mocny akcent na samokontrolę, gdyż wybuch w konfrontacji z panem mógł dla nich źle się skończyć. Dlatego wszczynali rewolty wyłącznie w sprzyjających okolicznościach, np. gdy ich panowie byli zaangażowani w jakiś konflikt. Tak było w przypadku rabacji galicyjskiej (1846 r.). Część jej uczestników ewidentnie stanęła po stronie rządu, ale większość jedynie udawała, że sprzyja Austriakom, by wykorzystać szlacheckie powstanie do rozprawienia się ze swoimi krzywdzicielami. Ponieważ chłopi niejako włączyli się w działania władz zaborczych, te nie

Do drugiej połowy XVIII w. pan nie ponosił żadnych konsekwencji za zabicie chłopa, który był jego własnością.

NIE TYLKO RABACJA GALICYJSKA

Wybrane wystąpienia chłopskie na ziemiach polskich

1038 – bunt przeciw obciążeniom na rzecz możnowładców i przeciw Kościołowi
1492-1497 – rebelia chłopów mołdawskich i ruskich na Podkarpaciu
1651 – powstanie Kostki-Napierskiego na Podhalu
1651 – bunt w wielkopolskich dobrach cystersów, spowodowany wzrostem ciężarów feudalnych
1669-1670 – bunt górali przeciw podatkowi na rzecz wojsk Jana Wielopolskiego
1702-1705 – antyfeudalne powstanie kozacko-chłopskie na Ukrainie
ok. 1755 – rozruchy w Wielkopolsce, na Podkarpaciu, Białorusi i Ukrainie
1768 – koliszczyzna, czyli pogromy szlachty, Żydów i duchowieństwa na Ukrainie
1769 – powstanie przeciw przywróceniu pańszczyzny w dobrach królewskich w Szawlach
1932 – powstanie leskie, zapoczątkowane nakazem darmowej pracy na rzecz samorządu
1937 – starcia z policją podczas Wielkiego Strajku Chłopskiego

eprasa.pl 5d369d7248

Jan Nepomucen Lewicki, „Rzeź galicyjska".

mogły im tak po prostu powiedzieć: zbuntowaliście się, to teraz was wszystkich stracimy lub wsadzimy do więzienia.

Ludowe rebelie były nie tylko racjonalne politycznie, ale także nieźle zorganizowane.

– Opierały się na istniejących schematach współpracy. Angielski historyk Edward P. Thompson w ciekawy sposób wykazał, że większość buntów miała strukturę zaczerpniętą z wiejskich obrzędów, podczas których we wspólnocie obowiązywał podział na role. Taką wewnętrzną logikę miały choćby wystąpienia w czasie rabacji galicyjskiej – przykładowo, gdy mężczyźni napadali na dwory, kobiety zajmowały się ich plądrowaniem.

Jakie było długofalowe znaczenie oporu przeciw pańszczyźnie, np. dla późniejszej świadomości politycznej chłopów i robotników?

– Niezwykle trudno ocenić skuteczność poszczególnych form samoobrony. Na pewno duże znaczenie miały codzienne praktyki, które podważały podstawy ekonomiczne systemu folwarcznego, gdyż niewielka efektywność była jedną z ważnych przyczyn jego upadku.

Bardziej skomplikowana jest sprawa otwartych wystąpień przeciwko szlachcie. Niektóre protesty kończyły się dla uczestników bardzo źle, a w ich następstwie wprowadzano dodatkowe narzędzia dyscyplinowania. Bywało jednak, że chociaż bunt został spacyfikowany, zmusił danego właściciela ziemskiego czy dzierżawcę do przemyślenia, czy nie lepiej w wybranych kwestiach pójść chłopom na rękę, niż ryzykować kolejny wybuch niezadowolenia.

Doniosłe konsekwencje miał największy ludowy bunt na ziemiach polskich, czyli rabacja galicyjska, o której mówiła cała Europa. Jak pisał Eric Hobsbawm, jeden z najbardziej znanych historyków XIX w., to wydarzenie uświadomiło różnym grupom politycznym, zarówno postępowym, jak i bardziej konserwatywnym, że z chłopami trzeba się liczyć i uwzględniać ich w programach politycznych, co nie pozostało bez wpływu na wydarzenia Wiosny Ludów.

Codzienny, niewidoczny, anonimowy opór wyrządzał systemowi opresji dużo większe szkody, niż przyniosłaby otwarta konfrontacja.

Zastanawiam się, jakie mogą być korzyści z upowszechniania wiedzy o tym, jak buntowali się nasi przodkowie.

– Moim zdaniem opowiadanie historii oporu ma wielkie znaczenie, zwłaszcza w kontekście rosnącej popularności skrajnej prawicy. Przeciętny młody chłopak, który myśli, że Korwin-Mikke jest najmądrzejszy na świecie, nie ma świadomości, że wiele praw, z których na co dzień korzysta, zawdzięcza walkom społecznym wielu pokoleń zwykłych ludzi, zapoczątkowanym chłopskim nieposłuszeństwem. Prawo do strajku, bezpłatna edukacja i opieka zdrowotna, prawa wyborcze, równość wobec prawa, emerytury, ośmiogodzinny dzień pracy, płatne urlopy, urlopy macierzyńskie – nic z tego nie spadło z nieba ani nie było gestem dobrej woli ze strony władzy.

Drugim powodem, dla którego warto mówić o dawnych buntach, jest ryzyko odwróconego rasizmu kulturowego. Polega on nie na tym, że uznajemy daną grupę społeczną za gorszą, tylko na tym, że traktujemy ją jako wymagającą specjalnej troski i w ten sposób kwestionujemy jej sprawczość. Temat pańszczyzny i chłopskiego pochodzenia większości Polaków zaczyna być coraz wyraźniej obecny w debacie publicznej, zwłaszcza w środowiskach lewicowych, ale nie chciałbym, aby zaowocowało to litowaniem się nad współczesnymi mieszkańcami wsi czy tłumaczeniem im, jak mają postrzegać wielowiekowy wyzysk ich przodków. Zwrócenie się w stronę historii budowania przez chłopów własnej tożsamości, kultury i strategii oporu pozwala uniknąć tego rodzaju paternalizmu i pokazać podmiotowość tej grupy.

O tobie nie można powiedzieć, że jesteś miejskim inteligentem, który postanowił pochylić się nad uciskiem ludu.

– Rzeczywiście, urodziłem i wychowałem się na wsi, w rodzinie robotniczej, w której mówiło się gwarą śląską. Pamiętam bardzo dokładnie, jak w latach 90. najgorszą obelgą było nazwanie kogoś wieśniakiem i jak idąc do szkoły średniej czy na studia, ukrywałem swój „wiejski" akcent, a więc wypierałem się swojej „ludowości". Kiedy na studiach zacząłem się uczyć o kulturze ludowej, kulturze materialnej wsi i pańszczyźnie, byłem zaszokowany, że tak ważne kwestie są praktycznie nieobecne w świadomości społecznej. Dość powiedzieć, że o buncie chłopskim w mojej rodzinnej miejscowości, który miał miejsce w 1811 r., dowiedziałem się dopiero, pracując nad książką na temat oporu wobec pańszczyzny. W podręcznikach nie znajdzie się historii moich przodków, są w nich tylko ci, na których oni pracowali.

Michał Sobczyk
m.sobczyk@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 5d369d7248

Rozwód w czasach zarazy

Nie pandemia rozwala małżeństwa, lecz brak komunikacji

Rozmawia Anna Brzeska

JOANNA HETMAN-KRAJEWSKA
– adwokatka i radczyni prawna w Kancelarii Prawniczej Patrimonium w Warszawie, specjalizuje się w prawie rodzinnym i prawie autorskim, absolwentka Studium Przeciwdziałania Przemocy w Rodzinie Stowarzyszenia Niebieska Linia.

Pandemia trwa w najlepsze. Jak to wpływa na sferę rozwodów? Jest ich teraz więcej czy może odwrotnie?

– W Chinach, gdzie pandemia trwa najdłużej, statystyki już pokazują, że liczba rozwodów wzrosła. Z mojej perspektywy również widać, że pojawia się ich znacznie więcej. Zaczynamy obserwować też rozwody koronawirusowe.

Czyli jakie?

– Miałam małżeństwo, które w marcu zamieszkało z teściową, właśnie ze względu na pandemię. Wiosną ludzie często decydowali się na taki krok, bo w ten sposób łatwiej im było pogodzić pracę z opieką nad dziećmi, gdy zamknięto szkoły – sami nie dawali sobie rady pod względem organizacyjnym. Niestety, w przypadku tego małżeństwa skutkiem zamieszkania z mamą było to, że już w maju jedno z małżonków złożyło pozew o rozwód. Nie mogli dłużej wytrzymać – spędzanie ze sobą 24 godzin na dobę okraszone obecnością teściowej wyciągnęło całą prawdę o tej relacji. Inna klientka wyznała mi, że w jej małżeństwie już wcześniej działo się źle, ale koronawirus kompletnie je dobił – pandemia po prostu pomogła im podjąć decyzję. Czasem konflikty się ślimaczą, ciągną latami, pozostają upchnięte w szafie.

A koronawirus, wspólne zamknięcie w domu, powoduje, że wychodzą na jaw rzeczy, które wcześniej nie były tak widoczne?

– Właśnie. To nie jest tak, że koronawirus rozwala małżeństwa. Jak mówi moja znajoma mediatorka, nie ma małżeństwa bez kryzysów. Tyle że dobre małżeństwo z kryzysu wychodzi wzmocnione, a złe kryzys zabija. Trudności przyśpieszają jego destrukcję.

Czyli w pandemii chętniej się rozwodzimy. Ale chyba teraz trudniej cokolwiek załatwić w sądach czy urzędach.

– Te dwa i pół miesiąca, kiedy sądy nie działały, spowodowało duże zatory, szczególnie w sądach okręgowych, które są pierwszą instancją dla spraw rozwodowych. Tam terminy nigdy nie były bliskie, ale teraz bywa jeszcze gorzej. Datę jednej z moich spraw wyznaczono na październik 2021 r. Jednak nie dotyczy to wszystkich spraw. Gdy sądy widzą, że sprawa jest ugodowa – np. bez dzieci i bez orzekania o winie – i jest szansa, że można ją ogarnąć na jednej rozprawie w 40 minut, zdarza się, że jest wciskana do wokandy nawet na godz. 8.30 rano, choć zwykle wokanda zaczyna się o 9.00. Sędziowie są rozliczani ze statystyk i z efektywności, więc pod koniec roku walka o dobry wynik jest najbardziej intensywna. Można zatem niekiedy liczyć na to, że uda się rozwieść szybko. Podczas pandemii może też być prościej, jeśli chodzi o procedury. Ubiegłoroczna reforma Kodeksu postępowania cywilnego plus nowe regulacje covidowe zmodyfikowały nieco postępowanie. Może to śmiała teza, ale powiedziałabym, że koronawirus wręcz zreformował polskie sądownictwo i je usprawnił. Mamy bowiem od kilku miesięcy taki przepis, który umożliwia wydawanie rozstrzygnięć sądowych w trybie niejawnym – poza sytuacjami, o których kodeks mówi, że wydanie orzeczenia przez sąd musi poprzedzić przeprowadzenie rozprawy.

Co to oznacza w praktyce?

– W przypadku rozwodów może to dotyczyć tylko sytuacji, gdy sąd nie musi wysłuchiwać świadków, np. gdy nie jest to rozwód z orzekaniem o winie i małżonkowie zgodnie chcą się rozwieść. Sąd wzywa wtedy strony do pisemnego zajęcia stanowiska i zapowiada rozstrzygnięcie w trybie niejawnym, bez rozprawy. Były już w Polsce takie rozwody.

Czyli możemy rozwieść się zdalnie?

– Powiedziałabym, że zaocznie. Wszystko odbywa się na piśmie.

Jest szansa, że będzie więcej takich rozwodów i pomoże to skrócić kolejki?

– W prostych przypadkach – np. bezdzietnych małżeństw, bez orzekania o winie – nie ma żadnych przeciwwskazań. Dobrze byłoby więc, by w takich sytuacjach sądy procedowały bez tracenia cennego miejsca na wokandzie. Wydaje mi się jednak, że ostrożność sędziowska spowoduje, że nie będzie się tych spraw powszechnie upraszczać. Z punktu widzenia sądu jest to bowiem dość ryzykowny

eprasa.pl 5d369d7248

tryb. Uproszczenia proceduralne zawsze mogą naruszać prawa stron.

W jaki sposób?

– Wyobraźmy sobie, że mogą zajść takie sytuacje – tak jest w systemie sądownictwa w Wielkiej Brytanii – że sąd nie doręcza świadkom czy stronom żadnych powiadomień. Rozwodnik musi zrobić to we własnym zakresie i on ponosi odpowiedzialność za to, czy świadkowie stawią się w sądzie, czy nie. Jeśli nie przyjdą, sądu to nie obchodzi, orzeczenie i tak może zostać wydane. W Polsce w przypadku nieobecności świadków sprawa spada z wokandy i wyznaczany jest następny termin. Są jednak i u nas pewne zakusy, by to zmienić. Już teraz, na skutek koronawirusowych zmian w przepisach, uproszczenia proceduralne sprawiają, że wiele kwestii, które powinny być rozpatrywane na rozprawie po wysłuchaniu stron – np. dotyczących władzy rodzicielskiej czy miejsca zamieszkania dziecka – sąd może rozpatrywać na posiedzeniu niejawnym. Ostrożni sędziowie raczej jednak nie będą korzystać z takiego trybu.

Pani książka „Rozwód czy separacja? Poradnik praktyczny" prócz licznych opisów spraw rozwodowych zawiera pogłębione wywiady m.in. z psychoterapeutą, mediatorami, seksuolożką, a nawet psycholożką dziecięcą. Co jako adwokatka chciała pani powiedzieć ludziom o rozwodach?

– Książka wyraża moje postrzeganie problemu rozwodów i mój sposób pracy z klientami. Staram się zawsze podchodzić do tych spraw humanistycznie, a nie tylko prawniczo i strategicznie – choć oczywiście ludzie przychodzą do mnie przede wszystkim po pomoc prawną i ją otrzymują. Myślę jednak, że ważną rolą etyczną prawników, którzy zajmują się prawem rodzinnym, jest pomoc człowiekowi w przejściu przez ten trudny proces, a przede wszystkim w złapaniu dystansu do własnej uraźliwości w związku z konfliktem. Bo często jest tak, że ludzie przychodzą do adwokata czy do sądu z dużym cierpieniem, a sposobem na radzenie sobie z nim jest odwet. Taka jest ludzka natura – łatwiej nam, gdy nakręca nas wola zemsty. Przychodzimy więc do adwokata czy radcy prawnego i oczekujemy, że ten rozjedzie drugą stronę czołgiem po sali sądowej.

Jak rozumiem, nie jest to pożądana motywacja.

– Nie jest. Choćby dobro dzieci powinno być szczególnym powodem, by jednak starać się rozstać konstruktywnie. Dlatego bardzo ważne jest, by pełnomocnik, który widział już wiele spraw, uświadomił rozwodzącym się, jakie są konsekwencje wejścia w konfliktowy proces rozwodowy. Bo ludzie przychodzą z reguły jako debiutanci i nie wiedzą, jak to będzie, nie zdają sobie sprawy, że sąd to nie imieniny u cioci i nie musi być przyjemnie. A ja mogę zapewnić, że jeśli sprawa jest konfliktowa, zwykle robi się bardzo nieprzyjemnie. Warto poza tym wiedzieć, że taki rozwód jest jak trąd – może rozwalić cały system rodziny. I nie chodzi tylko o małżonków, ale też o szerokie grono ich bliskich.

Czyli również dzieci, rodziców współmałżonków itd.

– Oczywiście. Każda strona wystawia świadków, często rodziców czy rodzeństwo, a nawet małżonków rodzeństwa. Warto sobie wyobrazić, jak to będzie, gdy pani teściowa staje na sali sądowej i opowiada o takich zdarzeniach z pani życia, o których pani nigdy nie słyszała – mam tu na myśli zarówno wierutne kłamstwa, jak i manipulacje faktami. Gdy ktoś wylewa na nas szambo, naturalną reakcją jest potrzeba odwetu. I się zaczyna.

Bronimy się wszelkimi sposobami.

– Na przykład synowe dobrze wiedzą, jak bardzo zaboli teściową ograniczenie kontaktów z dziećmi. Te zwykle są bezwarunkowo kochane przez rodziców i dziadków i stanowią dla stron konfliktu doskonałą broń. Ceną jest oczywiście dobro tych dzieci, bo przecież ich relacje z dziadkami także są bardzo ważne. Co gorsza, w miarę upływu czasu wzajemny gniew narasta. Jest więc bardzo istotne, by ludzie to wszystko wiedzieli przed rozwodem.

Na co jeszcze chciałaby pani zwrócić uwagę czytelników, którzy być może myślą o rozwodzie?

– Na wstępnym etapie pogłębiającego się kryzysu małżeńskiego kluczową kwestią jest odpowiedź na pytanie, czy to małżeństwo jest do cięcia. Zdarza się, że ludzie zbyt pochopnie podejmują decyzję o rozstaniu. Wiele związków mogłoby funkcjonować dobrze, gdyby para nad swoimi relacjami popracowała. Najczęstszą przyczyną rozwodów wcale nie są spektakularne zdrady, dramaty, roztrwonienie majątku itd. Z reguły to zanikająca przez lata komunikacja i emocjonalna bliskość. Ludzie w natłoku trudów życia przestają mieć czas, by spokojnie porozmawiać, pobyć razem, dowiedzieć się, co się dzieje u drugiej osoby. Zaczynają się ograniczać do „technicznej" wymiany informacji, jak przedsiębiorstwo zwane rodziną ma funkcjonować.

„Kup chleb".

– Albo „Zawieź dziecko na karate". I nagle się okazuje, że po kilkunastu latach małżeństwa jesteśmy współlokatorami. A gdy podstawowe dla człowieka potrzeby bliskości, akceptacji i przynależności przestają być zaspokajane w małżeństwie, często zaczynamy szukać zaspokojenia na zewnątrz. Gdy jednak pojawiają się osoby trzecie i więzi z nimi, małżeństwo staje się zbyt mało atrakcyjne, byśmy w nie dalej inwestowali.

Zdarza się, że widząc ten zanik bliskości, mówi pani ludziom: „Stop, proszę iść najpierw na terapię par"?

– Z reguły wyrażam swoje zdanie na temat stanu danego małżeństwa. Mówię np.: „Gdy pana słucham, wydaje mi się, że to jeszcze nie jest do cięcia, ale do naprawy". Z jakiegoś powodu ci ludzie się pobrali, było między nimi coś ważnego. Pytam więc: „Czy aby na pewno to jest już do wyrzucenia?". Widzę, że to w nich jakoś rezonuje. Często daję też klientom kontakt do sprawdzonych psychoterapeutów czy mediatorów, bo mediacja może również służyć naprawie relacji małżeńskich i scaleniu stadła. Jeśli natomiast widzę, że małżonkowie nie chcą już raczej podejmować głębszej pracy nad związkiem, kieruję ich do mediatora, który pomoże im wypracować warunki ugodowego rozwodu. Jego pomoc zwykle ogranicza się do spraw organizacyjnych, np. ustalenia wysokości alimentów czy harmonogramu kontaktów z dziećmi, ale jest jeszcze

W marcu małżeństwo zamieszkało z teściową, ze względu na pandemię. Już w maju jedno z małżonków złożyło pozew o rozwód.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 5d369d7248

coś takiego jak mediacja transformatywna. To coś pomiędzy krótkotrwałymi mediacjami a psychoterapią. Ważne jednak, by zachodził tu pewien warunek – obie strony muszą współpracować. Z drugiej strony zdarza się, że gdy choć jedna osoba zacznie pracować nad komunikacją, pozytywnie wpływa na drugą.

Zdarza się, że jest odwrotnie i widzi pani, że nic z tego nie będzie, mimo że jedno z nich chciałoby ratować związek?

– Tak, np. gdy kobiety nie zdają sobie sprawy, że doznają przemocy. Uświadamiam im to, daję kontakt do Niebieskiej Linii. Zadaję często trochę coachingowe pytania: „Czy pani ma w domu przyjaciela czy wroga?". Albo: „Czy zdarzyło się, że mąż wykorzystał przeciwko pani jakieś informacje z pani przeszłości lub z przeszłości pani rodziny?", „Czy jeśli zdarza się jakaś trudna sytuacja, może pani liczyć na pomoc męża?". Niestety, bardzo często po stronie stosującej przemoc nie widać refleksji i woli zmiany postępowania. Takie układy są zdecydowanie do cięcia.

Czy z rozwojem dostępu do informacji, mediów społecznościowych, wiedzy na temat prawa i tego, co jest przemocą, widać większą świadomość co do tego zjawiska?

– Myślę, że jest zmiana na plus. Wynika choćby z zauważenia tego problemu przez system. Mamy ustawę o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie i organizacje społeczne, które tym się zajmują, np. Stowarzyszenie Niebieska Linia. Dzięki prowadzonym przez nie szkoleniom zmienia się też podejście policjantów, pracowników socjalnych i sędziów. Zmniejsza się także ekonomiczna nierównowaga między kobietami a mężczyznami, przez co ci drudzy tracą możliwość wykorzystywania swojej przewagi. Wiadomo bowiem, że jeśli mężczyzna jest jedynym pracującym członkiem rodziny, a kobieta zostaje w domu i rodzi kolejne dzieci, on ma większą siłę ekonomiczno-społeczną i przewagę organizacyjną. Bywa jednak, że tej przewagi ekonomicznej wcale nie ma, bo kobieta pracuje i nie zarabia gorzej od męża, a facet i tak powtarza jej, że ona do niczego się nie nadaje, jest beznadziejna i brzydka. I ta kobieta mu wierzy. Ale różnice między płciami zmniejszają się wraz z emancypacją kobiet, dostępem do internetu, pojawianiem się artykułów na ten temat. Lecz jest jeszcze trzeci powód zmian – większe przyzwolenie społeczne na rozstania. Kiedyś czynniki religijno-społeczne często determinowały to, że strona doświadczająca przemocy zaciskała zęby i jakoś trwała w związku. Teraz mają one mniejsze znaczenie.

Przez to, że jest większe przyzwolenie na rozwody, jest ich więcej?

– W ostatnich latach nie ma już tendencji wzrostowej. Liczba ta utrzymuje się na poziomie ok. 60 tys. rocznie. Jednak jeśli porównamy ją z okresem sprzed 15 lat, różnica jest widoczna.

Koronawirus nie prowadzi do rozpadu małżeństwa, ale trudności przyśpieszają destrukcję związku.

Patrząc z perspektywy kobiet doświadczających przemocy, uważam, że to dobrze.

– Zgadzam się, ale uważam, że niektórzy ludzie ze zbyt dużą łatwością podejmują decyzję o rozstaniu, nie starając się pracować nad małżeństwem. Bardzo martwi mnie i to, że wchodząc po rozwodzie w nowy rozdział życia, zostajemy przy starych schematach – tych samych, które doprowadziły do rozpadu wcześniejszego związku. Tymczasem rozwód od rozwoju dzieli tylko jedna literka. Rozstanie i związane z nim cierpienie może być trampoliną do rozwoju.

W książce czytelnicy znajdą też hasła „Złap dystans, czyli rozwód na wesoło". Dowiedzą się z nich, dlaczego „jeśli się rozwodzić, to tylko z panem Wieśkiem". Nie bała się pani, że ktoś uzna, iż trywializuje pani problem rozwodów?

– Uważam, że łapanie dystansu do rozwodu jest bardzo potrzebne. Jeśli ktoś doświadcza w małżeństwie i podczas rozwodu czegoś trudnego i tak się „ucapi" tego cierpienia, tkwi ono w nim potem bardzo długo. Ludzie potrafią przez dziesięciolecia rozważać, dlaczego ktoś ich zostawił. Trwają w tej krzywdzie i właściwie tylko w niej dobrze się czują. Niektórzy dzięki temu odczuwają wyższość moralną nad byłym partnerem, często też już nigdy nie układają sobie życia. Jątrzące się i ciągnące w nieskończoność rozwody to również efekt takiego podejścia. Ludzie nie potrafią w zdrowy sposób zamknąć pewnego rozdziału, tylko wloką to przez pięć czy więcej lat. A potem przez kolejne pięć lat trwa podział majątku – i to jest kontynuacja niszczącego procesu żywienia się własną krzywdą.

Znam kobiety, które po rozwodzie rozkwitły. Ojciec zabiera dzieci na weekend, a one chodzą na randki, koncerty, znajdują sobie pasje.

– Staram się to uświadomić kobietom, bo one często nie mogą sobie wyobrazić, że dziecko zostanie na weekend u ojca. Martwią się, co to będzie, skoro on nie umie zrobić dziecku jajecznicy. Kobiety często nie potrafią odpuścić. Nie dają mężczyźnie szansy, by nauczył się radzić sobie w opiece nad dzieciakami.

Ale czasem to wina męża, który nie garnął się do opieki nad nimi.

– Często odpowiadają za to matki mężów, które tak ich wychowały.

Mężowie są teraz dorośli. Dlaczego ciągle winę za wszystko mają ponosić kobiety?

– To niestety problem obu płci. Jeśli my, kobiety, jesteśmy wychowywane do roli służebnej wobec mężczyzn, wciąż często w nią wchodzimy. Skrajnym przykładem jest przedstawiona w mojej książce historia rozwodowa fryzjerki, której mąż, mimo że miał dwie zdrowe rączki i dwie zdrowe nóżki, całymi dniami leżał na kanapie. Do dziecka musiała przychodzić opiekunka, bo z niewiadomego powodu nie był w stanie zająć się nawet dzieckiem. Żona harowała więc na dwa etaty – do domu jeszcze przychodziły jej klientki. Pełnomocnik męża skarżył się potem w pismach procesowych, że jego klient „nie miał w domu warunków do odpoczynku".

Szokujące.

– Ostatnio zbulwersowała mnie też historia dziewczyny, która zachorowała na raka piersi i musiała poddać się mastektomii. Wie pani, co stwierdził mąż, zanim poszła do szpitala? „Może przy okazji odessaliby ci trochę tłuszczu z brzucha". Trudno sobie wyobrazić, że coś takiego mogła powiedzieć osoba, która powinna być przecież kimś najbliższym. Choć pracuję już wiele lat w zawodzie, takie historie nigdy nie przestaną mnie zadziwiać.

Anna Brzeska
a.brzeska@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 5d369d7248

Oko w oko Tomasz Jastrun

Przez szczeliny

Wszyscy już znają tę scenę, ale zapisuję ją, kierując się sumiennością kronikarza. Prezes stoi na sejmowej mównicy i woła do posłów opozycji, jego oblicze zmienione nienawiścią, palce rozczapierzone: „Najpierw to łaskawie ściągnijcie te błyskawice esesmańskie (…). Wszystkie demonstracje, które popieraliście, kosztowały życie wielu osób. Macie krew na rękach. Nie powinno was być w tej izbie. Dopuściliście się zbrodni”. Ten człowiek zmienia się w oczach z każdym rokiem, jest już gotowy ścinać głowy. A jednak nie daje mi spokoju jego „piątka dla zwierząt”. Wprowadzenie tej animalnej ustawy byłoby gwoździem do trumny PiS, więc prezes niechętnie, ale się ugnie i pewnie jej nie wprowadzi. Ale wygląda na to, że to był autentyczny odruch miłości do zwierząt. Prawie nikt nie jest jednoznacznie zły. Co nie znaczy, że taki człowiek nie może czynić bezwzględnego zła.

•

Polska i Węgry sprzeciwiły się przyjęciu rozporządzenia wiążącego fundusze unijne z praworządnością. To w efekcie może oznaczać weto dla budżetu UE. Zdaniem opozycji może to również być początkiem polexitu. Po haniebnym wystąpieniu Morawieckiego w Sejmie, gdzie raczył porównać Unię do ZSRR, celnie pisze Monika Olejnik: „Po co nam miliardy euro od Unii? PiS w naszym imieniu z nich zrezygnuje. Jesteśmy gotowi do poświęceń, bo jak mówi eurodeputowany Dominik Tarczyński, najważniejsze są tradycje patriotyczne (…). Jesteśmy nieszczęsnym krajem. Okazuje się, że wstąpiliśmy do zupełnie innej Unii Europejskiej, a ta obecna chce nam odebrać suwerenność. I tylko Zjednoczona Prawica potrafi nas obronić”. Cytuję, bo nie napisałbym tego lepiej.

•

Wygląda na to, że Morawiecki jest między górną szczęką Kaczyńskiego, która ma coraz słabszy nacisk, a dolną Ziobry, który nie znosi premiera, bo to dla niego konkurent. Ziobro boi się powiązania budżetu UE z praworządnością, bo chce tę praworządność gwałcić. Morawiecki jest zakleszczony. A przecież mógłby podać się do dymisji i wyrwać, uścisk nie jest śmiertelny. I, nieco kulejąc, oddalić się do swoich milionów na koncie, udając człowieka z charakterem. A ma na razie tylko szansę zostać w historii jako zdrajca, który rozpoczął wychodzenie Polski z Unii. Morawiecki został wypatroszony przez władzę. Kukiełka z coraz dłuższym nosem.

Morawiecki jest między górną szczęką Kaczyńskiego, która ma coraz słabszy nacisk, a dolną Ziobry, który nie znosi premiera.

•

A teraz, by odpocząć od bieżącego zgiełku i emocji, dwie sceny ujrzane przez szczelinę czasu. Połowa XIX w., Paryż. Bardzo lubię podglądać wielkich i małych przez takie szczeliny. A wszystko wzięło się stąd, że mój starszy synek w męce i udręce wkuwa wiersz Słowackiego „Testament mój”. Klepie zupełnie bezmyślnie i nie ma żadnych szans odczuć „siły fatalnej”, jaką ma ten utwór. Nie ma chyba sensu, by dzieci w tym wieku uczyły się go na pamięć. Wśród kilku motywów jest w tym wierszu ból niedocenienia, odtrącenia, a w dramacie urażonej dumy istotną rolę odegrał Adam Mickiewicz, który traktował Słowackiego z góry. A siedział wysoko. Wpadły mi więc w ręce cytaty z dwóch listów Słowackiego, gdzie autor „Testamentu” pozwala sobie na małe złośliwości wobec wielkiego rywala. Pisze, że Mickiewicz „improwizował, ale dosyć słabo, a wyglądał jak to Mickiewicz, opuszczony i niedbały, w chustce źle zawiązanej, po liderlichowsku, z pomiętym od koszuli kołnierzem i we fraku zasmolonym, posklejanym zaschniętą mazią, przykro woniejącą, a ja chcę ujść powszechnej nagany, która nasz ród wystawia jako opuszczony i niedbały, *caban sarde* z niebieskim podszyciem, co go na Sardynii robią, na obiad przywdziałem, bo nie chcę, żeby mnie, jak jego, służący wzięli za lokaja”. Z innego listu: „Plater biegał i prosił nas artystów na wieczór do siebie, Chopin, sławny fortepianista, grał nam, gadaliśmy różne poezje, ale z Mickiewiczem już nie zeszliśmy się, ani tamtej nocy, ani później u Straszewicza, gdzie nudno było, pod koniec jednak Chopin upił się i prześliczne rzeczy improwizował na fortepiano, Mickiewicz też był pijany i wiersze składać pod muzykę zamierzał, ale zabełkotał tylko i rękami machał”.

Może tak powinno się też czasami uczyć literatury, od zaplecza. Ci ludzie są nareszcie żywi. A przy okazji myśl: czym byłaby Polska bez Mickiewicza, Słowackiego, Norwida i Chopina. O ileż byłaby brzydsza i biedniejsza.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 5d369d7248

Gorzka pigułka

Polacy łykają suplementy na potęgę, choć deklarowanych składników bywa w nich jak na lekarstwo

Dorota Bartosewicz

Najjaskrawszy przykład uzależnienia od suplementów? Agnieszka Małek, dietetyk z Poradni Medycyny Żywienia MedFood, nie zastanawia się długo nad odpowiedzią. – Rok temu przyszła do mnie młoda kobieta z otyłością i zdiagnozowaną insulinooopornością. Z wywiadu wynikało, że wiele z nich przyjmuje przez dłuższy czas. Wszystkie na własną rękę.

Wśród nich były i suplementy w proszku, niekiedy zamiast normalnego posiłku, i herbatki przyśpieszające przemianę materii, i multiwitaminy na wzmocnienie włosów. A także magnez oraz witamina C. – Martwi mnie to, że zamiast zasięgnąć porady specjalisty, sama eksperymentowała, przez co mogła się narazić na nadmiar witamin i składników mineralnych, co zagraża życiu i zdrowiu. Herbatki przyśpieszające przemianę materii mogą zaburzać perystaltykę jelit i działać uzależniająco. Natomiast sproszkowane posiłki potęgują problemy działania układu pokarmowego, bo dostarczają śladowych ilości błonnika, witamin i dobrej jakości tłuszczy – wylicza Agnieszka Małek.

Z jej obserwacji wynika, że przyjmowanie zbyt dużej liczby suplementów to problem ok. 20% pacjentów.

Uparty gorszy od zachłannego

Do zażywania suplementów przyznaje się w Polsce ponad trzy czwarte rodaków. Z czego 48% deklaruje, że łyka je regularnie – analizy SW Research nie pozostawiają złudzeń. W większości to preparaty zawierające magnez – stanowią 26% rynku tych produktów. Ale też tzw. immunostymulatory – 22% rynku, probiotyki – 20%, produkty wzmacniające organizm – 16% oraz witaminy i minerały dla dorosłych – 16%.

Tylko w tym roku Polacy wydadzą na suplementy – bagatela – 6 mld zł (prognozy PMR), podczas gdy jeszcze trzy lata temu 4,4 mld zł. W praktyce oznacza to sprzedaż ponad 200 mln opakowań suplementów diety rocznie! Statystyczny Polak kupi ich co najmniej sześć, za co zapłaci grubo ponad 100 zł.

Jako powód podaje się przede wszystkim wzrost sprzedaży w aptekach, wynikający z chęci zwiększenia odporności w trakcie pandemii.

Coraz większe zainteresowanie suplementami widać zresztą od zeszłego stulecia. Dane KE wskazują, że już w latach 1997-2005 polski rynek wzrósł o 219% i był to najwyższy wzrost w UE. I jeszcze jedna informacja z raportów: prognozy dla krajowego rynku suplementów pokazują, że powinien on rosnąć o 5% rocznie. – Najbardziej za sprawą sportowców, kobiet chcących zrzucić wagę, a także tych w ciąży lub starających się o dziecko oraz osób przewlekle chorych – tłumaczy prof. Ewa Stachowska, kierownik Zakładu Biochemii i Żywienia Człowieka Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego.

Agnieszka Małek, która z klientami biorącymi suplementy ma do czynienia na co dzień, dobrze poznała ich schematy myślenia. I podzieliła na grupy. – W pierwszej jest typ uparty. Trudno z nim dyskutować. Kiedy już przyjmuje konkretny suplement, nie da go sobie łatwo usunąć z diety, bo „na 100% działa". Nawet jeśli przytoczę twarde wnioski z badań, trudno przychodzi mu zmienić zdanie. Wtedy najczęściej pada argument: „Sąsiadka brała. Koleżanka z pracy też. To co, dla mnie ma być niedobry?!".

Druga grupa to typ modny – naczytał się o suplementach w sieci, a ostatecznie zdecydował na podstawie wpisów celebrytek, które reklamują dany produkt. W myśl zasady: gwiazdy twierdzą, że działa, to na pewno jest rewelacyjny. – Sugeruje się opinią osób niezwiązanych z branżą. Nierzadko do tego stopnia, że podważa zdanie dietetyków i medyków – dopowiada ekspertka MedFood. W jej klasyfikacji jest też typ zachłanny, który za wszelką cenę chce zadbać o ciało. Czytaj: marzy albo o zgrabnej sylwetce (kobiety), albo o przyroście masy mięśniowej (mężczyźni). Ten z kolei wierzy, że im więcej suplementów, tym lepiej. Najlepiej różnego rodzaju. Ostatnia, czwarta kategoria, to typ opiekuńczy. Słucha uważnie. Współpracuje. Z reguły chce zadbać albo o zdrowie dziecka, albo o jego odporność. – Kiedy przychodzi, wierzy w to, co mówimy. Jeśli już pyta, to czy warto

Suplement to nie lek, ale środek spożywczy.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 5d369d7248

dany produkt stosować, czy nie. Sam nie wprowadza go do diety – podsumowuje dietetyczka.

Prof. Ewa Stachowska dorzuca jeszcze jeden typ: ortorektyk, zdeterminowany. – Stara się jeść wyłącznie produkty uważane za zdrowe. A że za takie uważa suplementy, to wierzy w ich moc – mówi. Pani profesor zwraca uwagę, że wspólny dla tych grup jest brak świadomości, że prawidłowo zbilansowana dieta dostarcza prawie wszystkich witamin i składników mineralnych, a i wchłanianie mikroskładników z żywności jest większe niż z suplementów. O zgrozo, powszechne stało się przekonanie, że jedzenie w dzisiejszych czasach nie zawiera witamin, co nie jest prawdą. Czy że suplementy są niezbędne, aby zachować zdrowie. Tutaj swoje robią skłonność Polaków do samoleczenia, kolejki do lekarzy, droga prywatna służba zdrowia – tylko 17% konsultuje się w tej sprawie z lekarzem lub farmaceutą – i wszechobecne reklamy. „Coś ci dolega? Weź tabletkę. Nic ci nie jest? To weź profilaktycznie" – do tego nierzadko sprowadza się przekaz.

Superbajer ekstrastrong plus

Prof. Przemysław Kardas, kierownik Zakładu Medycyny Rodzinnej na Uniwersytecie Medycznym w Łodzi, słyszy te same tłumaczenia: „To łatwiejszy sposób uzupełniania niedoborów niż zbilansowana dieta", „Inwestycja we własne zdrowie", „Kieruje mną chęć poprawy wyglądu zewnętrznego i odporności". Takie odpowiedzi padały najczęściej w badaniach prowadzonych pod jego nadzorem w 2018 r. Rzadziej, że „powód to leczenie choroby".

– Liczni badani, bo aż 29,2%, deklarowali stosowanie suplementów diety w walce z chorobami i infekcjami, a zatem niezgodnie z ich przeznaczeniem – podkreśla. I nie ma co się dziwić, skoro jedynie 27% Polaków potrafi poprawnie zdefiniować, czym są suplementy. To nie lek, ale środek spożywczy. Skoncentrowane źródło witamin lub składników mineralnych – lub innych substancji wykazujących efekt odżywczy. Przy czym co trzeci respondent jest przekonany, że suplementy są testowane pod względem skuteczności, a co drugi – że podlegają takim samym standardom nadzoru jak leki. Nic bardziej mylnego.

Ich wprowadzanie na rynek wymaga jedynie notyfikacji, czyli powiadomienia Głównego Inspektoratu Sanitarnego. Prawo nic nie mówi o konieczności badań przedrejestracyjnych ani o szczegółowej dokumentacji gwarantującej jakość, skuteczność i bezpieczeństwo stosowania. Brakuje ustawowego obowiązku zgłaszania działań niepożądanych. A dość powiedzieć, że w ankiecie przeprowadzonej przez UM w Łodzi co 10. badany wskazywał występowanie takich działań, przede wszystkim ze strony przewodu pokarmowego, a także zaburzenia stanu psychicznego.

– Rynek jest na tyle nieuregulowany, że nadal do wzięcia jest piękny pomysł biznesowy, który bezskutecznie sprzedaję na wykładach.

W samym 2018 r. zarejestrowano ponad 13 tys. nowych suplementów.

Kupujemy 1 kg soli kuchennej, który kosztuje, dajmy na to, 2 zł, do tego za równie groszowe kwoty kapsułki. Wkładamy do nich 500 mg soli, a na pudełeczkach robimy stosowny nadruk. Najlepiej, i tu puśćmy wodze fantazji: „Superbajer ekstrastrong mind and body booster". Niektórzy dodają do tego jeszcze „plus". Bo zgodnie z prawdą sól kuchenną można uznać za niezbędną do funkcjonowania każdej komórki organizmu człowieka. Tak, nerwowej też! Potem można już taki preparat sprzedawać. Skoro producent deklaruje, że działa, to działa. Przebitka jest nieprawdopodobna – ironizuje prof. Kardas.

Ale można pójść o krok dalej. Z 1 kg soli zrobić 4 tys. kapsułek po 250 mg każda. Przy czym nadal jako producent deklarować będziemy wyższą zawartość. To nie koniec. Możemy wsypać do kapsułek tylko 200, 100, a nawet 50 mg soli. – Nawet jakby się uprzeć, to 0 mg, a zamiast tego inny wypełniacz. I nadal nikt nie będzie mógł mieć o to do nas pretensji, tak liberalne są teraz przepisy dotyczące rynku suplementów w Polsce – dodaje profesor.

Przeprowadzenie wstępnej weryfikacji takiego suplementu zajmuje GIS średnio dwa lata (najdłużej osiem i pół roku). A nowych suplementów tylko w 2018 r. zarejestrowano ponad 13 tys.; od 2007 r. łącznie 74 tys. Przez ten czas produkt może być dostępny w sprzedaży. Stanisław Maćkowiak, prezes Federacji Pacjentów Polskich, mówi krótko: – Wolna amerykanka.

Wspiera, ale nie chroni

Są jednak tacy, którzy prześwietlanie składu suplementów uznali za misję. Fundacja Badamy Suplementy wręcz walczy o to, by Polacy mieli dostęp do niezależnych informacji, a preparaty bada sama, w akredytowanych laboratoriach. Część nie wykazuje właściwości deklarowanych przez producentów. W przypadku witaminy C różnica między zbadaną a opisaną zawartością wyniosła 10%.

Raport Narodowego Instytutu Leków pokazuje z kolei, że jedna czwarta suplementów ma skład niezgodny z deklaracjami producentów. Gorzej, NIK podaje, że trafiają się w nich nawet szkodliwe dla zdrowia składniki, w tym bakterie kałowe czy pochodne amfetaminy (w tzw. spalaczach tłuszczu).

NIK proponuje w tej sytuacji wprowadzić opłaty za notyfikację suplementów oraz przygotować system ostrzegający konsumentów przed budzącymi wątpliwości GIS preparatami. Dodatkowo działania edukacyjne i poprawę nadzoru nad reklamą, w tym zakaz podkreślania właściwości leczniczych.

Za ciosem idą producenci – opracowują kodeks dobrych praktyk reklamy suplementów. Należy zaznaczyć w reklamie, że jest to „suplement diety" (żeby konsument miał świadomość, że nie jest to lek). Wykluczyć wykorzystanie wizerunku lub rekomendacji lekarza czy farmaceuty w jakiejkolwiek postaci (w ogóle osób w białych fartuchach). I zakazać odnoszenia produktu do chorób. W praktyce w spocie może się znaleźć zdanie, że witamina C wspiera odporność organizmu, a witamina D wzmacnia kości. Ale nie: witamina D chroni przed osteoporozą – uznało 16 podmiotów, w tym organizacje zrzeszające producentów suplementów i największe telewizje. W ten sposób Polska stała się drugim (po Wielkiej Brytanii) krajem w Europie, gdzie podpisano takie porozumienie. To jednak nadal nie uspokoiło ekspertów.

eprasa.pl 5d369d7248

Kodeks „nie spełnia oczekiwań urzędu", uznał UOKiK, który monitoruje reklamy suplementów. W uzasadnieniu można przeczytać, że dokument „obejmuje praktyki, które można wyeliminować w oparciu o obowiązujące przepisy". Poza tym „określa mało dotkliwe sankcje za naruszenie zasad. Jest to m.in. poinformowanie o nagannym zachowaniu wyłącznie sygnatariuszy".

Stanisław Maćkowiak z Federacji Pacjentów Polskich też jest sceptyczny: – To za mało, żeby opanować sytuację. Prosta rzecz: musi być ustawa, która pozwoli na kontrolę tego, co się produkuje – nadzór organów państwowych, które odpowiadają za bezpieczeństwo żywnościowe – i tego, jak się sprzedaje i promuje. Tutaj wzorem powinny być zasady jak w ustawie Prawo farmaceutyczne. – Samoregulacja jest niewystarczająca także dlatego, że sygnatariuszami są duzi producenci, którzy i tak co do zasady sprzedają bezpieczne produkty. A problem z bezpieczeństwem dotyczy głównie producentów mniejszych, a w największym stopniu produktów zagranicznych wątpliwego pochodzenia – to już Adam Czerwiński, analityk Polskiego Instytutu Ekonomicznego i autor raportu „Regulacja rynku suplementów diety". – Po pierwsze, niszowi producenci, a tym bardziej importerzy zagranicznych produktów do samoregulacji po prostu nie muszą się stosować. Po drugie, uniwersalnie dotyczy to tylko telewizji. Jeśli ktoś chciałby wyemitować spot łamiący przepisy, to największe polskie stacje tego nie zrobią. Co innego internet, gdzie koszt jest znacznie mniejszy, co oznacza, że na reklamę mogą sobie pozwolić mali producenci i importerzy. Co więcej, te reklamy nie są objęte samoregulacją i mogą zawierać informacje wprowadzające w błąd.

Sprawność seksualna na półce

– W Belgii, we Francji i we Włoszech są określone listy dopuszczalnych składników w suplementach (w projekcie o nazwie BELFRIT jest ich ponad 1 tys. – przyp. red.). My idziemy w kierunku tych krajów, tworząc listę witamin i składników mineralnych wraz z określonymi warunkami wynikającymi z uchwał – ogłosił rok temu dr Przemysław Rzodkiewicz, dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa Żywności i Żywienia GIS.

Na razie, aby uporządkować rynek, określono w suplementach maksymalną dawkę m.in. witaminy B_6, żelaza, magnezu i miedzi. – Uchwała jest stanowiskiem ekspertów, a nie przepisem prawa, jednak producenci powinni brać ją pod uwagę – zastrzegł ekspert GIS.

Tylko w tym roku wydamy na suplementy 6 mld zł.

O większej przejrzystości informacji, w tym na temat listy surowców dopuszczonych i stosowanych w suplementach, mówili też sami producenci. Argumentowali przy tym, że „podejrzliwość części konsumentów skutkuje postrzeganiem suplementów jako paraleków o niewiarygodnym pochodzeniu i szkodliwym działaniu".

Zdaniem Adama Czerwińskiego rozwiązania prawne i społeczne powinny się skupiać na dwóch kwestiach. Po pierwsze, na zwiększaniu wiedzy konsumentów. I tu pomogłoby wyraźne rozróżnienie suplementów i leków w aptekach. Eksponowanie ich osobno, a nie jak obecnie grupowanie na półkach według kategorii. – Po drugie, na zapewnieniu większego bezpieczeństwa, np. przez zwiększenie częstotliwości kontroli produktów z rynku (teraz niewiele ponad 1 tys. badań laboratoryjnych rocznie). Także jeśli chodzi o zanieczyszczenia mikrobiologiczne, metale ciężkie czy substancje czynne. Dlaczego? Częste jest dodawanie inhibitorów PDE-5 do suplementów mających polepszać sprawność seksualną i nieinformowanie o tym konsumentów. Skutki uboczne przy całkowitej niewiedzy mogą prowadzić nawet do zgonu. PDE-5 cechują się śmiertelnymi interakcjami z innymi lekami i chorobami.

Do zażywania suplementów przyznaje się ponad trzy czwarte Polaków.

Do tego obowiązkowo nowelizacja przepisów dotyczących reklamy i opakowań – wszystkie powinny zawierać czytelną informację, że dany produkt jest suplementem (obecnie istnieje taki wymóg, jednak informacja ta jest często mało widoczna, przez co opakowań leków i suplementów nie można odróżnić na pierwszy rzut oka).

– A kontrole suplementów przed wprowadzeniem na rynek? – dopytuję. – To niewykonalne ze względu na prawo unijne. Poza tym bezzasadne, bo koszt stanowiłby istotną barierę wejścia dla mniejszych producentów, czyli dla większości polskich firm, przez co zmniejszyłby się poziom konkurencji i wzrosłyby ceny suplementów – odpowiada Adam Czerwiński. – W ten sposób straciliby zarówno konsumenci, producenci, importerzy, jak i polska gospodarka.

Siła przebicia

Producenci suplementów mogą na razie spać spokojnie. W Ministerstwie Zdrowia nie są teraz prowadzone żadne prace nad konkretnymi przepisami. Owszem, tworzone są specjalne grupy eksperckie. Powstają raporty sugerujące możliwe rozwiązania, a nawet projekty ustaw. Jednak ostatecznie nic się nie zmienia, podkreśla analityk PIE.

Przykładem może być ostatni pomysł objęcia reklam suplementów dodatkowym podatkiem (abstrahując od sensowności tego przepisu). Znalazł się on w projekcie ustawy dotyczącej promocji prozdrowotnych wyborów konsumentów. Tej samej zresztą, w ramach której wprowadzono podatek od małpek i od cukru w napojach. Jednak na ostatnim etapie został wykreślony.

Podobnie rzecz się miała z grupą roboczą przy ministrze zdrowia, która w 2016 r. opracowała całą gamę postulatów dotyczących uregulowania rynku suplementów. Raport NIK też nie został przełożony na konkretne przepisy. Upadł także pomysł Naczelnej Rady Lekarskiej, by rozważyć wprowadzenie zakazu reklamy suplementów i ich sprzedaży w aptekach.

Adam Czerwiński: – Mogę tylko spekulować, ale wydaje się, że siła przebicia producentów, importerów i właścicieli aptek jest na tyle duża, że głosy innych interesariuszy pozostają bez odpowiedzi.

Dorota Bartosewicz

eprasa.pl 5d369d7248

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Dziaderstwo i dziadostwo

Historia lubi się powtarzać jako farsa, ale cieszmy się i z tego, bo wybór mamy dziś cokolwiek ograniczony: Kołakowski poza partią! Co prawda Lech, a nie Leszek, i nie został wyrzucony, lecz sam wystąpił, no i nie z partii, lecz z klubu poselskiego, ale z grubsza wszystko się zgadza – partia niby inna, lecz ta sama, nawet jakby bardziej. Wystąpienie Kołakowskiego też wynika nie z krytycznej refleksji nad bolszewickimi metodami ugrupowania rządzącego, lecz z tego, że pan poseł prezesowskiej litości dla zwierząt nie podziela, ale co tam – ważne, że kaczyści jedną szablę już stracili. Wystarczy, że ten bunt szeregowca będzie choć trochę inspirujący dla paru innych pisowskich szaraków, które wyrażą publicznie wątpienie w dogmat o nieomylności wodza. Tak naprawdę nie koktajli Mołotowa nam potrzeba do obalenia władzy, lecz kilku Kołakowskich więcej.

Choć oczywiście wspierać nasze Dantonówny i Robespierzanki należy, pod ich sztandarami maszerować i wygrażać rządowi BiN (Bezprawia i Niesprawiedliwości) wypada, milicjantów nazywać po imieniu, stając naprzeciw pałom i rozpylaczom gazu, czynem godnym jest i sprawiedliwym. Ale upadek tej władzy to bardziej kwestia czasu niż burzy i naporu, choć jedno drugiego nie wyklucza. Chodzi jednak o to, by napierać sprytnie, by nie daj diable wróg się skonsolidował w defensywie. Koalicja prawicy jest teraz jak toksyczna przemocowa rodzina u progu rozpadu, wiadomo jednak, że każda interwencja sąsiedzka powoduje tymczasowe pojednanie małżonków przeciw intruzowi. Łajdackie rządy umierają przez podział – szczerze mówiąc, jestem zdumiony, że zjednoczenie ugrupowań z ewidentnymi psychopatami u sterów wytrzymało tak długo. Przecież Kaczyński byłby w stanie śmiertelnie się pokłócić z własnym kotem, a Ziobro nie ma ambicji zostać Berią, on chce być Stalinem; w dodatku obaj mają swoich harcowników. To wszystko od dawna trzymało się kupy z konieczności, trochę jak piramida akrobatów – wystarczy, że jeden przestanie podtrzymywać drugiego i wszyscy rąbną o glebę, a najboleśniej potłuką się ci z samej góry. Katastrofa jest prawdopodobna, sytuacja podbramkowa – wystarczy dołożyć (w tym wypadku podłożyć) nogę.

Optymizm Marty Lempart mnie rozgrzewa, chciałbym uwierzyć, że upadek władzy narodowych socjalistów katolickich w Polsce to kwestia tygodni, ale jestem w niejakiej ambiwalencji: jasne, im prędzej kaczyści przestaną psuć państwo, tym mniej zniszczą, z drugiej zaś strony im dłużej będą je psuć, im większe zgliszcza po sobie pozostawią, tym trudniej będzie im się wygrzebać z politycznego niebytu. Kurs na polexit wobec nieudolnego zarządzania sytuacją pandemiczną, katastrofy w służbie zdrowia i wielu sektorach gospodarki jest bardzo właściwy – na końcu tej drogi jest rzeczywiste „państwo w ruinie” i wynik poniżej progu, kiedy przy PiS pozostaną tylko debile i fanatycy, jak w Konfederacji. Szefowe Ogólnopolskiego Strajku Kobiet imponują myślą tyleż trzeźwą, co radykalną; na pytanie, co po PiS, postulując utworzenie tymczasowego rządu eksperckiego i w dalszym etapie taką zmianę systemu wyborczego, by na zawsze odrzucić zależność od systemu partyjnego. Głoszą, by na zawsze zablokować drogę do władzy dziadersom. Mnie żar tych wypowiedzi bardzo się podoba, czuję ich wysoką temperaturę nie tylko dlatego, że są ogłaszane 20 m w linii prostej od moich okien, dodałbym może, że dziaderstwo nie jest zjawiskiem przypisanym jednej tylko płci, o czym feministkom być może przypominać nie wypada.

Mnie np. robi się słabo na myśl o takiej Beacie Szydło, która zapewne już rozpoczęła pięciolatkę przygotowań do przejęcia prezydentury – chodzą słuchy, że dlatego na razie siedzi cicho, wszak już Salomon w Księdze Przysłów zapewniał, że „ten, który wargi zamyka, wydaje się mądrym”. Dziaderstwo polityczne nie ma płci ani wieku. Gęby PiS, obok stetryczałych, a zajadłych asystentów prezesa, to także owe „baby polskie”, równie nienawistne i tępe, co rozmodlone. Dziaderstwo ma też oblicze Przyłębskiej, Kempy czy Lichockiej. Dziaderstwo polityczne to niedzielne posiady rosołowe natchnione kazaniem proboszcza. Nie da się go zlikwidować, bo tkwi głęboko w mentalności i tradycji narodowej – należy je bezpowrotnie obnażyć i wyizolować w rezerwacie żenady. Polacy do dziaderstwa przywykli, ale nie znoszą dziadostwa. Wierzę, że do pełnej depisyzacji Polski jest potrzebna raczej zasada implozji – lud musi się poczuć zdradzony przez własnych idoli, musi na własnej skórze przekonać się o ich nieudacznictwie i zakłamaniu. Nie Bóg ma zbrzydnąć, lecz jego fałszywi namiestnicy, nie Honor, ale niegodziwcy o nim krzyczący, nie Ojczyzna, ale jej nieudaczni reprezentanci. Tak to sobie roję, choć niepoprawny politycznie diabełek szepcze mi do ucha wersję uproszczoną: „Pierdu, pierdu. Solidarność, solimarność. W Polsce do rewolucji potrzeba tylko braku kiełbasy”.

Dziaderstwo polityczne nie ma płci ani wieku.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 5d369d7248

Dajmy sobie przestrzeń do życia

Rząd chce wychować pokolenia odczepione od rzeczywistości, które nie będą potrafiły swobodnie rozmawiać i decydować o własnej seksualności

Rozmawia Mateusz Demski

W pani reżyserskim debiucie silnie odbija się dyskusja na temat aborcji i poszanowania praw kobiet tocząca się w ostatnich tygodniach. Ponoć „Alicja i żabka" powstała z inspiracji autentycznymi zdarzeniami.

– Chodzi tu o wydarzenia z 2008 r. i historię 14-latki, która zaszła w ciążę z rówieśnikiem. W takiej sytuacji, kiedy ciąża jest wynikiem stosunku nieletnich, a więc czynu zabronionego, aborcja jest w Polsce legalna. Matka dziewczynki otrzymała zgodę prokuratury, a mimo to szpitale odmówiły przeprowadzenia zabiegu, lekarze zasłonili się klauzulą sumienia. Finał był taki, że mama i córka wniosły skargę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu – i wygrały. Ale wcześniej każdy chciał na siłę postawić je przed faktem dokonanym i decydować za nie. Odebrano im prawo do wyboru w tak szalenie intymnej, kobiecej sprawie.

Skąd właściwie potrzeba poruszenia tego tematu?

– To jest scenariusz, który napisałyśmy razem z Magdą Lamparską, Julitą Olszewską i Jowitą Radzińską. Zaczęło się kilka lat temu od wycinka prasowego i chęci stworzenia czegoś razem. Gadałyśmy długo, dzieliłyśmy się tym, co w tej konkretnej sprawie nas boli, co drażni. Każda z nas jest inna, w wielu kwestiach się różnimy i nie zgadzamy, ale doszłyśmy do wspólnego wniosku, że decyzja o aborcji jest jedną z najtrudniejszych i najbardziej osobistych, jaka może czekać kobietę i jej rodzinę. Zaczęłyśmy pisać scenariusz w połowie 2016 r., tuż przed czarnymi protestami. Nagle się okazało, że nasz scenariusz wpisuje się w to, co dzieje się na ulicach. Że nie tylko w nas jest sprzeciw i niezgoda na to, że cały czas ktoś próbuje decydować za nas. Uderzające było też to, że tysiące kobiet, które wyszły wtedy z domów, podobnie jak my miały różne zdanie w sprawie aborcji. Jedne były za utrzymaniem kompromisu, drugie za aborcją na tzw. żądanie. Mimo to zjednoczyły się dla siebie, dla swoich bliskich i krzyczały jednym głosem: „Moje ciało, mój wybór".

OLGA BOŁĄDŹ
– aktorka filmowa i teatralna

Mówi pani o tym, że protestujący także się różnią. Jakie zatem jest pani stanowisko w kwestii aborcji?

– Zawsze byłam za prawem do wyboru, za oddaniem wolności kobiecie. Ale powiem panu, że pamiętam siebie z tych protestów sprzed czterech lat i mnie samej było bliżej do kobiet środka. Mówiłam: „Jestem za aborcją, ale sama bym jej nie zrobiła". Z czasem zrozumiałam, że takie podejście może być nie w porządku wobec kobiet, które przez to przeszły. A nauczyłam się tego podczas pracy nad filmem. W trakcie przygotowań spędziłam sporo czasu z ludźmi z Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny, miałam również okazję wziąć udział w wydarzeniu, które polegało na czytaniu zapisu rozmów z telefonu zaufania. Poznałam wtedy historie kobiet, które pewnego dnia usłyszały od lekarza, że noszą pod sercem zdeformowane dziecko albo że ich życie jest zagrożone. Takie dramaty dzieją się w całym kraju. Każdego dnia na infolinię – często w tajemnicy przed bliskimi – dzwonią mieszkanki polskich wsi i małych miast, które są z tym wszystkim same.

Taka jest też Alicja z pani filmu – nastolatka z małego miasteczka, która może liczyć tylko na wsparcie mamy. Ważne, żebyśmy sobie uświadomili, że to nie jest film o feministce ze stolicy, skandującej proaborcyjne hasła na protestach.

– Nie, to nie byłoby w zgodzie z naszą bohaterką. Film opowiada historię dziewczynki, która nie stoi po żadnej ze stron barykady. Jest po prostu dzieckiem, które wielu rzeczy jeszcze nie rozumie, a już na pewno nie jest gotowa, by podchodzić do niej jak do młodej matki. Zamiast jednostronnej publicystyki i proaborcyjnego manifestu chciałyśmy pokazać perspektywę nastolatki, którą to wszystko przerasta. Zarówno niechciana ciąża, jak i wojna tocząca się o nią między dorosłymi. Niech pan zwróci uwagę, że

eprasa.pl 5d369d7248

w głowie naszej już i tak wystarczająco pogubionej bohaterki odbywa się nieustanne przeciąganie liny. Z jednej strony, mamy działaczki *pro-life*, które sugerują zatrzymać dziecko. Z drugiej – feministki, które mówią, że doświadczenie aborcji jest super i wyzwalające. A to nie jest super. „Alicja jest jeszcze w gimnazjum", rzeczowo odpowiada wszystkim jej matka (wspaniale zagrana przez Agnieszkę Suchorę). Żadna instytucja, żadna ideologia nie powinna popychać jej ani w jedną, ani w drugą stronę.

Niedojrzałość Alicji wybrzmiewa doskonale w formie filmu. Już sam tytuł sugeruje, że nie będzie to kino społecznego realizmu, tylko kolorowa, szalona baśń.

– Przede wszystkim nie chciałyśmy z dziewczynami pisać reportażu czy paradokumentu, pomyślałyśmy, że ta historia lepiej się sprawdzi w konwencji bajki – abstrakcyjnej i niedosłownej. W ten sposób nasza bohaterka spada w głąb króliczej nory i tam, we wnętrzu własnej głowy, stara się chronić przed światem, który atakuje na zewnątrz. Mam wrażenie, że każdy z nas był kiedyś tą dziewczynką. Kiedy dzieci przeżywają trudne chwile, to uciekają właśnie w odrealniony świat fantazji.

To, co kłębi się w głowie bohaterki, przyjmuje na ekranie odjechane formy. Taka estetyka mogłaby przemówić do młodych widzów.

– W pełni się zgadzam. Zarówno dziewczyny, z którymi pisałam scenariusz, jak i mój producent, Studio Munka, chcemy, aby film obejrzało jak najwięcej młodych ludzi. Prowadzimy rozmowy w sprawie emisji w ogólnopolskiej telewizji, później chcielibyśmy udostępnić ten film za darmo w internecie. I uzupełnić go o kilka zdań wprowadzenia, a może nawet cały program zajęć edukacyjnych dla młodzieży. O tym, co to znaczy niechciana ciąża, na czym polega aborcja i gdzie możemy w tej sprawie się zwrócić. A także o dylematach moralnych i egzystencjalnych, które za tym wszystkim stoją.

Alicja i żabka

Czy takie lekcje edukacji seksualnej mają u nas w ogóle prawo bytu? Nie sądzę, żeby „Alicja..." przeszła w polskiej szkole.

– Ja też. Wcale się nie łudzę, że w obecnej sytuacji nauczyciele będą w stanie przeprowadzić taką lekcję, ale mogliby przynajmniej odesłać uczniów i ich rodziców do tego filmu. Niech będzie to otwarta opcja dla 13-, 16-latków i zachęta do tego, żeby o tych sprawach chociaż między sobą pogadali. To o tyle ważne, że rząd pozbawia dziś młodzież dostępu do rzetelnych informacji i wyrządza jej tym poważne krzywdy.

Pozbawia się dziś młodzież dostępu do rzetelnych informacji i wyrządza jej tym poważne krzywdy.

Wychowuje pokolenia totalnie odczepione od rzeczywistości, które nie będą potrafiły swobodnie rozmawiać, a może nawet decydować o własnej seksualności.

A Gerlsy? Scenariusz napisała pani z przyjaciółkami, razem tworzycie fundację, której celem jest opowiadanie o sprawach ważnych dla kobiet i wspieranie kobiecych inicjatyw. „Alicja…" to chyba dopiero początek.

– Oczywiście. Wiele jest jeszcze do zrobienia, ten film to tylko kropla w morzu potrzeb. Gerlsy ciągle działają, jakiś czas temu opuściła nas Julita Olszewska, ale nadal twórczo współpracujemy i chcemy razem opowiadać o sprawach, które są dziś dla kobiet ważne. W tym samym składzie, w jakim napisałyśmy „Alicję…", piszemy scenariusz serialu „Białe sukienki", o Polkach w różnym wieku i ich podejściu do seksualności, akceptacji własnego ciała. Nasze bohaterki mają swoje, nieraz bardzo odmienne zdanie i doświadczenia w tej kwestii – dla jednych seks jest czymś zupełnie naturalnym, drugie traktują ten temat jak tabu. Kilka miesięcy temu kupił to czeski producent, który bardzo uwierzył w nasz projekt.

Pracują panie teraz nad czymś nowym?

– Jako Fundacja Gerlsy rozkręcamy różne pozafilmowe inicjatywy, w których chcemy się skupić na inwestowaniu w rozwój kobiecej kreatywności. Organizujemy różne zajęcia i warsztaty. Mamy np. grupę scenariuszową, konsultujemy w niej nasze kursantki z kobietami z branży: pisarkami, reżyserkami, producentkami. Chcemy w ten sposób pomóc im się ośmielić, dać możliwość opowiedzenia o swoich lękach i potrzebach. W normalny i nieskrępowany sposób. Lubię powtarzać za Magdaleną Środą, że właśnie teraz muszą być powoływane w Polsce inicjatywy *stricte* kobiece – dla kobiet i wśród kobiet. Wspólnotowość była i jest nam bardzo potrzebna, dlatego z Gerlsami tworzymy te kobiece grupy wsparcia. Zrzucamy strach, łączymy się, to daje komfort i poczucie bezpieczeństwa.

Olga Bołądź – ukończyła Akademię Sztuk Teatralnych w Krakowie, Stella Adler Academy w Los Angeles i Institut del Teatre w Barcelonie. Pisze scenariusze i reżyseruje klipy. Jej debiut fabularny „Alicja i żabka" miał premierę na tegorocznym 60. Krakowskim Festiwalu Filmowym. Jest jedną z założycielek Fundacji Gerlsy, której celem jest wspieranie i promowanie kobiecych inicjatyw.

FOT. JUSTYNA ROJEK/EAST NEWS, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 5d369d7248

Zwracała pani uwagę na to, że „Alicja…" powstała w wyniku takiego wspólnego działania i zbiegła się w czasie z czarnymi protestami. Czy cztery lata później również wyszła pani na ulicę?

– Wyszłam i nadal będę wychodziła. Bo czuję ten sam wkurw, co tysiące polskich kobiet. Mamy prawo się różnić, nadal uważam, że decyzja w sprawie dokonania aborcji to kwestia cholernie skomplikowana, ale nikt nie ma prawa tym odgórnie sterować i mówić kobietom, jak mają żyć. To nasze wybory i nasze konsekwencje. Wystarczająco trudne, żeby jeszcze ktokolwiek je oceniał i pokątnie wyznaczał reguły. Poza tym bulwersuje mnie, że w sprawę wciąż miesza się Kościół i wywiera wpływ na decyzje rządu. Jestem osobą wierzącą, praktykującą i naprawdę czuję, jak mocno ucierpieli na tym sami wierni. Zawsze byłam uczona, że jesteśmy nie od tego, żeby oceniać, sprawiać przykrość innym i obrzucać ich kamieniami, ale żeby wyciągać dłoń i pomagać. Wszystkim przypominam, jaki przykład idzie z góry – Jezus zawsze był po stronie tych, którzy czuli się pokrzywdzeni i potrzebowali pomocy. To on zdemolował świątynię, gdy próbowano uczynić z niej targowisko.

Żadna instytucja ani ideologia nie powinna popychać kobiet ani w jedną, ani w drugą stronę.

Kościół katolicki w Polsce zdaje się daleki od tych nauk. Hipokryzja, pycha, moralna kontrola. Trudno się dziwić, że tylu ludzi podczas trwających wciąż protestów rozważa wypisanie się z tej instytucji.

– A to wcale nie musiało się tym skończyć. We wrześniu wróciłam z Islandii, gdzie robiłam zdjęcia do filmu „Wolka". Zjeździłam kraj wzdłuż i wszerz, ale szczególnie utkwiło mi w pamięci jedno miejsce – kościół w małym miasteczku, do którego prowadziła tęczowa droga. Została wymalowana z inicjatywy pastora i co roku jest odnawiana przez mieszkańców. Nie wydaje mi się, żeby w tym miejscu żyło wiele nieheteronormatywnych osób, nikt nie musi tam tego wyrażać. To był po prostu dowód najprostszej na świecie ludzkiej tolerancji i tego, że każdy jest w tym miejscu mile widziany. Na Islandii nikt nikomu nie zagląda w okna, nie wtrąca się, nie tworzy sztucznych podziałów. Tam takie kwestie jak równość czy szacunek są traktowane jako naturalne. Ludzie żyją zgodnie z zasadą, że wszystko, co nie krzywdzi innych, jest w porządku, i dają sobie po prostu żyć. I tego bardzo bym chciała dla Polski – żebyśmy w końcu dali sobie przestrzeń do życia. Do bycia sobą. Nie wiem, kto nam wmówił, że mamy decydować za innych. Ani do tego nie mamy prawa, ani nie zostaliśmy do tego stworzeni. Wierzę, że jeszcze kiedyś uda nam się to w Polsce zrozumieć.

Mateusz Demski

eprasa.pl 5d369d7248

MIĘDZY OKŁADKAMI

Hanna Krall
Smutek ryb
Dowody na Istnienie, Warszawa 2020

„Ta strona nie jest dla wędkarza. Wędkarz wędkuje i nie ma czasu na czytanie żadnych stron. Ta strona jest dla żony. Mąż wędkuje, a żona sobie czyta" – tak Hanna Krall zainaugurowała rubrykę „Smutek ryb" w miesięczniku „Wiadomości Wędkarskie", do którego incydentalnie pisała w roku 1983. Teraz, po latach, Dowody na Istnienie postanowiły wydać te oryginalne zapiski w formie książkowej. Podszedłem do książki z dużą dozą ostrożności, myśląc, że to kolejny przykład wydawania czegokolwiek, byle podpisane było dużym nazwiskiem. Jednak niepozorne rozmowy Krall o rybach to w rzeczywistości głęboko humanistyczne opowieści o Polsce lat 80., o myśli społecznej (wywiad z prof. Jerzym Szackim), o wieczności i teologii (rozmowa z Jerzym Putramentem) czy sztuce i literaturze (rozmowy z Agnieszką Morawińską i Hanną Kirchner). Piękny przykład, że zaczynając rozmowę od rybich ości, można dojść do kwestii fundamentalnych. Oczywiście trzeba wiedzieć, jak rozmawiać, ale w tym Hanna Krall była i jest mistrzynią. Zaskakująca i oryginalna publikacja.

Rafał Pikuła

ZASŁUCHAJ SIĘ

Lunatic Soul
Through Shaded Woods
Mystic Production

Lunatic Soul to solowy projekt wokalisty Mariusza Dudy, na co dzień udzielającego się w progrockowej grupie Riverside. W siódmym albumie Duda zabiera nas w dźwiękową wędrówkę pełną folkowych klimatów ozdobionych rewelacyjnymi partiami wokalu. Wydawałoby się, że rejony okołofolkowe zostały już dokładnie spenetrowane i trudno o coś kreatywnego, ale w tym przypadku nie jest to tak oczywiste. Otwierający płytę rytmiczny „Navvie" stanowi wciągający prolog do przechadzki „cienistym lasem", a im dalej się zagłębimy, tym zrobi się ciekawiej. Mamy prawie dziewięciominutowy „The Passage" z orientalnymi motywami, tytułowy „Through Shaded Woods", który brzmi niczym ballada średniowiecznego minstrela. Jest zróżnicowany nastrojowo „Oblivion" i budujący napięcie „Summoning Dance", całość zamyka nostalgiczny „The Fountain". Płyta brzmi doskonale i świeżo, a muzyk zagrał też na wszystkich instrumentach. Koneserom polecam wersję rozszerzoną, wzbogaconą o trzy utwory, w tym półgodzinny „Transition II".

Rafał Pyznar

FABUŁA

SERIA FILMÓW O 007
HBO GO, od 1 grudnia

007 chyba pierwszy raz z kimś przegrał. Ale przeciwnika miał nie byle jakiego, bo samą pandemię. Odkładana w czasie premiera „Nie czas umierać" frustruje fanów. Na pocieszenie w ofercie HBO pojawiają się wszystkie wcześniejsze oficjalne obrazy z serii. Ta podróż jest najciekawsza z perspektywy przemian technologicznych i społecznych. Wynalazki Q z „Dr. No" (1962) czy „Żyje się tylko dwa razy" (1967) budzą uśmiech politowania, gdy zestawi się je z osiągnięciami efektów specjalnych z „Quantum of Solace" (2008) lub „Spectre" (2015). Jeszcze gorzej jest z mizoginią – niektóre sceny z „Goldfingera" (1964) bądź „Operacji piorun" (1965), w których 007 przymusza kobiety do pocałunków i pieszczot, dziś są nie do wybronienia. Bronią się natomiast fantastyczne kreacje Seana Connery'ego i Rogera Moore'a, a nade wszystko radość, jaką mieli twórcy z wymyślania niespotykanych w kinie potyczek dobra ze złem, by wspomnieć tylko „Moonraker" (1979) z akcją w kosmosie czy wybitną scenę pościgu wozem strażackim w „Zabójczym widoku" (1985).

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

SZCZĘŚCIE CZY ZARAZA?

Premiera online kameralnej sztuki o życiu tzw. singli została dobrze przygotowana organizacyjnie. Chętni do nabycia biletów mogli zapłacić 10 zł, mogli 100 zł, ale mogli też zero. Każdy otrzymywał dostęp do sieci, a w niej popis aktorstwa Marii Seweryn i Tomasza Borkowskiego. Ona zaprosiła do swojego luksusowego mieszkania mężczyznę, bo miała właśnie owulację. On nie chciał płodzić dziecka, bo już ma córkę, której cztery lata nie widział. Trwająca 70 minut wymiana myśli nie jest krzepiąca dla demografii. W Unii Europejskiej co szósty mieszkaniec jest singlem, a w Polsce mamy ponad 7 mln samotnych. To już poważny problem cywilizacyjny. Dla jednych zaraza, dla drugich wolność. Brytyjski dramaturg nie daje odpowiedzi, ale daje do myślenia.

Bronisław Tumiłowicz

David Eldridge, „Beginning", tłumaczenie Elżbieta Woźniak, reżyseria Adam Sajnuk, Teatr WARSawy, premiera online 19 listopada 2020

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 5d369d7248

KSIĄŻKOWE PREZENTY POD CHOINKĘ

WYDAWNICTWO ISKRY

Justyna Sobolewska
Miron, Ilia, Kornel
Opowieść biograficzna o Kornelu Filipowiczu

Doceniany jako pisarz, ale pozostawał na uboczu: krakowski twórca, partner Wisławy Szymborskiej. Tymczasem był mistrzem krótkiej formy. W życiu Filipowicza odbija się cała epoka.

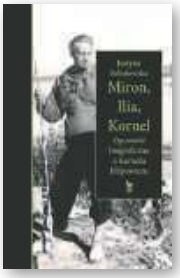

Kornel Filipowicz
Pamiętnik antybohatera i inne utwory

Dwa opowiadania, mikropowieść i wiersze Kornela Filipowicza, który wrócił do pisania poezji w latach 80. Utwory doskonale wpasowują się w dzisiejsze spory i lęki, jakby autor dobrze nas znał.

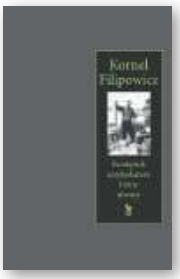

Zofia Wojtkowska
Saga rodu Czartoryskich

Pierwsza całościowa historia rodu Czartoryskich rzetelnie opiera się na źródłach, prezentuje życiorysy ważnych członków rodziny i zawiera liczne ilustracje. Autorska, osobista, barwna opowieść „do poczytania".

Marek Hłasko
Ósmy dzień tygodnia
Następny do raju

Mikropowieści, w których Hłasko, dojrzały już pisarz, zobrazował tragizm wojennej młodzieży poszukującej miejsca w mieście gruzów i doświadczonych przez życie degeneratów szukających schronienia w dziczy Kotliny Kłodzkiej.

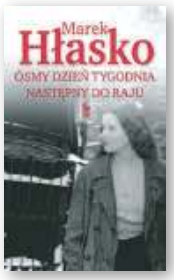

STUDIO EMKA

Joost Minnaar, Pim de Morree
Korporacyjni Rebelianci. Niech praca będzie frajdą

Książka dla ludzi, którzy wiedzą, że miejsca pracy mogłyby i powinny być lepsze. Czy wchodzisz w skład zespołu zarządzającego, czy jesteś menedżerem, który utknął w niesprawnym systemie, ta pozycja jest dla ciebie!

Charles G. Koch
Dobry zysk

Jak tworzenie wartości dla innych zbudowało firmę, która odniosła jeden z największych sukcesów na świecie. Lektura obowiązkowa dla liderów, przedsiębiorców i każdego, komu zależy na sprawiedliwym i dostatnim społeczeństwie.

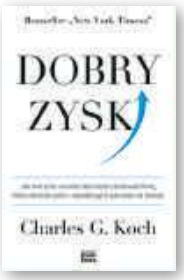

Meb Keflezighi, Scott Douglas
26 maratonów. Moje życie w biegu

Czterokrotny olimpijczyk dzieli się doświadczeniami, które zdobył jako maratończyk. Sugestie dotyczące treningu, radzenia sobie z kontuzjami i pokonywania trudności przydadzą się każdemu.

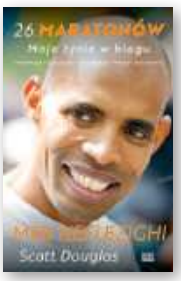

Irena Kamińska-Radomska
Etykieta biznesu, czyli międzynarodowy język kurtuazji

Autorka porusza zagadnienia związane z prowadzeniem biznesu, nawiązywaniem kontaktów, profesjonalnym wyglądem czy radzeniem sobie w negocjacjach. Przewodnik dla chcących świadomie funkcjonować w otoczeniu zawodowym.

WYDAWNICTWO AGORA

Andrzej Grabowski, Paweł Łęczuk, Jakub Jabłonka
Andrzej Grabowski. Jestem jak motyl

Gawędziarska autobiografia jednego z najbardziej wszechstronnych aktorów. W historii Andrzeja Grabowskiego jest miejsce na śmiech, smutek, wódkę, kobiety, nostalgię i wygłupy.

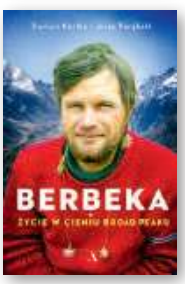

Dariusz Kortko, Jerzy Porębski
Berbeka. Życie w cieniu Broad Peaku

Biografia himalaisty pokazuje radość zdobywania, gorycz porażki, przyjaźń, zdradę i miłość. Jest jeszcze wielka tajemnica, która czyni tę opowieść fascynującą. Czy sami kierujemy naszym losem? Czym jest przeznaczenie i czy w ogóle istnieje?

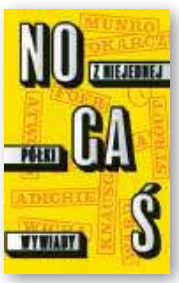

Michał Nogaś
Z niejednej półki

Zbiór rozmów z najważniejszymi autorami z całego świata oraz reportaż z pewnego śledztwa. W książce znalazły się niepublikowane wywiady z Olgą Tokarczuk, Dorotą Masłowską i nowa rozmowa z Mariuszem Szczygłem, który zdradza, jakie książki ratują mu życie.

Anne Applebaum
Zmierzch demokracji

Zdobywczyni Nagrody Pulitzera wyjaśnia, dlaczego elity w demokracjach na całym świecie zwracają się w stronę nacjonalizmu i autorytaryzmu. Od USA i Wielkiej Brytanii po Europę kontynentalną i nie tylko – liberalna demokracja jest zagrożona.

eprasa.pl 5d369d7248

WYDAWNICTWO LITERACKIE

A.J. Pearce
Droga Pani Bird
Podnosząca na duchu opowieść o Brytyjkach stawiających czoło wojennej nawałnicy. Autorka inspirowała się autentycznymi listami wysyłanymi przez czytelniczki do gazet podczas II wojny światowej.

Yuval Noah Harari, David Vandermeulen, Daniel Casanave
Sapiens. Część 1: Narodziny ludzkości. Opowieść graficzna
Jak to możliwe, że mało znaczące zwierzę stało się władcą Ziemi? Błyskotliwa, pełna odniesień do literatury, filozofii, sztuki oraz kultury popularnej opowieść oferuje nową możliwość poznawania przeszłości.

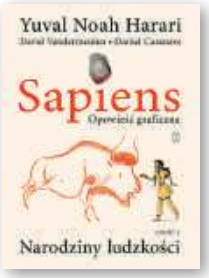

GRUPA WYDAWNICZA FOKSAL

Adam Leszczyński
Ludowa historia Polski
Monumentalna opowieść o Polsce z perspektywy ubogich i niewykształconych, o tym, co zostało w polskiej pamięci zakłamane albo wyparte. To także świadectwo władzy i przemocy, którą powszechnie stosowały elity – od początku Polski do czasów współczesnych.

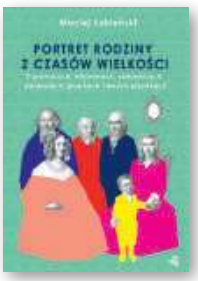

Maciej Łubieński
Portret rodziny z czasów wielkości
O prymasach, milionerach, zakonnicach, bankrutach, pisarkach i innych. Uciekająca od sentymentów podróż literacka śladami przodków. Autor rozlicza się z historią rodziny, ale robi to z dystansem, klasą i czułością.

Belinda Bauer
Ostrze
„Niedługo wrócę", mówi matka. Nastoletni Jack i jego dwie siostry czekają na poboczu w zepsutym samochodzie. Ale kobieta nie wraca… Wciągający thriller o chłopcu polującym na zabójcę matki. Gotowi na dreszcz emocji?

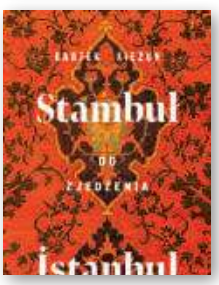

Bartek Kieżun
Stambuł do zjedzenia
Książka kucharska pełna opowieści o wielkiej historii, pachnąca olejkiem różanym, karmelem i miodem. Tytułowe miasto to kulinarne królestwo z restauracjami, o których wiedzą tylko wybrańcy.

ARKADY

Kathryn Calley Galitz
Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku
Imponujący album to 500 mistrzowskich obrazów ze zbiorów nowojorskiej instytucji, tworzących uniwersalną historię malarstwa. Dzieła powstałe na przestrzeni 5 tys. lat, od starożytnego Egiptu po współczesność, pokazano chronologicznie.

Manfred Sellink
Bruegel. Zbliżenia
Najbardziej znane obrazy, rysunki i ryciny Pietera Bruegla, a zwłaszcza ich wyjątkowe detale, świadczące o mistrzostwie artysty. Materiał pogrupowany tematycznie – pejzaże, widoki wsi, polowania, sceny z życia codziennego – to fascynujące spojrzenie na najsłynniejsze obrazy.

Alessandra Mattanza
Street Art
Wielcy artyści i ich wizje
Czym jest Street Art? Dlaczego artyści wychodzą ze swoją twórczością na ulicę? Kiedy graffiti jest dziełem sztuki? Album prezentuje 20 największych streetartowców świata i ich warsztat pracy.

Anda Rottenberg
Zbliżenia. Szkice o polskich artystach
Zbiór komentarzy do sztuki ok. 50 polskich artystów, których autorka spotkała w życiu zawodowym. Krótkie formy mają na celu dotarcie do osób spoza kręgu profesjonalistów. Osobisty pamiętnik spotkań ze sztuką przybliża prace klasyków nowoczesności i mniej znanych twórców.

BOSZ

Jerzy Bralczyk
Porzekadła
Kompendium zawierające omówienie ponad 300 najpopularniejszych powiedzeń. Autor w kilkunastu tematycznych rozdziałach rozkłada poszczególne porzekadła na czynniki pierwsze. Zilustrował to zaś Henryk Sawka.

Marisa de Lempicka, Maria Anna Potocka, Lech Majewski
Tamara Łempicka
Od najmłodszych lat obracała się w towarzystwie elit i brylowała na salonach. Była skandalistką, która garściami czerpała z życia. Przez lata zapomniana, dziś twórczość Łempickiej wraca do łask, a jej obrazy osiągają zawrotne ceny.

eprasa.pl 5d369d7248

CZARNE

Walter Tevis
Gambit królowej
W wieku ośmiu lat Beth trafia do sierocińca. Tam odkrywa dwie największe miłości: grę w szachy i środki odurzające. Przepiękna książka o samotności i przyjaźni, rywalizacji i współpracy, zagubieniu i poszukiwaniu sensu życia.

Leszek K. Talko, Karol Vesely
Królowie bajek
Opowieść o legendarnym studiu filmów rysunkowych
W Studiu Filmów Rysunkowych w Bielsku-Białej działy się cuda. Podział na „bolkowców" i „reksiowców", tajna ściana, sztuczny miód zamiast kleju… Nostalgiczna opowieść o twórcach Bolka i Lolka, Reksia i Baltazara Gąbki.

Shulem Deen
Kto odejdzie, już nie wróci
Jak opuściłem świat chasydów
Autor szczegółowo opisuje świat skwerczyków – ortodoksyjnego odłamu chasydów. Ale to przede wszystkim głęboko humanistyczna refleksja nad istotą wiary oraz prawem do wolności i poszukiwania własnej drogi.

Wojciech Chamier-Gliszczyński
Portrecista psów
Tuż po odzyskaniu niepodległości złodziejce i morderczyni udaje się przejąć nieczynny zakład fotograficzny. Zatrudnia w nim Niemca, który zawodowo fotografuje psy, najchętniej martwe… Półświatek międzywojnia to tło do rozważań o moralności, ludzkiej naturze i tożsamości.

MARGINESY

Małgorzata Czyńska
Kobiety z obrazów
Pochodziły z różnych czasów, krajów i sfer, wszystkie zostały uwiecznione na obrazach. Zachwycały urodą, imponowały odwagą, gorszyły bezwstydnością, nikogo nie pozostawiając obojętnym. Często były nie mniej fascynujące od płócien, na których je utrwalono.

Chris Niedenthal
Zawód: fotograf
Biografia zauroczonego Polską dziennikarza, relacjonującego wydarzenia zza żelaznej kurtyny. „Obserwowałem rewolucje w Pradze, Berlinie i na Węgrzech. Ale moje serce pozostało w Gdańsku", wspomina udział w strajku w stoczni.

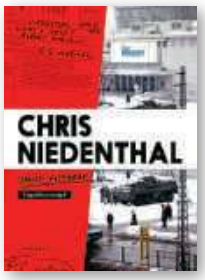

Sir Paul Nurse
Czym jest życie?
Biologia w pięciu krokach
Jeden z wiodących naukowców traktuje komórki, geny, ewolucję dokonującą się poprzez naturalną selekcję czy chemiczny aspekt życia jako kolejne stopnie mające pomóc w rozwikłaniu zagadki życia.

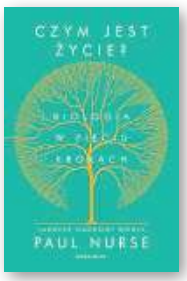

Boel Westin
Tove Jansson. Mama Muminków
Intymne dzienniki, listy i szpargały, a przede wszystkim wieloletnia zażyłość z Tove pozwoliły profesorce ze Sztokholmu napisać fascynującą książkę o pisarce i fenomenie jej Muminków.

ZNAK LITERANOVA

Kiran Millwood Hargrave
Kobiety z Vardø
Zainspirowana faktami powieść o norweskiej miejscowości, gdzie w XVII w. w czasie sztormu zginęli wszyscy mężczyźni, a ich role przejęły kobiety. To nie spodobało się władzom. Żeby odzyskać kontrolę, oskarżono kobiety o czary.

Ksenia Potępa
Nie mogę, trzymam dziecko
Rodzicielstwo bez instrukcji obsługi
Czasem nie mogę wstać, bo trzymam dziecko. A czasem trzymam dziecko, żeby nie musieć wstawać. Zresztą sami wiecie, co będzie, gdy dziecku w końcu znudzi się tulenie. Armagedon. Książka autorki popularnego fanpejdża.

SONIA DRAGA

Hilary Mantel
W komnatach Wolf Hall,
Na szafocie, Lustro i światło
Trylogia o okresie w historii Anglii, kiedy Henryk VIII obalił Kościół rzymskokatolicki, chcąc unieważnić małżeństwo. Bohaterem i soczewką, przez którą czytelnik obserwuje wydarzenia, jest Tomasz Cromwell, prawnik i doradca kard. Wolseya, później powiernik króla.

Fredrik Backman
Miasto niedźwiedzia
Juniorzy drużyny hokejowej w Björnstad rywalizują właśnie w krajowej lidze. Na barkach kilku nastolatków spoczywają nadzieje i marzenia całego miasteczka, ale na społeczności kładzie się cieniem straszny czyn.

eprasa.pl 5d369d7248

ZNAK

Roman Zając
Trzej królowie
Tajemnica Mędrców ze Wschodu
Wiemy, że Jezus urodził się w Betlejem, gdzie odwiedzili go Trzej Królowie, po czym święta rodzina uciekła przed siepaczami Heroda do Egiptu. A jeśli było inaczej? Jaką tajemnicę kryją Trzej Królowie? Co jest prawdą, a co mitem?

Ewa Pągowska
Psychiatrzy
Pierwsza książka o kulisach pracy polskich psychiatrów. Autorka bez tabu rozmawia o tym zawodzie i o kondycji psychicznej Polaków. Podejmuje tematy związane z depresją, schizofrenią, a także leczeniem dzieci i młodzieży.

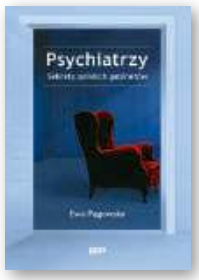

REBIS

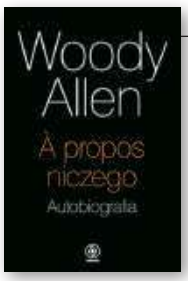

Woody Allen
À propos niczego
Allen prowadzi nas od dzieciństwa i młodości na Brooklynie, przez pracę scenarzysty w programie Sida Caesara i komika stand-upowego, po pierwsze próby aktorsko-reżyserskie i rozkwit kariery w filmie.

Edward Brooke-Hitching
Biblioteka szaleńca
Autor zapuszcza się w najmroczniejsze zakątki literatury, polując na najdziwniejsze publikacje, i odkrywa tło ich powstania. Znajdziemy tu książki pisane krwią, oprawne w ludzką skórę, wydania niewidoczne gołym okiem i większe od człowieka.

EDIPRESSE KSIĄŻKI

Marcin Kydryński
Dal. Listy z Afryki minionej
Kolekcja archiwalnych pocztówek-fotografii z czasów kolonialnych przywraca pamięć o Afryce z przełomu XIX i XX w. Autor snuje opowieść o europejskiej niechlubnej historii i o ludziach, którzy przepadli w odmętach zbiorowej niepamięci.

Iwona Zasuwa
Smakoterapia na wynos
Odporność przez cały rok
Jak budować odporność każdego dnia? Zgodnie z rytmem pór roku. Nie tylko w domu, ale i za pomocą dań na wynos. Droga do zdrowia prowadzi przez kuchnię. Oto kolejna roślinna „Smakoterapia", dodatkowo bez glutenu, cukru i nabiału.

ALBATROS

Ken Follett
Niech stanie się światłość
30 lat po publikacji „Filarów Ziemi" Follett zaprasza do przyszłego miasta Kingsbridge – 100 lat przed tym, gdy Tom Budowniczy zaczął wznosić mury katedry! Historia o miłości, nienawiści i nieokiełznanej żądzy władzy.

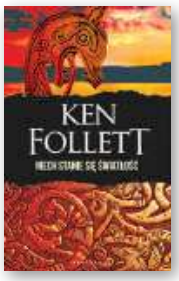

Sean Hepburn Ferrer
Audrey Hepburn
Uosobienie elegancji
Subtelny portret ikony kina i mody, zarazem niespełnionej żony, oddanej matki, filantropki, która poświęciła się działalności na rzecz Unicefu. Książka napisana przez syna zawiera ok. 300 unikatowych zdjęć.

Margaret Mitchell
Przeminęło z wiatrem
Romans wszech czasów i opowieść o kobiecej niezłomności, walce o rodzinę i własne szczęście. Wyjątkowe – ilustrowane przez Annę Halarewicz – wydanie jednej z najważniejszych powieści XX w.!

CZARNA OWCA

Przemysław Piotrowski
Piętno, Sfora, Cherub
Kryminały, których bohaterem jest Igor Brudny, twardy warszawski glina z trudną przeszłością. Nie chce do niej wracać, ale przewrotny los i praca ściągają go do Zielonej Góry, a tam się dzieje. Talent komisarza Brudnego okazuje się nieoceniony.

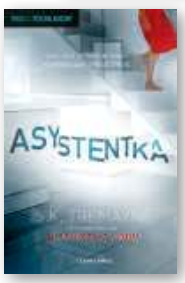

S.K. Tremayne
Asystentka
Rozwiedziona Jo wprowadza się do przyjaciółki. Zaawansowane technologicznie mieszkanie jest zarządzane przez asystentkę domową Electrę. Pewnej nocy Electra wypowiada zdanie, które zmienia życie Jo: „Wiem, co zrobiłaś".

Juan Gabriel Vásquez
Kształt ruin
W 2014 r. podczas włamania do muzeum Jorge Eliécera Gaitána zostaje ujęty mężczyzna. Tylko Juan Gabriel Vásquez wie, kim naprawdę jest zatrzymany. Porywający thriller o poszukiwaniu prawdy, która zdaniem wielu powinna pozostać ukryta.

Zebrała Agata Gogołkiewicz

eprasa.pl 5d369d7248

Niemoc nie tylko pandemiczna

Rok biało-czerwonych do zapomnienia

Adam Godlewski,
Maciej Polkowski

Piłkarska reprezentacja Polski zakończyła tegoroczny sezon. Biało-czerwoni (18. miejsce w rankingu FIFA) zwyciężyli w połowie rozegranych spotkań, ale umieli pokonać wyłącznie niżej notowanych przeciwników. Szczęśliwie 23. Ukrainę, bardziej przekonująco 51. Bośnię i Hercegowinę (dwa razy) oraz 55. Finlandię. Z wyżej klasyfikowanymi rywalami, Włochami i Holandią, udało się w czterech spotkaniach Ligi Narodów zaledwie raz zremisować. I zdobyć tylko jednego gola.

Wymowna pauza

Reprezentacja Polski kierowana przez Jerzego Brzęczka nie umie podjąć walki z lepszymi od siebie czy choćby zdominować sąsiadów w światowym rankingu. W dwóch spotkaniach z Holandią udało się co prawda zdobyć jedną bramkę, ale żadnego punktu. Z Włochami skończyło się na punkcie, za to bez gola. W Amsterdamie i w Reggio Emilia biało-czerwoni byli bezradni jak juniorzy. W Holandii oddali przez 90 minut dwa strzały – jeden celny i jeden niecelny. We Włoszech – tylko dwa niecelne.

Zapytany po meczu z Włochami, jak wyglądał plan taktyczny na mecz w Reggio Emilia, Robert Lewandowski uciekł się do jakże wymownej pauzy, która trwała osiem sekund. Przez ten czas kapitan reprezentacji walczył z własną mimiką, żeby nie roześmiać się ironicznie do kamery, i w tej walce okazał się skuteczniejszy niż na boisku. Tyle że mowa milczenia poszła w świat, a następnie sportowiec skrytykował przygotowania do meczu. „Trudno powiedzieć, że czegoś nam zabrakło, bo zabrakło bardzo wielu rzeczy". Zachowanie kapitana Jerzy Brzęczek określił jako niefortunne. Do sprawy odniósł się także prezes PZPN Zbigniew Boniek (WP SportoweFakty): „Nie jest tak, że jeśli Robert Lewandowski coś powie, to ma zawsze rację. Jest najlepszym napastnikiem na świecie, ale reprezentacja nie składa się z niego i 10 koszulek. Gdyby tak było, nie wygrałaby nawet z Gibraltarem. Powtarzam: nawet jeśli Robert ma rację, to niech ją mądrze sprzedaje, bo tylko pogorszy sytuację i na końcu do niego kibice też będą mieli pretensje. Nie boję się zresztą powiedzieć, że w ostatnich meczach grał przeciętnie. Mówię o meczach reprezentacji Polski, bo te Bayernu niezbyt mnie interesują".

Nowi wykonawcy pilnie poszukiwani

Oczywiście winny zaistniałej sytuacji jest tylko po części Brzęczek. Adam Nawałka miał do dyspozycji prawą flankę obsadzoną przez duet Borussii Dortmund Łukasz Piszczek-Kuba Błaszczykowski, w szczytowym okresie uznawany za jeden z najlepszych w europejskiej piłce klubowej. Dziś obu nie ma już w kadrze. Grzegorz Krychowiak w barwach Sewilli wygrywał Ligę Europy i ostro dawał się we znaki nawet takim tuzom jak Cristiano Ronaldo i Leo Messi w rozgrywkach hiszpańskiej La Ligi. „Krycha" nadal jest wśród kadrowiczów, ale obecnie jako gracz moskiewskiego Lokomotiwu raczej człapie, niż nawiązuje do najlepszych sewilskich czasów. Kamil Glik z AS Monaco niegdyś awansował do półfinału Ligi Mistrzów, podczas gdy obecnie gra w prowincjonalnym włoskim Benevento. Arkadiusz Milik robił furorę w silnym holenderskim Ajaksie Amsterdam, a nie siedział na trybunach w jeszcze bogatszym SSC Napoli.

O ile poprzednik Brzęczka miał do dyspozycji co najmniej ośmiu (z bramkarzami Łukaszem Fabiańskim i Wojtkiem Szczęsnym) zawodników na międzynarodowym poziomie, o tyle teraz ostało się czterech i pół. Tym czwartym, po Lewym i duecie golkiperów, jest Mateusz Klich, który niesamowicie się rozwinął w angielskim Leeds United pod kierunkiem charyzmatycznego argentyńskiego szkoleniowca Marcela Bielsy. Natomiast pół stanowi Piotr Zieliński, który w SSC Napoli potrafi rozgrywać znakomite mecze, natomiast w kadrze wciąż jest wielką, ale niespełnioną nadzieją mimo 26 lat na karku. W każdym razie Brzęczek publicznie zakomunikował, że jeśli pewnego dnia Piotr się obudzi i coś przestawi mu się w głowie, to będą go zazdrościć polskiej drużynie wszyscy rywale. Zatem – wciąż czekamy.

W tym kontekście warta odnotowania jest wypowiedź byłego znakomitego napastnika, Grzegorza Laty (WP SportoweFakty): „Gdyby trenerzy grali i decydowali o wszystkim, mistrzem świata byłaby Arabia Saudyjska. Kupiłaby sobie najlepszego szkoleniowca, zapłaciła mu worek pieniędzy i miałaby zagwarantowany sukces. Tak to niestety nie działa, potrzeba jeszcze wykonawców.

> W Polsce nikt nigdy nie stanie po stronie trenera.
> U nas zawsze najważniejszy jest piłkarz, który nie gra.

Epidemia sprawiła, że ci, którzy mają szerokie kadry i duży wybór wśród dobrych piłkarzy, radzą sobie lepiej. My takiego komfortu nie mamy. Są też jednak inne problemy. Coś w zespole szwankuje. Gdy oglądałem mecz z Włochami, miałem wrażenie, że każdy gra pod siebie. Było widać wzajemne pretensje, a jeszcze słyszałem, że w reprezentacji tworzą się grupy. Podziały psują, drużyna musi być jednością".

Jako uzupełnienie rozpowszechniany w sieci żarcik pana Grzegorza po fatalnym meczu przeciw Włochom:

eprasa.pl 5d369d7248

Jerzy Brzęczek ostatnio nie może się dogadać z Robertem Lewandowskim.

„– Czy reprezentacja, w której pan występował, miałaby duże szanse w spotkaniu z dzisiejszą?

– Sądzę, że wygralibyśmy 1:0.

– Dlaczego tylko 1:0?

– Nie więcej, przecież w większości jesteśmy po już po siedemdziesiątce”.

Prezes Boniek zaniedbał

Jeśli jednak chcemy wskazać wszystkich odpowiedzialnych za stan reprezentacji, to trudno pominąć winowajcę największego. Czyli prezesa PZPN, który przez dwa i pół roku nie zadbał o profesjonalne zaplecze dla selekcjonera. I właśnie sztab od początku obecnej kadencji jest najsłabszym elementem w układance – młodego i wciąż uczącego się – szkoleniowca. O ile bowiem nominacja dla Brzęczka – charyzmatycznego kapitana srebrnej drużyny olimpijskiej z igrzysk w Barcelonie w 1992 r., a później także kapitana pierwszej reprezentacji – przez Zbigniewa Bońka wydawała się krokiem tyleż odważnym, co logicznym, o tyle pozostawienie zbyt skromnego liczebnie, niedostatecznie wyedukowanego i za mało doświadczonego grona współpracowników było bardzo nierozważne. I do dziś odbija się biało-czerwonym czkawką.

W porównaniu z kadencją Adama Nawałki właśnie pod tym względem nastąpił największy regres. Co prawda, poprzednik Brzęczka zaczynał z Bogdanem Zającem i Jarosławem Tkoczem, ale miał też pod ręką Tomasza Iwana (w roli dyrektora kadry), który tajniki zawodowego futbolu zna co najmniej równie dobrze jak Radosław Gilewicz (członek obecnego sztabu). A przecież w miarę upływu czasu Nawałka poszerzał grupę współpracowników o ludzi z dyplomami AWF i najwyższymi licencjami trenerskimi (tzw. UEFA Pro). Od lutego 2015 r. do marca 2016 r. – czyli w okresie poprzedzającym imprezę docelową, którą były ME we Francji – do sztabu kadry dołączyło trzech świetnie wyedukowanych szkoleniowców. I dysponując takim potencjałem, liczebnym i intelektualnym, Nawałka miał odpowiednie siły, żeby we właściwy sposób zarówno obserwować kandydatów do reprezentacji Polski, jak i szpiegować rywali. A sam mógł poświęcać *gros* czasu na pracę nad schematami technicznymi – i w defensywie, i w ofensywie. Oraz nad ich wdrażaniem. Co zresztą czynił z dobrym skutkiem niemal do końca 2017 r.

Na tym tle zaplecze Brzęczka prezentuje się mizernie. Wspomniany Gilewicz przystąpił do kursu dla byłych profesjonalnych piłkarzy na licencję UEFA B+A w końcu września… 2018 r., czyli już jako asystent selekcjonera. W momencie powołania sztabu przez obecnego selekcjonera nie miał żadnych szkoleniowych kompetencji! Z kolei Tomasz Mazurkiewicz (posiadacz licencji UEFA A, obecnie uczestnik kursu UEFA Pro) samodzielnie prowadził… Rolnika Racot, Lechitę Kłecko czy Sokoła Kleczew. Nie liznął zatem w tych zespołach nawet przyzwoitego ligowego poziomu. Zresztą było to dość dawno temu, a później – od połowy listopada 2014 r. – był już wyłącznie

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 5d369d7248

asystentem Brzęczka (kolejno: w Gdańsku, w Katowicach, w Płocku i obecnie w kadrze).

Jedynym współpracownikiem selekcjonera w pionie czysto futbolowym, któremu w dniu nominacji nie sposób było zarzucić braku właściwych kwalifikacji, jest Andrzej Woźniak, jeden z trzech najbardziej cenionych w Polsce specjalistów od trenowania bramkarzy. Tyle że i „Woźny" – naznaczony w aferze korupcyjnej w polskim futbolu – zapewne nie błyszczy krytycznymi analizami nawet niedopracowanych pomysłów przełożonego, tylko siedzi cicho, ciesząc się, że dostał od Brzęczka drugie zawodowe życie.

Aby nie było wątpliwości – selekcjoner miał pełne prawo otoczyć się zaufanymi ludźmi. Natomiast prezes Boniek miał obowiązek zażądać, aby do grona amatorów dołączyli zawodowcy! Tym bardziej że w polskim futbolu nie brakuje ludzi świetnie wykształconych i wszechstronnie przygotowanych do pracy na najwyższym poziomie. Dość powiedzieć, że Czesław Michniewicz – kierując reprezentacją U-21 – na mistrzostwa Europy w kategorii młodzieżowej zabrał jako współpracowników m.in. Miłosza Stępińskiego (posiadacz uniwersyteckiego tytułu profesora) i Krzysztofa Paluszka (dyplom doktora AWF). Pierwszy odpowiadał za obserwację Belgów, drugi – Włochów i oba te spotkania Orlęta wygrały, choć były znacznie niżej notowane od rywali.

Końca budowy nie widać

Budowa zespołu gotowego do występów w mistrzostwach Europy jest w najlepszym razie niedokończona, a jej końca nie widać. Co prawda, w kadrze pojawiła się świeża krew i to 22-letni Kamil Jóźwiak strzelił gola Holendrom, zresztą po przepięknym rajdzie, ale liczby nie bronią Brzęczka. Dość powiedzieć, że mając w składzie Piłkarza Roku 2020 w plebiscycie UEFA i jednocześnie króla strzelców poprzedniej, zakończonej w sierpniu, edycji Champions League, nie wywindował kadry nie tylko tak wysoko jak Adam Nawałka (w szczytowym momencie piąte miejsce na świecie). Wciąż jest bowiem gorszy także od Pawła Janasa (najlepsze miejsce w rankingu FIFA to 17.) i Leo Beenhakkera (16.), mimo że obaj ci selekcjonerzy dysponowali o wiele słabszym potencjałem kadrowym.

A to niejedyna obiektywna przewaga trzech wspomnianych szkoleniowców drużyny narodowej nad obecnym. Janas potrafił ograć Włochów (późniejszych mistrzów świata), Beenhakker – Portugalczyków (świeżo upieczonych półfinalistów mundialu). Nawałka pokonał Niemców w Warszawie (wtedy aktualnych mistrzów świata; w rewanżu przegrał we Frankfurcie, a na neutralnym gruncie we Francji podczas ME zremisował). Tymczasem aktualny trener drużyny narodowej twierdzi, że nie potrzebuje takiego meczu założycielskiego. I to w sytuacji, gdy nawet laik dostrzegłby, że regularne ogrywanie niżej notowanych rywali nie rozwija naszego zespołu. Bo nawet w konfrontacjach ze słabeuszami wygrywamy obecnie głównie dlatego, że mamy lepszych piłkarzy. A nie lepszą drużynę.

Selekcjonerowi trzeba oddać, że na listopadowe zgrupowanie wśród 28 powołanych zaprosił aż 10 zawodników najwyżej 23-letnich. Brzęczek w sposób zauważalny prowadzi poszukiwania w najmłodszym pokoleniu i wymienia poszczególne ogniwa w reprezentacji. Tyle że przebudowa trwa zbyt długo, już w listopadzie był spóźniony o co najmniej pięć miesięcy (w zestawieniu z pierwotnym terminem Euro 2020). A dodatkowo musi niepokoić brak wspólnego języka z Lewandowskim, który u Brzęczka zatracił skuteczność. I nie można się dziwić kapitanowi drużyny narodowej, że jest sfrustrowany taktyczną bezradnością Brzęczka. Robert to przecież rekordzista wszech czasów w liczbie zdobytych dla reprezentacji Polski goli – ma ich na koncie 63. W eliminacjach Euro 2016 zdobył 13 bramek, natomiast w kwalifikacjach MŚ 2018 – 16. Bez przesady można zatem stwierdzić, że u Nawałki strzelał jak z automatu. Przez dwa i pół roku współpracy z Brzęczkiem wpisał się na listę strzelców zaledwie osiem razy. I *de facto* przestał być „maszyną do bicia rekordów". Został zdegradowany do roli przeciętnego – w skali europejskiej – egzekutora, mimo że na formę strzelecką w Bayernie Monachium w tym okresie nie narzekał. Przeciwnie, w drodze po tytuł Piłkarza Roku UEFA zdobył 34 bramki w Bundeslidze, sześć w Pucharze Niemiec i 15 w Lidze Mistrzów. We wszystkich wymienionych rozgrywkach sięgał po tytuł króla strzelców.

> Nawet w konfrontacjach ze słabeuszami wygrywamy głównie dlatego, że mamy lepszych piłkarzy. A nie lepszą drużynę.

Michał Probierz trzyma kciuki

Po ostatnich meczach piłkarskiej jesieni na selekcjonera znów spadła lawina krytyki. Ma przeciwko sobie znaczną część mediów oraz ekspertów i jeszcze większą kibiców. „U nas szydera to podstawa. Najfajniej komuś przywalić. Wszyscy obrażają Jurka Brzęczka, a co on miał zrobić więcej? Awansował na mistrzostwa Europy, buduje zespół, wprowadza młodych zawodników. A i tak wszyscy się do niego przywalają – bronił kolegi po fachu znany ligowy szkoleniowiec Michał Probierz (Cracovia) w programie „Liga+ Extra" stacji Canal+. – W Polsce nikt nigdy nie stanie po stronie trenera. U nas zawsze najważniejszy jest piłkarz, który nie gra. A między krytyką a chamstwem i hejtem jest różnica. Jurek i tak to w miarę wytrzymuje, bo niektóre sytuacje są mega trudne... Nam się wydaje, że jesteśmy pępkiem świata. A ja trzymam kciuki za Jurka, żeby mu się udało".

Słowa i postawa trenera Probierza pokazują drugą stronę medalu, ale niezależnie od tego manifestu zawodowej solidarności rok 2020 piłkarskiej reprezentacji Polski jesteśmy zmuszeni w zasadzie spisać na straty. Mecze (w listopadzie) rozgrywano ponownie bez udziału publiczności, ale rozgoryczenie i rozczarowanie wcale nie są z tego powodu mniejsze. Możemy jedynie podsumować: dobrze się stało, że przynajmniej niektórzy z państwa tego nie widzieli. Bo po prostu nie ma czego żałować.

Adam Godlewski,
Maciej Polkowski

eprasa.pl 5d369d7248

Sprzeciwiłem się bandyterce w MSZ

Miało być szybkie odstrzelenie, a tu proszę – wojna trwa! Tak nam się wydaje, że dyrektor generalny MSZ Andrzej Papierz już żałuje, że wyrzucił Jacka Izydorczyka ze stanowiska ambasadora RP w Tokio. Była demonstracja siły, a teraz przyszło wycierać ławy sądowe. Bo Izydorczyk złożył na niego doniesienia do prokuratury, do NIK, a jeszcze pozwał dwóch wiceministrów, domagając się po 100 tys. zł od każdego nawiązki na rzecz WOŚP.

Krótkie przypomnienie sprawy: Jacek Izydorczyk stanowisko ambasadora w Japonii objął w lutym 2017 r. jako człowiek spoza MSZ i nominat Witolda Waszczykowskiego. W Tokio skłócił się z personelem ambasady i działaczkami miejscowej Polonii. Dlatego po odejściu Waszczykowskiego zaczęto go z ambasadorskiego fotela wypychać. Sprawę wziął w swoje ręce dyrektor generalny Andrzej Papierz. I zrobił to w typowym dla siebie stylu – Izydorczyk wyleciał z MSZ z hukiem, w atmosferze skandalu, w lipcu 2019 r. Choć można to było załatwić elegancko i po cichu.

Jednych taka forma wyrzucenia z pracy dołuje, drugich motywuje. Izydorczyka najwyraźniej zmotywowała. W styczniu 2020 r. złożył do prokuratury i do NIK zawiadomienia o popełnieniu przestępstw „przekroczenia uprawnień, niedopełnienia obowiązków, poświadczeń nieprawdy, przeciwko ochronie informacji, tworzenia fałszywych dowodów oraz pomówień", wskazując Andrzeja Papierza i siedmiu innych urzędników MSZ.

W listach do prezydenta RP i nowego ministra Zbigniewa Raua domaga się z kolei podania mu powodów jego odwołania. A ponieważ i Kancelaria Prezydenta, i MSZ milczą, podał do sądu, z prywatnego aktu oskarżenia, dwóch wiceministrów – Pawła Jabłońskiego i Marcina Przydacza.

„Nikt nie będzie szargał mojego nazwiska i w dodatku o to, że sprzeciwiłem się bandyterce w MSZ", napisał na Twitterze. I tłumaczył: „Moje nagłe odwołanie z funkcji ambasadora RP w Japonii jest konsekwencją tego, że jako jedyny pracownik MSZ (spośród prawie 5 tys.) przeciwstawiłem się jawnie bezprawnym działaniom dyr. gen. MSZ A. Papierza, który *de facto* tym ministerstwem zaczął samodzielnie kierować, mając w pogardzie interesy RP, obowiązujące prawo oraz normy etyczne – co czynił bez najmniejszego sprzeciwu – i co wynika z jego ostentacyjnej, wieloletniej i zażyłej znajomości z M. Kamińskim (w jednej osobie Ministrem Koordynatorem ds. Służb Specjalnych, Ministrem Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz wiceprezesem Prawa i Sprawiedliwości)".

A na czym polegała wina Przydacza i Jabłońskiego? Ano na tym, że w wywiadach radiowych mówili, że zarzuty Izydorczyka wobec Papierza są nieprawdą.

„Marcin Przydacz w czasie wywiadu cały czas wykazywał pewność siebie, wręcz arogancję, i mówiąc o mnie, że informacje b. ambasadora Jacka Izydorczyka nie polegają na prawdzie, (…) a więc są to informacje kłamliwe i w dodatku z niskich pobudek (!), w Japonii było dokładnie odwrotnie (???) (*sic*!)" – to cytat z pisma Izydorczyka.

A Jabłoński? Prawie to samo. Bo mówił tak: „Według mojej wiedzy jest w tym zawiadomieniu (ze stycznia 2020 r. – przyp. A.) nie jedno, ale całkiem sporo kłamstw (*sic*!)".

Jeden i drugi zatem jest winien – zdaniem Izydorczyka – fałszywych zarzutów pod jego adresem. Które go poniżają w oczach opinii publicznej. I teraz będą musieli w sądzie udowodnić, że mówili prawdę lub mieli podstawy, by tak mówić.

OK. Szykujemy popcorn, otwieramy colę i wygodnie siadamy w fotelu. Zanosi się na długi i krwawy serial.

Attaché

Kard. Gulbinowicza pochowano anonimowo w rodzinnym grobowcu na cmentarzu komunalnym przy ul. Poprzecznej w Olsztynie.

FOT. MICHAŁ KSIĄŻEK

eprasa.pl 5d369d7248

JOLKA

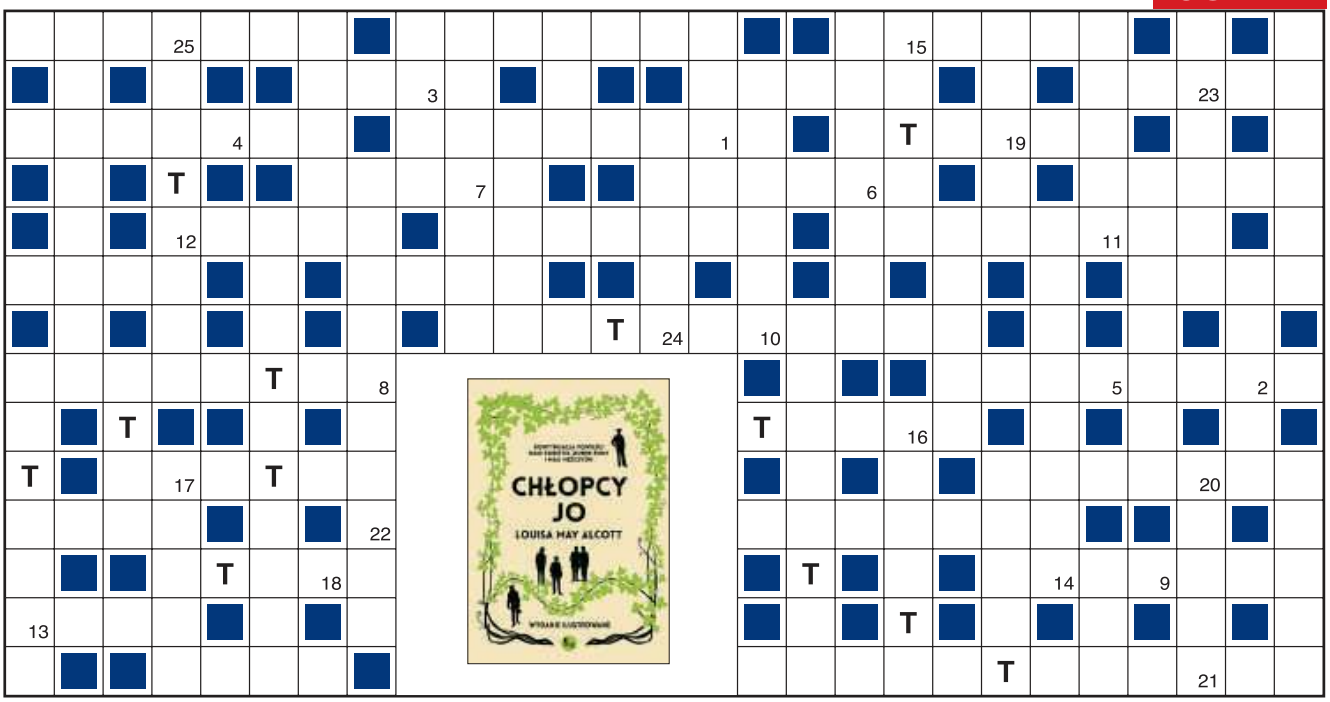

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 25 utworzą końcowe hasło.

- kobieta zjednująca dla sprawy zwolenników
- nieczułość na bodźce, zobojętnienie
- cyrkowy maneż
- na jej granicy z Nevadą zapora Hoovera
- rym polegający na identyczności samych samogłosek
- epoka Bacha
- polskie włókno poliestrowe
- ostatni w tytule filmu Wandy Jakubowskiej
- małpi lub oliwny
- „Szlacheckie…", powieść Turgieniewa
- …Zeppelin – sterowiec i lotniskowiec
- ptak lub dawny górnik
- Sycylia i południowa… – Wielka Grecja
- Abraham miał go złożyć w ofierze
- żywica do spalania
- gorący… – coś, czym nikt nie chce się zająć
- inna nazwa arbuza
- stado owiec na wypasie w górach
- dla jednych familijne, dla drugich nocne
- Grock lub Oleg Popow
- Chopinowski w 2005 r. wygrał Rafał Blechacz
- foliowy – w warzywach liściowych
- kolor jasnoniebieski
- zniesienie, usunięcie, rozwiązanie czegoś
- z zamkiem na prawym brzegu Nogatu
- pierwszoosobowy lub wszechwiedzący
- prysznic
- dokąd płynie ta państwowa?
- leczone przez nefrologa
- odpowiada z zasady przed sądem rodzinnym
- ze stolicą w Abudży
- skórzane buty z wysoką, sztywną cholewą
- …leśne, ssak z żyrafowatych
- Kino… – grupa radzieckich filmowców
- Sharif albo Sy
- z amfiteatrem na wyspie Pasieka
- harmonijka ustna
- fioletowy zakładany w Wielki Post i Adwent
- symptom, objaw
- papka, breja
- …Smerf jest najstarszy
- Kuba Socha u Borynów
- górskie albo włosów
- obowiązany do odbycia zasadniczej służby wojskowej
- prędkości, czasu lub ciśnienia
- o atrakcyjnym mężczyźnie, chłopaku
- „…ze Złotego Brzegu" Lucy Maud Montgomery
- przewożona tankowcem
- zrobi uprząż i siodło
- chodaki, drewniaki
- regionalnie i u Czechów to piwnica
- efektywność
- ubiór na okoliczność
- informacyjny – powoduje mętlik w głowie
- skręcony makaron
- koncertowa to tournée
- przeciwieństwo rozproszenia
- stereotypowy oręż rozsierdzonej żony
- ognisko w gwarze góralskiej
- niejedna w krajobrazie Szampanii
- zgiełk, poruszenie wokół czegoś
- zakłada krawat wbrew regułom

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-989". Do rozlosowania książki „Chłopcy Jo" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 6 grudnia 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-986" z nr. 46: *Ciemne okna to jasny dowód.*
Nagrody otrzymują: Maria Pyra ze Stalowej Woli, Marek Szczepański z Gdyni, Janina Żbikowska z Gorzowa Wielkopolskiego.

eprasa.pl 5d369d7248

PENETRACJE

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

„Szczęść Boże, księże biskupie! Orlen kupił tę naszą lokalną, poniemiecką gazetę. W kurii pytają, czy ksiądz biskup ma coś przeciw kandydaturze Staszka jako obiektywnego nam redaktora naczelnego". Zapewne tak brzmieć będą społeczne konsultacje w regionach, jeśli sprawdzą się doniesienia „The Economist", że Orlen chce odkupić od niemieckiego wydawcy „Polskę The Times", „Dziennik Zachodni", „Gazetę Pomorską", „Głos Wielkopolski", „Gazetę Wrocławską", „Dziennik Bałtycki", „Dziennik Polski" i 14 innych regionalnych gazet oraz ok. 150 lokalnych tygodników.

TYMOTEUSZ KOCHAN,
FILOZOF, SOCJOLOG

Lewica musi stawiać na własny przekaz, budować profesjonalne zaplecze i kadry, które będą również w stanie przejąć w przyszłości władzę nad krajem. W tym celu prysnąć musi złudzenie namaszczenia przez liberałów i liberalne media, a lewicowi politycy muszą zaufać lewicowym autorom, naukowcom i dziennikarzom oraz działaczom. Jeśli lewica ma wygrać z doskonale zorganizowanym i zintegrowanym prawicowym kombinatem, to musi posiadać swój własny.

ZUZANNA RADZIK,
DZIENNIKARKA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Nie tylko po tych protestach widać, że 30 lat katechezy w szkołach nie przyniosło dobrych owoców. Widać to również w badaniach nad poziomem religijności, o tym, czy religia jest ważna w życiu młodych. W Polsce z generacji na generację nastąpił największy spadek religijności z wszystkich badanych krajów na świecie. Do młodych nie dotarł głębszy przekaz i religijność nie jest dla nich ważna. W ostatnich latach widać też, że w dużych miastach młodzież masowo wypisuje się z lekcji religii. Oczywiście wciąż wielu z nich chodzi na religię, ale w sensie kulturowym i religijnym są analfabetami, nie znają pojęć i tekstów.

GRAŻYNA TORBICKA,
DZIENNIKARKA

Na początku epidemii nagradzaliśmy oklaskami pielęgniarki, lekarki, ratowniczki, wydawało się, że ten szacunek i podziw już z nimi zostanie. I co? Po kilku miesiącach świat wrócił na stare tory. Mój mąż, lekarz, opowiada mi, jak trudno znaleźć pielęgniarkę czy salową. Wyjeżdżają, odchodzą z zawodu, bo nie czują się doceniane i szanowane.

Oko świata łypiące na małe ludzkie istoty. To niesamowite ujęcie wykonał Zach Cooley w Parku Narodowym Arches w stanie Utah.

FOT. @ZACHCOOLEYPHOTO/CATERS NEWS/FORUM

Aby język giętki…

ADAM NIEDZIELSKI O EDYCIE GÓRNIAK
Zawsze jest czas, żeby zmądrzeć.

HENRYK MARTENKA O ŁUKASZU SZUMOWSKIM
Gapa cwana wyjątkowo. Zrywając się z posterunku, zażartował, jak świetnie przygotował resort i służbę zdrowia do jesiennej pandemii.

BARBARA LABUDA O PiS
Stworzyło cieplarniane warunki dla rozwoju fundamentalistów prawicowych i teraz nie jest w stanie nad nimi zapanować.

ARKADIUSZ JAKUBIK O TEORIACH SPISKOWYCH
Nowe zabobony, jakich nie było od średniowiecza, pomagają zarządzać światem.

DOROTA SZELĄGOWSKA O WIERZE
Codziennie, nawet kilka razy, rozmawiam z Bogiem. Biorę to pod uwagę, podejmując życiowe decyzje. Bo Pan Bóg zawsze znajdzie drogę.

KUBA WOJEWÓDZKI O JAROSŁAWIE JAKIMOWICZU
Tacy ludzie żyją zwykle bardzo długo. Bo Pan Bóg dolicza im czas za myślenie.

PROF. ZBIGNIEW IZDEBSKI O SEKSIE
Niemałej grupy Polaków covid nie przestraszył. Nawiązywali znajomości internetowe, żeby następnie uprawiać seks w życiu realnym.

EWA WACHOWICZ O PROGRAMIE Z ROBERTEM MAKŁOWICZEM
Kiedy się ze mną rozstawał, płakałam jak nigdy w życiu.

ANITA WERNER O SOBIE
Byłam grzeczną dziewczynką. Świetnie się uczyłam, nie sprawiałam problemów, nie wracałam za późno ani w złym stanie.

LESZEK CZARNECKI O PLANACH PRZEJĘCIA JEGO BANKÓW
Bank przejmujący może być dużo mniejszy i – o dziwo – sam może być w kłopotach.

eprasa.pl 5d369d7248

Know-miau co się zowie

Jest już dostępna aplikacja na smartfony, która tłumaczy kocie miauczenie. Stworzył ją były pracownik Amazona, wykorzystując doświadczenie zdobyte w pracy nad algorytmami rozpoznającymi ludzką mowę. Koty wprawdzie nie używają słów, jednak Javier Sanchez i jego zespół z firmy Akvelon zidentyfikowali dziewięć stanów, które te zwierzęta najczęściej próbują ludziom komunikować. MeowTalk przekłada te dźwięki na frazy zrozumiałe dla właścicieli, takie jak „jestem głodny" albo „odczuwam ból". Co istotne, aplikacja potrafi się uczyć, tj. dostosowywać tłumaczenia do sposobów ekspresji konkretnego kitka.

Twardy jak 007

Brytyjczyk Ian Jones, który przeszedł w Indiach malarię, dengę i COVID-19, właśnie przeżył dwukrotne ukąszenie przez kobrę. Ten były pracownik służby zdrowia przeniósł się do Radżastanu, aby realizować program społeczny na rzecz lokalnych rzemieślników. Gdy mężczyzna wyciągnął rękę, by uspokoić swojego szczekającego psa Rocky'ego, został ugryziony dwa razy przez zaniepokojonego nagłym ruchem węża. Syn Jonesa Sebastian nazwał żywotnego ojca wojownikiem, a my się zastanawiamy, czy niezniszczalny poddany Elżbiety II jest wyjątkowym pechowcem, czy raczej niepowszednim farciarzem.

O rety, etyczne filety!

W Tel Awiwie otwarto pierwszą na świecie restaurację, w której podawane jest wyłącznie mięso pochodzące z laboratorium. The Chicken serwuje dwa rodzaje burgera drobiowego, w którym chrupiąca wkładka mięsna powstała z białka wyhodowanego z komórek zwierzęcych w bioreaktorze. Przybytek ma charakter eksperymentalny: goście nie płacą za posiłki, są jedynie proszeni o opinie na temat smaku burgera, który podobno jest bez zarzutu. Start-up stojący za przedsięwzięciem, SuperMeat, twierdzi, że jego technologia może już konkurować cenowo z produkcją dobrej jakości mięsa metodą konwencjonalną. Nie wiemy, czy w świecie kurczaków istnieje odpowiednik Pokojowej Nagrody Nobla, ale jeśli tak – widzimy murowanego kandydata.

MEMY BEZ ŚCIEMY

Skrzydełka i nóżki na kółkach

Nie próżnują także tradycyjni restauratorzy drobiowi. Globalna sieć KFC testuje w Chinach sprzedaż swoich produktów za pośrednictwem samojezdnych foodtrucków. Autonomiczne pojazdy zostały zaprojektowane przez pekińską firmę Neolix, która zadbała o wygodę klientów. Zamawiają oni dania, posługując się ekranem dotykowym, a następnie płacą smartfonami, za pośrednictwem kodów QR. Po zatwierdzeniu transakcji otwierają się drzwiczki i wystarczy wyciągnąć rękę po ciepły kurczakowy posiłek. Słowo honoru, że to nie kaczka dziennikarska!

Czy Polska wyjdzie po angielsku?

Zastanawiacie się, jak prawdopodobny jest polexit, czyli opuszczenie przez naszą ojczyznę Unii Europejskiej? Oszacowała to firma STS, która przyjmuje zakłady dotyczące wydarzeń politycznych. Obstawiając nasze wyjście ze Wspólnoty do sylwestra przyszłego roku, mamy szansę wygrać 25 zł za każdą postawioną

eprasa.pl 5d369d7248

Piękno i groza na lodowej tafli. Apollinarija Panfiłowa i Dmitrij Ryłow oraz Aleksandra Bojkowa i Dmitrij Kozłowskij wykonują swój program w parach podczas Pucharu Rostelecom 2020 w Moskwie.

złotówkę, a gdy ten scenariusz spełni się przed 31 grudnia 2023 r., prawidłowo typujący pomnożą zaryzykowaną kwotę 12 razy. Bukmacher przyjmuje także zakłady w sprawie tego, które państwo (poza Wielką Brytanią) najszybciej pożegna się z UE. Czytelnikom i czytelniczkom z żyłką politologa hazardzisty podajemy przykładowe kursy: Włochy 4,75, Polska 6,00, Węgry 6,75, Portugalia i Litwa 50,00, Luksemburg 75,00.

Coś się święci w Białymstoku

W celu zbadania, dlaczego coraz więcej osób nie identyfikuje się z żadną religią, socjolodzy z Uniwersytetu w Białymstoku zakupią za ok. 250 tys. zł superkomputer ze specjalistycznym oprogramowaniem. Zadaniem badaczy, którzy otrzymali ponad 5,5 mln zł w konkursie organizowanym przez Narodowe Centrum Nauki, będzie stworzenie zaawansowanych modeli zjawisk społecznych dotyczących wiary. Na pytanie, czy wykorzystanie nowoczesnych technologii pozwoli uszczegółowić obraz procesów sekularyzacyjnych, dr hab. Konrad Talmont-Kamiński odpowiedział: „Poniekąd tak". W tej sytuacji pozostaje nam tylko życzyć uczonym powodzenia. Szczęść Boże!

FOT. ORKA POLITYCZNA, A-MEM, FACEBOOK, DIMITAR DILKOFF/AFP/EAST NEWS, EVGENIA NOVOZHENINA/REUTERS/FORUM

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego: Robert Walenciak
e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Adam Godlewski, Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 5d369d7248

Rewizyta – Salvador Dali u państwa Pendereckich

Dali w Krakowie

Marian Eile. Artysta i redaktor

Patronat **PRZEGLĄDU**

Wystawa wpisuje się w cykl prezentujący krakowskich twórców, którzy realizowali się w mediach opartych na słowie i obrazie. Pierwsza jej część poświęcona jest malarstwu Eilego, o charakterze ekspresyjno-abstrakcyjnym. Malowanie było jego wielką prywatną pasją. Druga odnosi się do projektów redaktorskich, publikowanych w „Przekroju" i „Szpilkach". Trzecia prezentuje cztery seriale fotograficzne: „Rewizyta – Salvador Dali u państwa Pendereckich", „Dali w Krakowie", „Napad na Bal" i „Sceny historyczne". Ekspozycja została rozszerzona o twórczość osób związanych z „Przekrojem": wybór fotografii Wojciecha Plewińskiego oraz rysunków Adama Macedońskiego, a towarzyszy jej obszerna publikacja, przedstawiająca niezwykłą, zabawną i nieograniczoną w swojej kreatywności postać Mariana Eilego.

Muzeum Sztuki Współczesnej
w Krakowie MOCAK, Budynek A, poziom 0
do 21 marca

Napad na Bal

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

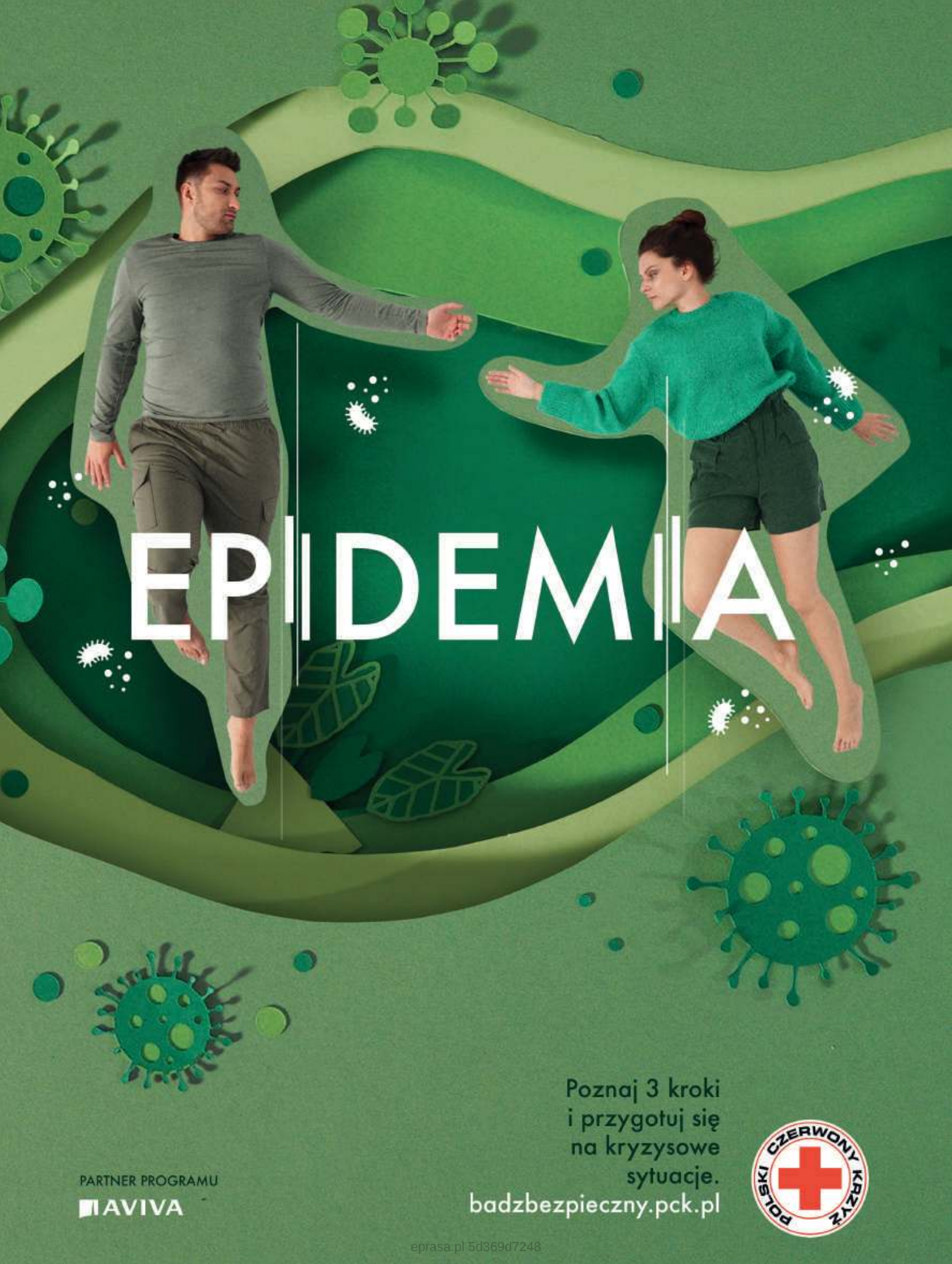

eprasa.pl 5d369d7248

Online
12-20 grudnia
www.mojeekino.pl
grudzień 2020
kwiecień 2021
repliki
14.SPUTNIK
NAD POLSKĄ
FESTIWAL
FILMÓW
ROSYJSKICH
www.sputnikfestiwal.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Współfinansowanie:
Projekt współfinansuje m.st. Warszawa
Współfinansowanie Rosja:
Organizatorzy:

eprasa.pl 5d369d7248